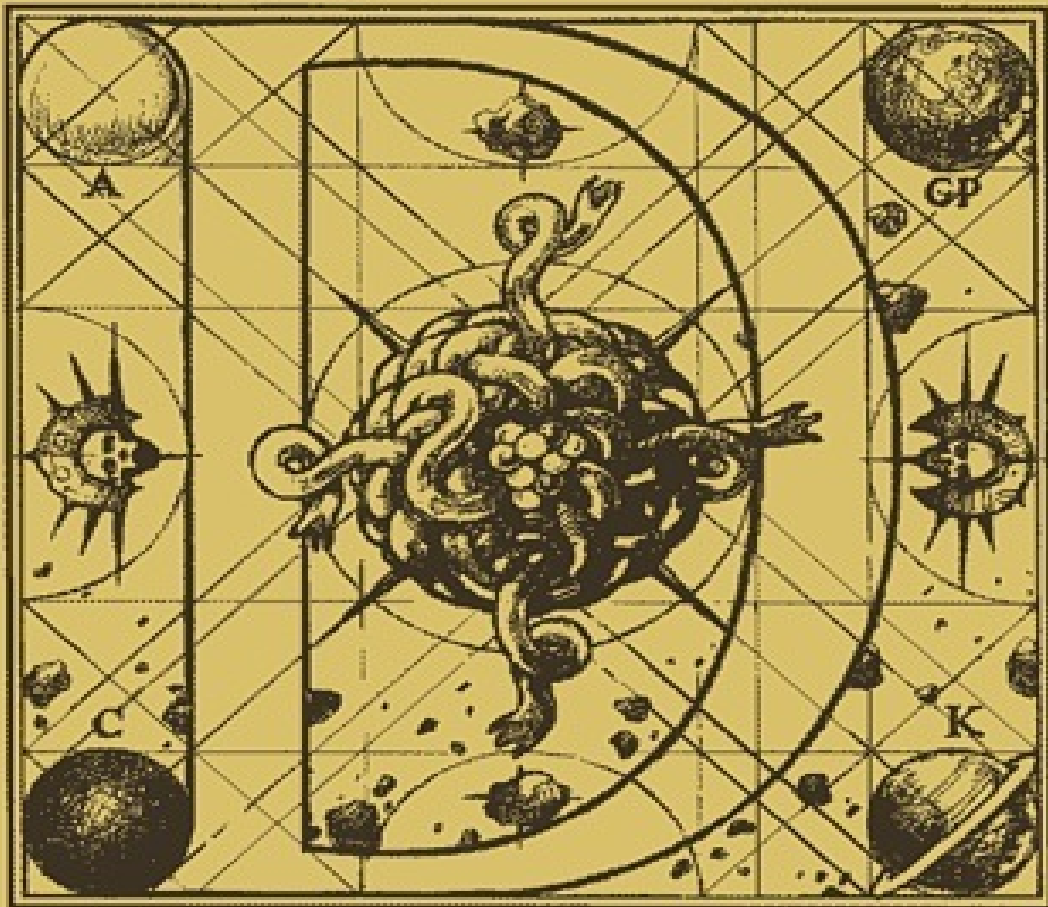


Frank Herbert

Mesjasz

Diuny



Frank Herbert

MESJASZ
DIUNY

Przełożył Marek Marszał



Dom Wydawniczy REBIS



Fragment rozmowy z Bronsem z Ixa przeprowadzonej w celi śmierci

P: Co cię przywiodło do tak osobliwych poglądów na historię Muad'Diba?

O: Dlaczego miałbym odpowiadać na twoje pytania?

P: Dlatego, że zachowam twe słowa dla potomności.

O: Ach! Nieodparta pokusa dla historyka!

P: Zatem zgoda?

O: Czemu nie? Ale nigdy nie zrozumiesz, co dało impuls mojej *Analizie historii*. Nigdy. Wy, kapłani, macie za dużo do stracenia, żeby...

P: Sprawdź mnie.

O: Sprawdzić ciebie? Właściwie... czemu nie? Uderzyła mnie płytkość powszechnego wizerunku tej planety, wynikająca z jej potocznej nazwy: Diuna. Nie Arrakis, podkreślam, tylko Diuna. Historia ma obsesję na punkcie Diuny jako pustynnego świata, jako kolebki Fremenów. Skupia się na obyczajach zrodzonych z niedostatku wody i na poły koczowniczego trybu życia Fremenów w filtrakach, które odzyskują większość wilgoci wydalaną przez ciało.

P: Więc to wszystko nieprawda?

O: To powierzchowna prawda. Lekceważy to, co ukryte pod spodem. To tak, jakby ktoś próbował zrozumieć moją rodzimą planetę, nie wnikając w pochodzenie jej nazwy, którą wywiedliśmy z faktu, że jest dziewiątą planetą naszego słońca. Nie... nie. Nie wystarczy postrzegać Diuny jako miejsca straszliwych burz piaskowych. Nie wystarczy rozprawiać o zagrożeniu ze strony olbrzymich czerwonych pustyń.

P: Jednak te zjawiska decydują o charakterze Arrakis!

O: Decydują? Jasne. Ale kreślą jeden tylko obraz planety w takim samym sensie, w jakim Diuna jest planetą jednej tylko uprawy, ponieważ to jedyne i wyłączne źródło przyprawy, melanżu.

P: Tak. Posłuchajmy, co masz do powiedzenia o świętej przyprawie.

O: Świętej! Jak każda świętość, jedną ręką daje, a drugą zabiera. Wydłuża życie i pozwala przewidywać przyszłość, lecz także okrutnie uzależnia i piętnuje oczy tak, jak napiętnowała twoje: błękit w błękicie bez śladu białek. Oczy, twój organ wzroku, zlały się w plamę jednej barwy, jednego obrazu.

P: Ta herezja doprowadziła cię do tej celi!

O: Do tej celi wsadziliście mnie wy, kapłani. Jak wszyscy kapłani, wcześniej nauczyliście się nazywać prawdę herezją.

P: Trafiłeś tu, bo miałeś czelność głosić, że Paul Atryda stracił coś z istoty swego człowieczeństwa, nim stał się Muad'Dibem.

O: Nie wspominając już o stracie ojca w wojnie z Harkonnenami. Ani o śmierci Duncana Idaho, który oddał życie, aby Paul i lady Jessika mogli uciec.

P: Przemawia przez ciebie cynizm.

O: Cynizm! Bez wątpienia to cięższy występki niż herezja. Ale, widzisz, nie jestem wcale cynikiem. Jestem obserwatorem i komentatorem. Nie przeoczyłem nieklamanej szlachetności Paula, gdy uciekł z ciężarną matką na pustynię. Wiadomo, że była zarówno wspaniałym sprzymierzeńcem, jak i brzemieniem.

P: Wy, historycy, macie tę wadę, że zawsze szukacie dziury w całym. Dostrzegasz nieklamaną szlachetność w Świętym Muad'Dibie, nie zapominasz jednak dodać cynicznego przypisu. Nic dziwnego, że Bene Gesserit też cię potępiają.

O: Wy, kapłani, słusznie występujecie ramię w ramię ze zgromadzeniem Bene Gesserit. Siostrzyczki również ukrywają to, co robią, by przetrwać. Ale nie mogą zataić faktu, że lady Jessika była wyszkoloną Bene Gesserit. Wiesz, że uczyła syna technik zgromadzenia. Moją *zbrodnią* było przedstawienie tego jako zjawiska, rozprawianie o ich duchowych mocach i programie genetycznym. Nie życzycie sobie, by zwracano uwagę na to, że Muad'Dib był wyczekiwanym przez siostry mesjaszem, który miał być im posłuszny, że był ich Kwisatz Haderach, nim został waszym prorokiem.

P: Jeżeli miałem jakieś wątpliwości co do skazania cię na śmierć, to je rozwiąłeś.

O: Mogę umrzeć tylko raz.

P: Śmierć śmierci nierówna.

O: Ostrożnie, bo zrobicie ze mnie męczennika. Wątpię, żeby Muad'Dib...
Powiedz mi, czy Muad'Dib wiedział, co robicie w tych lochach?

P: Nie niepokoimy Świętej Rodziny drobnostkami.

O: (Śmiech) I po to Paul Atryda wywalczył sobie miejsce pośród Fremenów! Po to nauczył się dosiadać i ujarzmić czerwia! Niepotrzebnie odpowiadałem na twoje pytania.

P: Dotrzymam przyrzeczenia i zachowam twoje słowa dla potomności.

O: Doprawdy? Zatem słuchaj uważnie, fremeński zwyrodnialcu, kapłanie nie uznający żadnego boga prócz siebie. Wy, Fremen, macie wiele na sumieniu. To podczas fremeńskiego rytuału Paul po raz pierwszy przyjął końską dawkę melanżu, otwierając się w ten sposób na wizję swojej przyszłości. To podczas fremeńskiego rytuału tenże sam melanż rozbudził nienarodzoną Alię w łonie lady Jessiki. Pomyślałeś, co znaczyło dla Alii przyjść na świat z ukształtowaną świadomością, ze wszystkimi wspomnieniami i całą wiedzą matki? Najokrutniejszy gwałt byłby mniej potworny.

P: Bez świętego melanżu Muad'Dib nie zostałby przywódcą wszystkich Fremenów. Bez świętej iluminacji Alia nie byłaby Alią.

O: A ty bez ślepego fremeńskiego okrucieństwa nie byłbyś kapłanem. Ach, znam ja was, Fremenów. Uważacie Muad'Diba za swego, bo związał się z Chani, bo przyjął fremeńskie zwyczaje. A on wcześniej był Atrydą i został wyszkolony przez mistrzynię Bene Gesserit. Opanował sztuki, o jakich wam się nie śniło. Sądziście, że przynosi wam nowy ład i nowe posłannictwo. Obiecał, że przemieni waszą pustynną planetę w wodą płynący raj. Zaślepiwszy was takimi mirażami, wykorzystał waszą niewinność.

P: Taka herezja nie zmienia faktu, że ekologiczna transformacja Diuny szybko postępuje.

O: A ja dopuściłem się herezji, dokopując się do korzeni tej transformacji, badając jej skutki. Bitwa na równinie pod Arrakin z pewnością uzmysłowiła światu, że Fremen potrafią pobić imperialnych sardaukarów, ale co jeszcze pokazała? Kiedy gwiazdne Imperium rodu Corrinów stało się fremeńskim Imperium Muad'Diba, co jeszcze się zmieniło? Wasz dżihad trwał ledwie dwanaście lat, ale dał światu niezłą naukę. Dziś całe Imperium wie o oszustwie z małżeństwem Muad'Diba i księżniczki Irulany!

P: Jak śmiesz zarzucać Muad'Dibowi oszustwo?!

- O: To żadna herezja, chociaż mnie za nią zabijecie. Księżniczka została jego nominalną małżonką, ale nie żoną. Jego żoną była ta fremeńska kochaneczka Chani. Wszyscy o tym wiedzą. Irulana stanowiła stopień do tronu, nic więcej.
- P: Łatwo zauważyć, dlaczego spiskujący przeciwko Muad'Dibowi znajdują powód do buntu w twojej *Analizie historii*!
- O: Wiem, że cię nie przekonam. Jednak powód spisku pojawił się przed moją *Analizą*. Zrodziło go dwanaście lat Dżihadu Muad'Diba. To dżihad zjednoczył dawne potęgi i stał się zarzewiem spisku przeciwko Muad'Dibowi.



Taki gąszcz mitów narósł wokół Paula Muad'Diba, Imperatora mentata, i jego siostry Alii, że trudno dostrzec za tą zasłoną żywych ludzi. A przecież żyli oboje, zarówno Paul Atryda, jak Alia. Ich ciała podlegały prawom czasu i przestrzeni. I chociaż prorocze zdolności wyniosły ich ponad ograniczenia czasoprzestrzeni, należeli do rodzaju ludzkiego. Oboje przeżyli realne wydarzenia, które pozostawiły realne ślady w realnym świecie. Aby zrozumieć tych dwoje, trzeba zauważyć, że ich tragedia była tragedią całej ludzkości. Przeto dedykuję niniejsze dzieło nie Muad'Dibowi czy jego siostrze, lecz ich spadkobiercom – nam wszystkim.

– Dedykacja w *Konkordancji Muad'Diba*, spisana z *Tabla Memorium* Czcieli Ducha Mahdiego

Imperialne panowanie Muad'Diba wydało więcej historyków niż jakakolwiek epoka w historii ludzkości. Większość tych zawistników i sekciarzy broni własnego, zaściankowego punktu widzenia, co już mówi co nieco o niezwykłym wpływie tego człowieka, który budzi takie emocje na tyłu różnych planetach.

Naturalnie, zawarł on w sobie składniki historii, idealnej oraz idealizowanej. Człowiek ten, Paul Atryda ze starożytnego wysokiego rodu, otrzymał pod okiem lady Jessiki, swej matki i czarownicy Bene Gesserit, staranne wykształcenie prana i bindu, dzięki czemu posiadał niezwykłą kontrolę nad swoim układem mięśniowym i nerwowym. Co więcej, był mentatem, osobnikiem o zdolnościach umysłowych przewyższających obłożone religijnym zakazem komputery używane przez starożytnych.

Nade wszystko jednak Muad'Dib był Kwisatz Haderach, którego Bene Gesserit z ich planem eugenicznym poszukiwały wśród tysięcy pokoleń.

Tak więc Kwisatz Haderach, „ten, który jest w wielu miejscach naraz”, prorok, mężczyzna, poprzez którego Bene Gesserit miały nadzieję sterować ludzkim przeznaczeniem – taki człowiek został Imperatorem Muad'Dibem, wymusiwszy polityczne małżeństwo z córką Padyszacha Imperatora, którego pokonał.

Skupmy się na paradoksie, na klęsce ukrytej w owej chwili, bo zapewne czytaliście innych historyków i znacie nagie fakty. Dzicy Fremeni Muad'Diba rzeczywiście pokonali Padyszacha Imperatora Szaddama IV. Rozgromili legiony sardaukarów, połączone siły wysokich rodów, wojska

Harkonnenów i najemników kupionych za pieniądze przegłosowane w Landsraadzie. Muad'Dib rzucił Gildię Kosmiczną na kolana i osadził swą siostrę, Alię, na religijnym tronie, który Bene Gesserit uważały za swoją własność.

Dokonał tego wszystkiego i jeszcze więcej.

Misjonarze kwizaratu Muad'Diba ponieśli zagiew świętej wojny w przestrzeń międzyplanetarną i choć ich dżihad już po dwunastu standardowych latach stracił pierwotny impet, trwająca w tym czasie religijna kolonizacja poddała niemal cały wszechświat jednej władzy.

Dokonał tego, ponieważ zdobycie Arrakis, planety najczęściej nazywanej Diuną, zapewniło mu monopol na najtwardszą walutę we wszechświecie – geriatryczną przyprawę, melanż, życiodajną truciznę.

Oto kolejny składnik historii idealnej: substancja, której psychotropowe właściwości rozmotują czas. Bez melanżu Matki Wielebne zgromadzenia żeńskiego Bene Gesserit nie mogły uprawiać sztuki obserwacji i panowania nad ludźmi. Bez melanżu sternicy Gildii nie mogli pilotować statków w przestrzeni kosmicznej. Bez melanżu miliardy obywateli Imperium zmarłyby wskutek narkotycznego głodu.

Bez melanżu Paul Muad'Dib nie mógłby czytać przyszłości.

Wiemy, że ów moment najwyższej potęgi krył porażkę. Wyjaśnienie może być tylko jedno – że absolutnie dokładna i kompletna przepowiednia jest zabójcza.

Inni historycy podają, że Muad'Dib został pokonany przez oczywistych spiskowców: zgromadzenie żeńskie, Gildię oraz naukowych amoralistów z Bene Tleilax pod postacią maskaradników. Jeszcze inni wskazują na szpiegów w otoczeniu Muad'Diba. Rozwodzą się nad Tarotem Diuny, który przyćmił prorocze zdolności Imperatora. Niektórzy podkreślają, że zmuszono go do przyjęcia na służbę gholi, ciała wskrzeszonego z martwych w celu zniszczenia Muad'Diba. A przecież nie mogą nie wiedzieć, że tenże ghola był Duncanem Idaho, który poległ, ratując młodemu Paulowi życie.

Mimo to kreślą obraz koterii kwizaratu zarządzanego przez panegirystę Korbę. Krok po kroku odsłaniają plan Korby, obliczony na zrobienie z Muad'Diba męczennika i zrzucenie winy na Chani, jego fremieńską konkubinę.

Jak te opowieści wyjaśniają fakty znane historii? Nijak nie wyjaśniają. Jedynie przyjmując zabójczy charakter przepowiedni, możemy zrozumieć upadek tak ogromnej i dalekowzrocznej potęgi.

Tuszę, że inni historycy wyciągną jakieś wnioski z tego odkrycia.

– *Analiza historii. Muad’Dib* pióra Bronsa z Ixa



Nie ma przepaści między bogami a ludźmi. Jedni subtelnie przenikają się z drugimi.

– z *Przypowieści Muad’Diba*

Planując krwawą intrygę, Scytale, tleilaxański maskaradnik, nie uwolnił się od pełnej smutku litości.

„Będę żałował, że zgotowałem Muad’Dibowi cierpienie i śmierć” – powiedział sobie w duchu.

Skrzętnie zataił współczucie przed innymi spiskowcami. Taka wrażliwość dowodziła, że łatwiej mu się utożsamić z ofiarą niż z napastnikami – typowa cecha Tleilaxan.

Pogrążony w milczeniu Scytale stał nieco na uboczu. Od jakiegoś już czasu toczył się spór o psychiczną truciznę. Namiętny i gwałtowny, ale uprzejmy zgodnie z regułą, którą kompulsywnie wybierali adepci Wielkich Szkół, gdy chodziło o zagadnienia zbliżone do ich dogmatów.

– Niby masz go już w garści, a ptaszek znów jest na dachu!

Powiedziała to Matka Wielebna Bene Gesserit, stara Gaius Helena Mohiam, goszcząca ich tutaj, na Wallach IX. Chuda jak tyka czarownica w czarnej szacie tkwiła w dryfowym fotelu na lewo od Scytale’a. Opuszczony na plecy kaptur aby odsłaniał zasuszoną twarz w koronie siwych włosów. Oczy patrzyły z głębokich oczodołów, a rysy przypominały pośmiertną maskę.

Rozmawiali w języku mirabhasa – falangi spółgłosek niczym gładko oszlifowane diamenty, szeroko artykułowane samogłoski. Precyzyjnie wyrażał emocjonalne niuanse. Skorzystał z tego Edryk, sternik Gildii, odpowiadając Matce Wielebnej werbalnym ukłonem w opakowaniu szyderczego śmiechu – istna perełka uprzejmego lekceważenia.

Scytale spojrzał na wysłannika Gildii. Oddalony ledwie o parę kroków Edryk szybował w zbiorniku z pomarańczowym gazem. Zbiornik spoczywał pośrodku przezroczystej kopuły zbudowanej przez Bene Gesserit na tę okazję. Gildianin miał z grubsza ludzką, wydłużoną figurę, pletwy

w miejsce stóp i wielkie jak wachlarze dłonie z błoną między palcami – dziwna ryba w dziwnej wodzie. Z odpowietrzników zbiornika unosił się bladopomarańczowy obłok buchający wonią geriatrycznej przyprawy, melanzu.

– Jeśli nie zaprzestaniemy swarów, umrzemy na głupotę!

To była czwarta z obecnych osób, potencjalna uczestniczka spisku, księżna Irulana, małżonka („Ale nie żona” – podkreślił w duchu Scytale) ich wspólnego wroga. Wysoka, piękna blondynka we wspaniałym stroju z futra pletwała błękitnego i w pasującym do niego kornecie stała przy narożniku zbiornika, w którym pływał Edryk. W uszach błyszczały jej złote ozdoby. Nosiła się z wyniosłością wielkiej pani, jednak wystudiowany spokój na jej twarzy zdradzał sztukę samokontroli opanowaną w szkole Bene Gesserit.

Myśli Scytale’a przeniosły się z niuansów języka na niuanse miejsca spotkania. Kopułę otaczały ze wszystkich stron wzgórza pokryte liszajami topniejącego śniegu, na którym stojące w zenicie niewielkie, błękitnawe słońce malowało wodniste niebieskie plamy.

„Dlaczego akurat to miejsce?” – zastanawiał się Tleilaxanin. Bene Gesserit rzadko robiły coś bez powodu. Na przykład, wyraźny cel tej kopuły: w bardziej konwencjonalnym, zamkniętym pomieszczeniu gildianin mógłby popaść w klaustrofobiczną nerwowość. Jego zahamowania brały się z narodzin i życia w otwartej przestrzeni kosmicznej.

Jednak wzniesienie tej bańki mydlanej specjalnie dla Edryka musiało brutalnie uzmysławiać mu jego słabość.

„Co tutaj – zastanawiał się maskaradnik – zostało wymierzone we mnie?”

– Nie masz nic do powiedzenia, Scytale? – zapytała Matka Wielebna.

– Chcesz mnie wciągnąć w to przelewanie z pustego w próżne? Niech będzie. Mamy do czynienia z potencjalnym mesjaszem. Bezpośredni atak na kogoś takiego nic nie da. Męczennik zwycięży zza grobu.

Wpatrywali się w niego ze zdumieniem.

– Sądzisz, że to jedyne zagrożenie? – spytała chrapliwie Matka Wielebna.

Scytale wzruszył ramionami. Na to spotkanie przybrał dobroduszną, krągłolicą postać, pogodne oblicze, pełne usta bez wyrazu, pulchne jak pulpet ciało. Obserwując pozostałych spiskowców, dochodził teraz do wniosku, że wybrał idealnie, choć – być może – bezwiednie. On jeden w tym gronie potrafił zmieniać swą cielesną powłokę, korzystając z szerokiej palety ludzkich kształtów i rysów. Scytale, ludzki kameleon,

maskaradnik, upodobił się do osobnika, który aż się prosił, żeby traktować go lekceważąco.

– No więc? – ponagliła Matka Wielebna.

– Napawałem się milczeniem – rzekł Scytale. – Lepiej, aby nasze animozje pozostały niewypowiedziane.

Patrzył, jak Matka Wielebna ustępuje, jak przygląda mu się nowym okiem. Byli wytworami dogłębnego szkolenia prana i bindu, potrafili panować nad włóknami mięśni i nerwów na poziomie dostępnym zaledwie garstce ludzi. Scytale, maskaradnik, dysponował wszakże sprzężeniami mięśni i nerwów, jakich pozostali w ogóle nie mieli, a także wyjątkowym układem mimetycznym *sympatico*, dzięki któremu mógł przybrać zarówno postać cielesną, jak i duchową innej osoby.

– Trucizna! – rzucił, odczekawszy, aż stara doceni go w końcu. Wypowiedział to słowo atonalnie, dając tym do zrozumienia, że tylko on zna jego ukryte znaczenie.

Gildianin zakołysał się, a jego głos zagrział w połyskliwej kuli fonicznej, dryfującej nad Irulaną przy narożniku zbiornika.

– Rozważamy truciznę *psychiczną*, nie fizyczną.

Scytale wybuchnął śmiechem. Mirabhasi śmiech potrafi obdrzeć oponenta ze skóry, a Scytale poszedł na całość.

Irulana uśmiechnęła się z uznaniem, ale w kącikach oczu Matki Wielebnej zapaliły się iskierki gniewu.

– Przestań! – warknęła Mohiam.

Maskaradnik zamilkł, gdy już skupili na nim uwagę – Edryk oniemiały ze złości, Matka Wielebna nastroszona z gniewu, Irulana zaś rozbawiona, ale i zbita z tropu.

– Nasz druh Edryk uważa – powiedział Scytale – że dwie czarownice znające wszelkie arkana Bene Gesserit nie mają pojęcia o elementarnych zastosowaniach podstępu.

Mohiam odwróciła wzrok i zapatrzyła się na zimne wzgórza macierzystej planety Bene Gesserit.

„Zaczyna dostrzegać istotę rzeczy – pomyślał Scytale. – Stara z głowy. Ale pozostaje jeszcze Irulana”.

– Jesteś z nami, Scytale, czy nie? – zapytał Edryk, wybałuszywszy szczurze oczka.

– Kwestia mego aliansu jest poza sporem – rzekł maskaradnik. Uwagę skupiał na Irulanie. – Zastanawiasz się, księżno, czy warto było przebyć tyle

parseków, ryzykując tak wiele?

Skinęła głową.

– Żeby pogadać o niebieskich migdałach z człekokształtną rybą – ciągnął Scytale – albo z grubym maskaradnikiem z Tleilaxa?

Potrząsnęła głową, rozdrażniona ciężką wonią przyprawy, i odeszła od zbiornika.

Korzystając ze sposobności, Edryk wsunął pigułkę melanzu do ust.

„Żre, wdycha i, ani chybi, pije przyprawę” – odnotował Scytale w pamięci. I nic dziwnego, gdyż przyprawa potęgowała siłę jasnowidzenia, umożliwiając sternikowi prowadzenie liniowca Gildii z nadświatłą prędkością przez bezmiar wszechświata. Dzięki przyprawowemu objawieniu znajdował w przyszłości statku kurs, który omijał zagrożenia. Teraz Edryk wyczuwał innego rodzaju niebezpieczeństwo, lecz jego jasnowidzące oko być może go nie wypatrzy.

– Sądzę, że przybywając tutaj, popełniłam błąd – powiedziała Irulana.

Obróciwszy się, Matka Wielebna otworzyła i zamknęła oczy dziwnie gadzim ruchem.

Scytale wskazał Irulanie wzrokiem zbiornik, zapraszając księżną, by podzieliła jego punkt widzenia. Wiedział, że widok Edryka wzbudzi w niej wstręt: beczelne spojrzenie, wielgachne stopy i łapska powoli wiosłujące w gazowym kłębowisku pomarańczowych wirów. Irulana zastanowi się nad jego zwyczajami seksualnymi i wzdrygnie się na myśl o kopulacji z takim dziwadłem. Nawet generator pola siłowego, wytwarzający Edrykowi namiastkę nieważkości z przestrzeni kosmicznej, rozdzieli ich na dobre.

– Księżno – rzekł maskaradnik – dzięki obecnemu tu Edrykowi proroczy wzrok twego małżonka nie sięga pewnych wydarzeń, łącznie z niniejszym... mam nadzieję.

– Mam nadzieję – powtórzyła Irulana.

Nie otwierając oczu, Matka Wielebna skinęła głową.

– Zjawisko jasnowidzenia jest słabo znane nawet przez samych jasnowidzów – powiedziała.

– Jako nawigator Gildii mam pełną moc – oświadczył Edryk.

Matka Wielebna otworzyła oczy. Tym razem spojrzała na maskaradnika z owym szczególnym natężeniem typowym dla Bene Gesserit. Ważyła najdrobniejsze szczegóły.

– Nie, Matko Wielebna – rzekł cicho Scytale. – Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam.

– Nie rozumiemy mocy jasnowidzenia – powiedziała Irulana. – W tym sęk. Edryk twierdzi, że mój mąż nie widzi, nie wie ani nie przewiduje tego, co się dzieje w zasięgu oddziaływania nawigatora. Tylko jak wielki jest ten zasięg?

– Są na świecie sprawy i ludzie, których poznaję tylko po skutkach – oznajmił Edryk przez ściśnięte rybie wargi. – Wiem, że byli tu... tam... lub tam. Tak jak wodne zwierzęta pozostawiają po swoim przejściu zakłócenia toni, tak jasnowidz zakłóca czas. Widzę, gdzie twój małżonek był, ale nigdy nie widziałem jego samego ani jego zaufanych zwolenników. To rodzaj ukrycia, jakie mistrz jasnowidzenia daje swoim ludziom.

– Irulana nie jest twoja – rzekł maskaradnik i spojrzał z ukosa na księżną.

– Wszyscy wiemy, dlaczego musimy konspirować tylko w mojej obecności – stwierdził Edryk.

– Najwyraźniej przydajesz się do czegoś – powiedziała Irulana z modulacją stosowaną przy opisywaniu urządzenia.

„Już widzi, do czego on służy – pomyślał Scytale. – Świetnie!”

– Przyszłość sama się nie kształtuje – rzekł. – Miej to na uwadze, księżno.

Irulana popatrzyła na Tleilaxanina.

– Zaufani zwolennicy Paula – powiedziała. – Tak więc pod jego płaszczem ukrywają się wybrani fremieńscy legionieści. Widziałam, jak porywa ich proroczą wizją, słyszałam, jak z uwielbieniem wiwatują swojemu Mahdiemu, swojemu Muad'Dibowi.

„Świta jej w głowie – pomyślał Scytale – że przechodzi ostateczną próbę, w wyniku której ocaleje albo zginie. Widzi pułapkę, jaką na nią zastawiliśmy”.

Pochwyciwszy spojrzenie Matki Wielebnej, zyskał dziwną pewność, że myślą o tym samym. Bene Gesserit, rzecz jasna, doinformowały księżną, uzbroiły ją w wiedzę pozwalającą kłamać. Zawsze jednak przychodzi chwila, kiedy Bene Gesserit musi zawierzyć własnemu instynktowi i wyszkoleniu.

– Księżno, wiem, czego najgoręcej pragniesz od Imperatora – powiedział Edryk.

– A kto tego nie wie? – odparła Irulana.

– Pragniesz być założycielką królewskiej dynastii. – Edryk puścił jej odpowiedź mimo uszu. – Jeśli nie przystaniesz do nas, to się nigdy nie zdarzy. Ręczę słowem jasnowidza. Imperator poślubił cię z powodów politycznych, lecz nigdy nie będziesz dzielić z nim łoża.

- Znalazł się prorok podglądacz. – Irulana uśmiechnęła się szyderczo.
- Imperator jest bardziej mężem swojej fremieńskiej konkubiny niż twoim! – wycodził Edryk.
- A ona nie daje mu następcy – stwierdziła Irulana.
- Rozum pierwszy pada ofiarą gwałtownych emocji – mruknął Scytale. Wyczuwał gniew ogarniający księżną, ujrzał jednak, że jego ostrzeżenie odnosi skutek.
- Nie daje mu następcy – głos Irulany trzymał miarę pozornego spokoju – bo ukradkiem aplikuję jej środek antykoncepcyjny. Czy to wyznanie wam wystarczy?
- To coś, czego Imperator nie powinien wykryć – rzekł Edryk z uśmiechem.
- Mam dla niego kłamstwa na podorzędziu – powiedziała Irulana. – Co z tego, że ma zmysł prawdy, skoro niektóre kłamstwa łatwiej przełknąć niż prawdę.
- Dokonaj wyboru, księżno – rzekł Scytale – tylko weź pod uwagę, co cię chroni.
- Paul traktuje mnie przyzwoicie. Zasiadam w jego radzie.
- Czy jako księżna małżonka w ciągu dwunastu lat zaznałaś z jego strony choć odrobinę czułości? – zapytał Tleilaxanin.
- Pokręciła głową.
- Dzięki fremieńskiej hołocie pozbawił twego ojca władzy, poślubił cię, żeby zapewnić sobie prawo do tronu, ale nie koronował – powiedział Edryk.
- Edryk próbuje wpłynąć na ciebie, księżno, za pomocą emocji – rzekł Scytale. – Czy to nie interesujące?
- Spojrzawszy na maskaradnika, Irulana dostrzegła zuchwałą uśmiech i uniosła brwi w odpowiedzi. Scytale zauważył, że już w pełni zdała sobie sprawę, że jeśli zostawi Edrykowi wpływ na tę naradę, wspólne chwile, elementy tego spisku da się, być może, ukryć przed proroczą wizją Paula. Gdyby jednak odmówiła uczestnictwa...
- Nie wydaje ci się, księżno – podjął Tleilaxanin – że Edryk ma przesadny wpływ na naszą konspirację?
- Zapowiedziałem – podkreślił sternik – że z góry przyklasnę najlepszemu pomysłowi, jaki przyjdzie nam tu do głowy.
- A kto wybierze ten najlepszy? – zapytał Scytale.
- Chcesz, żeby księżna odleciała, nie przystąpiwszy do nas? – zaperzył się Edryk.

– Chce, żeby przystąpiła całym sercem – warknęła Matka Wielebna. – Nie potrzeba nam zdrajcy na pokładzie.

Scytale spostrzegł, jak Irulana rozluźnia mięśnie w pozie medytacji, z dłońmi schowanymi w rękawach szaty. „Myśli o przynęcie zarzuconej przez Edryka: założycielka królewskiej dynastii! – stwierdził. – Rozważa, co spiskowcy mają w zanadrzu, żeby trzymać ją w szachu. Ma wiele rzeczy do rozważenia”.

– Scytale – odezwała się po chwili – mówi się, że Tleilaxan obowiązuje osobliwy kodeks honorowy: wasze ofiary muszą zawsze mieć szansę ocalenia.

– Jeśli tylko ją dostrzegą – przytaknął maskaradnik.

– Jestem ofiarą? – zapytała.

Scytale parsknął śmiechem. Matka Wielebna głośno prychnęła.

– Bez obawy, księżno – rzekł Edryk z łagodną wymówką – ty już należysz do nas. Czyż nie szpiegujesz na dworze imperialnym dla przełożonych Bene Gesserit?

– Paul wie, że informuję moje nauczycielki – odparła.

– Ale dostarczasz im propagandowej amunicji przeciwko twojemu Imperatorowi – powiedział gildianin.

„Nie »naszemu« Imperatorowi – zauważył Scytale. – »Twojemu« Imperatorowi. Irulana jest zbyt dobrą Bene Gesserit, żeby przegapiła to przejęzyczenie”.

– Chodzi o moce i o to, jak można ich użyć – powiedział, zbliżając się do zbiornika gildianina. – My, Tleilaxanie, uważamy, że w całym wszechświecie jest tylko nienasycony głód materii, że tylko energia jest naprawdę stała. I energia się uczy. Słuchaj bacznie, księżno: energia się uczy. To właśnie nazywamy mocą.

– Nie przekonaliście mnie, że jesteśmy w stanie pokonać Imperatora – stwierdziła Irulana.

– Nawet nie przekonaliśmy siebie – rzekł Scytale.

– Gdziekolwiek się obrócić – powiedziała Irulana – objawia swoją moc. Kwisatz Haderach, ten, który jest w wielu miejscach naraz. Mahdi, którego byle zachcianka jest świętym przykazaniem dla misjonarzy kwizaratu. Mentat, którego kalkulacyjny umysł przewyższa najpotężniejsze komputery starożytności. Muad'Dib, z którego rozkazu legiony Fremenów pustoszą planety. Ma proroczy wzrok, którym widzi przyszłość. Ma genotyp, który my, Bene Gesserit, wymarzyliśmy sobie...

– Znamy jego przymioty – przerwała jej Matka Wielebna. – I wiemy, że Zły Duch, jego siostra Alia, ma taki genotyp. Ale oni są też ludźmi, oboje. Zatem mają i słabe strony.

– Gdzie są te ludzkie słabe strony? – zapytał maskaradnik. – Mamy ich szukać w religijnym ramieniu jego dżihadu? Czy kwizarzy Imperatora dadzą się zbuntować przeciwko niemu? A co z przedstawicielską władzą wysokich rodów? Czy Zgromadzenie Landsraadu może zrobić coś więcej, niż tylko podnosić krzyk?

– Proponuję Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles. – Edryk obrócił się w swoim zbiorniku. – KHOAM znaczy biznes, a biznes idzie za zyskiem.

– A może matka Imperatora? – rzekł Scytale. – Lady Jessika, o ile wiem, nie rusza się z Kaladanu, lecz pozostaje w stałym kontakcie z synem.

– Podstępna suka – powiedziała Mohiam spokojnie. – Przeklinam się za to, że ją wyszkoliłam.

– Nasz spisek wymaga narzędzia – powiedział Scytale.

– Jesteśmy więcej niż spiskowcami – odparła Matka Wielebna.

– O tak – zgodził się Scytale. – Jesteśmy pełni energii i szybko się uczymy. Dlatego stanowimy tę jedyną niepłoną nadzieję, to niezawodne zbawienie ludzkości. – Używał trybu absolutnej pewności, co w ustach Tleilaxanina mogło być, i zapewne było, wyrazem krańcowej ironii.

Wyglądało na to, że tylko Matka Wielebna wychwyciła tę językową subtelność.

– Dlaczego? – zapytała go wprost.

Zanim maskaradnik zdążył odpowiedzieć, Edryk odchrząknął i zabrał głos:

– Nie przerzucajmy się filozoficznymi dyrdymałami. Każde pytanie da się sprowadzić do jednego: „Dlaczego coś jest?” Każda religijna, gospodarcza i administracyjna kwestia ma jeden derywat: „Kto będzie u władzy?” Sojusze, konsorcja i wszelkie koalicje gonią w piętkę, jeśli nie dążą do władzy. Wszystko inne to plewy, co w końcu uświadamia sobie większość myślących istot.

Scytale, wyłącznie na użytek Matki Wielebnej, wzruszył ramionami. Edryk odpowiedział za niego na jej pytanie. Gadatliwy bałwan był ich słabym punktem. Dla pewności, że Mohiam zrozumiała, maskaradnik rzucił:

– Uważnie słuchając nauczyciela, zdobywa się wykształcenie.

Matka Wielebna z wolna skinęła głową.

– Księżno – powiedział Edryk – dokonaj wyboru. Zostałaś wyznaczona na narzędzie losu, absolutnie najdoskonalsze...

– Zachowaj pochlebstwa dla tych, którzy pójdą na ich lep – przerwała mu Irulana. – Wcześniej wspomniałeś o jakimś duchu, zmartwychwstańcu, którym możemy zatruć Imperatora. Wyjaśnij to.

– Atryda sam się pokona! – zapiał z zachwytu gildianin.

– Przestań mówić zagadkami! – warknęła Irulana. – Co to za duch?

– Bardzo niezwykły – powiedział Edryk. – Ma ciało i imię. Ciało słynnego mistrza miecza, znanego jako Duncan Idaho. Imię...

– Idaho nie żyje – stwierdziła księżna. – Paul często opłakiwał jego śmierć w mojej obecności. Widział, jak ginął z rąk sardaukarów mego ojca.

– Nawet w tamtym momencie sardaukarzy twego ojca nie stracili głowy. Przypuśćmy, że mądry dowódca sardaukarów rozpoznaje mistrza miecza w zabitym przez żołnierzy. Co dalej? Z takiego ciała i wyszkolenia są pożytki... jeśli zadziała się błyskawicznie.

– Tleilaxański ghola... – wyszeptała Irulana, patrząc spod oka na Scytale'a.

Widząc, że przyciąga jej uwagę, Scytale popisał się umiejętnościami maskaradnika – kształt przepływa w kształt, ciało rozchodzi się i schodzi na nowo. Wkrótce tkwił przed nią gibki mężczyzna. Mężczyzna o twarzy krągławej, smagłej i nieco spłaszczonych rysach. Wystające kości policzkowe tworzyły pod oczami progi o wyraźnych mongoloidalnych fałdach. Włosy miał czarne, niesforne.

– Ghola o takim wyglądzie. – Edryk wskazał Scytale'a.

– Czy po prostu inny maskaradnik? – spytała Irulana.

– Nie maskaradnik – zaprzeczył gildianin. – Dłużej obserwowany maskaradnik w końcu się zdradzi. Nie. Przypuśćmy, że nasz bystry dowódca sardaukarów kazał zakonserwować zwłoki Idaho z myślą o kadziach aksolotlowych. Czemu nie? Te zwłoki zawierały mięśnie i nerwy jednego z największych szermierzy w historii, doradcy Atrydów, geniusza wojny. Cóż to za strata zmarnować całe to wyszkolenie i zdolności, kiedy można ożywić je w instruktora sardaukarów.

– W życiu o tym nie słyszałam, choć byłam jednym z powierników ojca.

– Ach, ale twój ojciec już wtedy był przegranym człowiekiem, a ciebie wkrótce miał sprzedać nowemu Imperatorowi.

– Zrobiono to? – zapytała.

– Przypuśćmy – podjął Edryk z przyprawiającym o mdłości samozadowoleniem – że nasz bystry dowódca sardaukarów, wiedząc, iż liczy się każda chwila, natychmiast wysłał zakonserwowane ciało Idaho do Bene Tleilax. Przypuśćmy, po wtóre, że dowódca i jego podwładni zginęli, nie zdążąwszy przekazać wiadomości twojemu ojcu, któremu, tak czy owak, nie na wiele by się ona zdała. Pozostałby zatem fakt, wyekspediowanie jakiegoś ciała na Tleilaxa. Rzecz jasna, był tylko jeden sposób wysyłki: w ładowni liniowca. My w Gildii wiemy oczywiście dokładnie, co przewozimy. Czy dowiedziawszy się o takim ładunku, nie poszlibyśmy po rozum do głowy i nie kupili gholi jako daru stosownego dla Imperatora?

– Więc zrobiliście to – powiedziała Irulana.

– Jak daje do zrozumienia nasz złotousty przyjaciel, zrobiliśmy to – rzekł Scytale, który wrócił do swoich pierwotnych krągłości.

– Jak Idaho został uwarunkowany? – spytała księżna.

– Idaho? – Edryk spojrzał na Tleilaxanina. – Słyszałeś, Scytale, o jakimś Idaho?

– Sprzedaliśmy wam istotę imieniem Hayt – rzekł maskaradnik.

– Racja, Hayt. Dlaczego go nam sprzedaliście?

– Ponieważ kiedyś wyhodowaliśmy sobie własnego Kwisatz Haderach – odparł Scytale.

Matka Wielebna gwałtownie podniosła głowę.

– Nie powiedzieliście nam o tym! – Spiorunowała go wzrokiem.

– Bo nie pytałyście.

– Jak wam się udało zapanować nad waszym Kwisatz Haderach? – spytała Irulana.

– Osobnik, który strawił życie, budując swój wizerunek, prędzej umrze, niż stanie się jego antytezą.

– Nie rozumiem – wyznał Edryk.

– Zabił się! – warknęła Matka Wielebna.

– Dobrze rusz głową, Matko Wielebna – uprzedził maskaradnik w tonacji głoszącej: Nie jesteś obiektem seksualnego pożądania, nigdy nie byłaś obiektem seksualnego pożądania i nie możesz być obiektem seksualnego pożądania.

Czekał, aż dotrze do niej wulgarność fonicznej emfazy. Ona musi zrozumieć jego intencję. Gdy już minie gniew, musi uświadomić sobie, że Tleilaxanin nie mógł sformułować takiego zarzutu, znając reprodukcyjne

wymogi zgromadzenia żeńskiego. Tymczasem w jego wypowiedzi kryła się ordynarna zniewaga, zupełnie nie w tleilaxańskim stylu.

Edryk szybko przeszedł na pojednawczy ton mirabhasa, aby zażegnać burzę:

– Nam powiedziałaś, Scytale, że sprzedaliście Hayta, bo wykorzystamy go tak samo, jak wy chcieliście.

– Milcz, Edryk, dopóki nie udzielę ci głosu – rzekł Scytale.

Próbę protestu gildianina ucięła Matka Wielebna:

– Zamknij się, Edryk!

Gildianin odpłynął w głąb zbiornika, młóćąc kończynami.

– Chwilowe emocje nie mają żadnego związku z rozstrzygnięciem wspólnego problemu – stwierdził maskaradnik. – Tylko przyćmiewają rozum, jedyną istotną emocją bowiem jest elementarny strach, który nas tu sprowadził.

– Zdajemy sobie z tego sprawę. – Irulana rzuciła okiem na Matkę Wielebną.

– Musicie mieć świadomość groźnych ograniczeń naszej tarczy. Jasnowidz nie natknie się na to, czego nie rozumie – rzekł Tleilaxanin.

– Jesteś chytry, Scytale – powiedziała Irulana.

„Oby nie odgadła, jak bardzo – pomyślał. – Po wszystkim będziemy mieli własnego Kwisatz Haderach pod kontrolą. A oni zostaną z niczym”.

– Skąd się wziął wasz Kwisatz Haderach? – spytała Matka Wielebna.

– Zabawialiśmy się różnymi czystymi esencjami bytu. Czystym dobrem i czystym złem. Czysty czarny charakter, znajdujący przyjemność w bólu i strachu ofiary, może być zgoła kształcący.

– Czy stary baron Harkonnen, dziadek naszego Imperatora, był tworem Tleilaxan? – spytała Irulana.

– On akurat nie. Ale z drugiej strony, natura często rodzi istoty równie zabójcze jak nasze. My tworzymy je tylko w takich warunkach, w których możemy je obserwować.

– Nie dam się pomijać ani pomiatać sobą w ten sposób! – postawił się Edryk. – Kto ukrywa to spotkanie przed...

– Widzicie? – rzekł Scytale. – Czyj najlepszy osąd nas ukrywa? Jaki osąd?

– Chcę omówić sposób przekazania Hayta Imperatorowi – uparł się gildianin. – Jak rozumiem, Hayt uosabia dawną moralność, którą wpojono Atrydzie na jego rodzinnej planecie. Ma ułatwić Imperatorowi poszerzenie

jego świadomości moralnej, wyznaczenie dodatnich i ujemnych pierwiastków życia i religii.

Scytale uśmiechnął się, ogarniając towarzyszy życzliwym spojrzeniem. Byli tacy, jak się spodziewał, co do joty. Stara Matka Wielebna władająca emocjami jak kosą. Irulana doskonale wyszkolona do zadania, któremu nie sprostала, felerny produkt Bene Gesserit. Edryk ni mniej, ni więcej niż dłoń prestidigitatora: potrafiący ukrywać i odwracać uwagę. Właśnie znowu pogrążył się w grobowym milczeniu, gdyż go zlekceważono.

– Czy dobrze zrozumiałam, że ten Hayt ma zatruć psychikę Paula? – spytała księżna.

– Mniej więcej – odparł Scytale.

– A co z kwizaratem?

– Wystarczy maleńkie przesunięcie akcentów, glisada emocji, by zmienić zawiść w nienawiść.

– KHOAM? – chciała wiedzieć Irulana.

– Dla nich magnesem jest zysk – rzekł Scytale.

– A pozostałe ośrodki?

– Człowiek powołuje się na prawo do władzy – oznajmił Scytale. – Anektujemy słabszych w imię moralnego ładu i postępu. Silniejsi sami się wykończą we wzajemnych swarach.

– Alia też?

– Hayt to wielozadaniowy ghola. Siostra Imperatora osiągnęła wiek, w którym przystojny i zaprojektowany do tego kawaler może zawrócić jej w głowie. Będą ją pociągać jego męskość i zdolności mentata.

Mohiam zrobiła okrągłe oczy, nie próbując ukryć zaskoczenia.

– Ghola jest mentatem? To niebezpieczny krok.

– By być wiarygodnym – powiedziała Irulana – mentat musi mieć wiarygodne dane. Co będzie, jeśli Paul każe mu określić ukryty cel naszego podarunku?

– Hayt powie prawdę – rzekł maskaradnik. – Nam jest wszystko jedno.

– Zatem dajecie Paulowi szansę ocalenia – stwierdziła księżna.

– Mentat! – mruknęła Mohiam.

Scytale zerknął na starą Matkę Wielebną, wiedząc, że na jej reakcji zaważyły odwieczne uprzedzenia. Komputery budziły nieufność od czasów Dżihadu Butleriańskiego, który oczyścił większość wszechświata z „myślących machin”. Dawne urazy przeniosły się również na ludzki komputer.

– Nie podoba mi się twój uśmieszek – powiedziała raptem Mohiam, posilkując się trybem szczerej prawdy, i zmierzyła Scytale’a wzrokiem.

– Mało mnie obchodzi, co ci się podoba – odparł w tej samej tonacji. – Ale musimy grać razem. To jasne dla nas wszystkich. – Spojrzał na gildianina. – Prawda, Edryk?

– Lubisz dawać innym szkołę – powiedział sternik. – Zdaje się, że chcesz mi wbić do głowy, że uzgodnione zdanie spiskowców musi być dla mnie święte.

– Widzicie, nauka nie idzie w las – rzekł Scytale.

– Ja widzę również inne rzeczy! – warknął Edryk. – Atryda ma monopol na przyprawę. Bez przyprawy nie mogę czytać w przyszłości. Prawdomówczynie Bene Gesserit nie wpadną bez niej w trans prawdy. Mamy zapasy, ale każde zapasy kiedyś się kończą. Melanż to mocna waluta.

– Nasza cywilizacja ma niejedną walutę – oznajmił Scytale. – Zatem prawo popytu i podaży nie działa.

– Zamierzacie wykraść sekret przyprawy – syknęła Mohiam. – Z planety Imperatora strzeżonej przez jego szalonych Fremenów!

– Fremenі są dobrze wychowani, wyszkoleni i ciemni – odparł maskaradnik. – Nie są natomiast szaleni. Uczy się ich wierzyć, nie polegać na wiedzy. Wiarą można manipulować. Jedynie wiedza jest groźna.

– A czy dla mnie zostanie coś na założenie królewskiej dynastii? – spytała Irulana.

Wszyscy usłyszeli zgodę w jej głosie, ale jeden Edryk przyjął to z uśmiechem.

– Coś – odparł Scytale. – Coś.

– To oznacza kres panowania tego Atrydy – powiedział Edryk.

– Mam wrażenie, że już ludzie o mniejszym darze jasnowidzenia to przepowiedzieli. Dla nich *mektub al mellah*, jak mawiają Fremenі.

– „Rzecz była wypisana solą” – przetłumaczyła Irulana.

Słuchając jej, Scytale zrozumiał, co przygotowały dlań Bene Gesserit: piękną i inteligentną kobietę, która nigdy nie będzie jego. „No cóż – pomyślał – może zreprodukuje ją w innej”.



Każda cywilizacja musi stawić czoło pozbawionej świadomości sile, zdolnej pokrzyżować, zdradzić bądź unicestwić wszelki niemal świadomy zamysł zbiorowości.

– tleilaxański teoremat (apokryf)

Przysiadłszy na brzegu łóżka, Paul zabrał się do ściągania pustynnych butów. Zalatywały zjełczałym smarem od ukrytych w obcasach pomp połączonych z wodowodami filtraka. Zrobiło się późno. Przedłużył nocny wypad, spędzając sen z powiek tym, którym był bliski. Po prawdzie, eskapady te były niebezpieczne, ale tego rodzaju niebezpieczeństwo umiał rozpoznać i w lot zażegnać. Nocna wędrówka *incognito* ulicami Arrakin miała w sobie jakiś magiczny urok.

Cisnąwszy buty w kąt sypialni, pod jedyną tu lumisferę, skupił się na patkach filtraka. Bogowie podziemi, ależ się nachodził! Jednak zmęczenie zaległo tylko w mięśniach, nie zwalniając karuzeli myśli. Obrazki codziennego życia budziły w nim głęboką zazdrość. Nurt anonimowej krzątany poza murami twierdzy na ogół omijał Imperatora, a przecież... spacer ulicą bez zwracania na siebie uwagi – jakież to przywilej! Mijać hałaśliwie żebrzących pielgrzymów, słyszeć, jak jakiś Fremen wymyśla kramarzowi: „Masz mokre łapy!”

Uśmiechnąwszy się na wspomnienie tego, Paul ściągnął filtrak.

Stał nagi, w przedziwnej harmonii ze swoją planetą. Dzisiejsza Diuna była planetą paradoksu: zarazem ośrodkiem władzy i oblężoną twierdzą. Oblężenie, przyznał w duchu, to naturalny los władzy. Spuścił wzrok na zielony dywan, wyczuwając bosymi stopami szorstkość włosia.

Wiatr znad Muru Zaporowego zarzucił ulice po kostki piaskiem. Ruch pieszego starł go na dławiący pył, który zatykał filtry filtraka. Mimo dmuchaw w portalach twierdzy nadal wyczuwał jego zapach. Woń ta pełna była wspomnień pustyni.

„Inne czasy... inne niebezpieczeństwa” – pomyślał.

W porównaniu z tamtymi czasami jego obecne samotne wędrówki były niemal bezpieczne. Tyle że przywdziewając filtrak, jak gdyby przywdziewał z nim pustynię. Filtrak – z całą tą instalacją do odzyskiwania wilgoci ciała – kierował myśli na inne tory, nadawał ruchom rytm typowy dla pustyni. Wskrzeszał dzikiego Fremena. W filtraku bardziej niż w przebraniu stawał się obcy swojemu miejskiemu ja. Gwizdał na niebezpieczeństwo, ufając starym umiejętnościom bojowym. Pielgrzymi i miejscowi omijali go wówczas ze spuszczonego wzrokiem. Rozum nakazywał im schodzić

dzikusom z drogi. Jeśli pustynia miała twarz, dla ludzi z miasta było to oblicze Fremena skryte za filtrem i wtykami nosowymi filtraka.

W istocie, raczej nie groziło mu, że ktoś z dawnych, siczowych czasów rozpozna go po chodzie, po zapachu albo po oczach. A gdyby nawet, ryzyko spotkania wroga było jeszcze mniejsze.

Szelest zasłon w drzwiach i potok światła wyrwały go z zadumy. Chani wniosła serwis do kawy na platynowej tacy. Szybujące za nią dwie podręczne lumisfery zawisły na swoich miejscach: jedna u wezglowia łóżka, druga koło Fremenki, przyświecając jej krzątaniu.

W ruchach Chani była jakaś odwieczna słabość siły – taka samodzielna, a taka krucha. Patrząc, jak się pochyla nad zastawą, wrócił pamięcią do ich pierwszych wspólnych dni. Jej wdzięczna śniada twarz z pozoru pozostała nietknięta przez te wszystkie lata, jedynie w kącikach pozbawionych białek oczu można było dostrzec zmarszczki: „ścieżki piasku”, jak nazywają je Fremeni z pustyni.

Para buchnęła z dzbanka, kiedy Chani uniosła pokrywkę ze szmaragdem z Hagala w miejsce uchwytu. Sam sposób, w jaki Fremenka przykryła dzbanek, uświadomił Paulowi, że kawa jeszcze nie jest gotowa. Dzbanek – srebrna figurka flecistki w zaawansowanej ciąży – był jego ganimą, zdobyczą wojenną; poprzedniego właściciela zabił w pojedynku. Dżamis, takie imię nosił ów człowiek... Dżamis. Śmierć przyniosła Dżamisowi nieśmiertelność w iście osobliwym kształcie. Czy pojawiwszy, że jest nieuchronna, Dżamis miał akurat w pamięci to cacko?

Chani przygotowała filiżanki: błękitna ceramika stanęła przy wielkim dzbanku niczym świta. Dwie dla nich, trzecia dla wszystkich poprzednich właścicieli zastawy.

– Będzie dobra lada chwila – oświadczyła Chani, podnosząc oczy.

Zastanawiał się, jak ona go postrzega. Czy wciąż jako egzotycznego obcoświatowca, chudego wprawdzie i łykowatego, lecz nalanego wodą w porównaniu z Fremenami? Czy może jednak jako Usula, noszącego plemienne imię mężczyzny, który posiadał ją podczas fremeńskiej tau, gdy byli zbiegami na pustyni?

Przesunął wzrokiem po swym ciele: wyrobione mięśnie, płaski brzuch... kilka blizn więcej, ale w sumie takie samo mimo dwunastu lat na tronie. Zerknął w stojące na półce lusterko – błękitne w błękitie oczy Fremena, piętno uzależnienia od przyprawy, i orli nos Atrydów. Twarz nieodrodnego

wnuka Atrydy, który zginął na arenie, walcząc z bykiem dla rozrywki poddanych.

W pamięci Paula ożyły słowa dziadka: „Ten, kto panuje, dźwiga brzemień odpowiedzialności za poddanych. Jest gospodarzem. Czasami wymaga to aktu bezinteresownej miłości, który rządzonych może co najwyżej zabawić”.

Ludzie nadal wspominają Starego Księcia z miłością.

„A ja co zrobiłem dla imienia Atrydów? – zadał sobie pytanie. – Wpuściłem wilka między owce”.

Pomyślał o lawinie śmierci i przemocy toczącej się w jego imieniu.

– Marsz do łóżka! – Rozkazujący ton Chani jak nic wprowadziłby jego poddanych w osłupienie.

Posłusznie wyciągnął się na wznak, założył ręce za głowę i z błogością śledził swojską krzątanie Chani.

Niespodziewanie rozbawił go wystrój komnaty. Ludzie z pewnością zgola inaczej wyobrażali sobie sypialnię Imperatora. Żółte światło chwiejnych lumisfer kładło chybotałiwie cienie na szeregi flakonów z barwionego szkła na półce za plecami Chani. W duchu wymieniał ich zawartość: suszone składniki pustynnej farmakopei, maści, pachnidła, pamiątki... szczypta piasku z siczy Tabr, pukiel włosów ich pierworodnego... syna, który nie żył od dawna... od dwunastu lat... niewinnej ofiary bitwy, która jego ojca uczyniła Imperatorem.

Wokoło rozszedł się aromatyczny zapach przyprawowej kawy. Paul pociągnął nosem, zatrzymując wzrok na żółtej misie obok tacy, na której Chani parzyła kawę. W misie były orzechy ziemne. Zamontowany pod stolikiem nieodłączny wykrywacz trucizny wyciągał swe owadzie ramiona do jedzenia. Zezłościło go to urządzenie. Za pustynnych czasów nie potrzebowali żadnych wykrywaczy.

– Kawa gotowa – powiedziała Chani. – Zjesz coś?

Gniewną odmowę Paula zagłuszył wizg przyprawowej lichtugi startującej z lądowiska na obrzeżach Arrakin.

Chani, świadoma jego złości, nalala kawy dla obojga i postawiła mu filiżankę w zasięgu ręki. Usiadła na łóżku, odkryła nogi Paula, po czym zajęła się masowaniem mięśni napiętych od wędrówki w filtraku. Lekkim, niemal obojętnym tonem, na co nie dał się nabrać, powiedziała:

– Irulanie marzy się dziecko.

Otworzył szeroko oczy i bacznie przyjrzał się Chani.

– Nie minęły dwa dni, odkąd wróciła z Wallach – zauważył. – Już zdążyła cię dopaść?

– Nie rozmawialiśmy o jej niespełnionych marzeniach – odparła.

Rozbudziwszy zmysły, poddał Chani drobiazgowej obserwacji według metody Bene Gesserit, której wbrew regułom zgromadzenia nauczyła go matka. Nie lubił robić Chani takich sztuczek. Część jej władzy nad nim brała się właśnie stąd, że bardzo rzadko musiał się wobec niej uciekać do swych zdolności potęgowania percepcji. Chani na ogół nie zadawała niedyskretnych pytań. Nie pozwalało jej na to fremeńskie dobre wychowanie. Jej pytania najczęściej były praktyczne. Interesowało ją to wszystko, co dotyczyło sytuacji jej mężczyzny – siła jego głosów w radzie, wierność legionów, możliwości i talenty sojuszników. Miała w głowie katalogi nazwisk i szczegółowych informacji wraz z odnośnikami. Potrafiła wyrecytować główne słabości wszystkich znanych przeciwników, potencjalne rozmieszczenie wrogich sił, taktyczne i strategiczne plany ich sztabów, park maszynowy oraz zdolności produkcyjne głównych gałęzi przemysłu.

„Dlaczego teraz pyta o Irulanę?” – zastanawiał się Paul.

– Zawracam ci głowę – powiedziała Chani. – Nie miałam takiego zamiaru.

– A jaki miałaś zamiar?

Z leciutkim uśmiechem popatrzyła mu w oczy.

– Proszę, kochany, jeśli jesteś zły, nie kryj się z tym.

Paul oparł się o wezgłowie.

– Mam ją oddalić? Pożytek z niej już niewielki, a w jej podróży sentymentalnej do siedziby zgromadzenia żeńskiego wyczuwam coś, co mi się nie podoba.

– Nie możesz jej oddalić – powiedziała Chani. Nie przerywając masażu, podjęła rzeczowo: – Wiele razy powtarzałeś, że ona stanowi twoją więź z naszymi wrogami, że z jej działań możesz wyczytać ich zamiary.

– To po co wspomniałaś o jej marzeniu o dziecku?

– Uważam, że jeśli uczynisz ją brzemienną, pokrzyżuje to plany naszym wrogom i osłabi pozycję Irulany.

Po ruchach masujących go dłoni poznał, ile kosztowała ją ta wypowiedź. Poczul ucisk w gardle.

– Chani, kochana – rzekł łagodnie – przysięgłem, że nigdy nie wezmę jej do łóżka. Dziecko dałoby jej zbyt dużą władzę. Chciałabyś, żeby zajęła

twoje miejsce?

– Ja nie mam swojego miejsca.

– Nie pleć, Sihaja, wiosno pustyni. Co to za nagły przypływ troski o Irulanę?

– Nie o nią, lecz o ciebie! Gdyby nosiła atrydzie dziecko, straciłaby zaufanie swych przyjaciół. Im mniej nasi wrogowie jej ufają, tym mniejszy z niej pożytek dla nich.

– Jej dziecko może oznaczać twoją śmierć. Znasz to gniazdo intryg. – Szerokim gestem wskazał mury twierdzy.

– Musisz mieć następcę – powiedziała głucho.

– Aaach.

Zatem o to chodziło: ona nie dała mu dziecka. Musi więc je dać jakaś inna. Dlaczego nie Irulana? Tok rozumowania Chani był prosty. A stać się to musi w akcie miłosnym, gdyż tabu sztucznego zapłodnienia było powszechne jak Imperium długie i szerokie. Chani dokonała fremieńskiego wyboru.

Paul przyjrzał się jej twarzy w nowym świetle. Znał ją poniekąd lepiej niż własną. Widział, jak omdlewa w namietności, jak słodka jest we śnie, jak zmienia się w lęku, w gniewie, w rozpacz.

Zamknął oczy, a Chani raz jeszcze stanęła mu w pamięci jako młoda dziewczyna – w welonie wiosny, nucąc, budząc się u jego boku – taka doskonała, że zatracił się w samym obrazie. Uśmiechnęła się w tym wspomnieniu... nieśmiało na początku, później wszakże stawiała opór jego wizji, jak gdyby miała wielką ochotę z niej uciec.

Paul poczuł suchość w ustach. Przez chwilę dolatywał go swąd ze zgliszczy przyszłości i głos z innego rodzaju objawienia, nakazujący: „Zawracaj... zawracaj... zawracaj”. Od tak dawna podsłuchiwał w proroczych wizjach wieczność, łowiąc strzępy obcych języków, słuchając mowy obcych kamieni i obcych istot. Od dnia pierwszej potyczki ze strasliwym przeznaczeniem spoglądał badawczo w przeszłość w nadziei, że odnajdzie oazę spokoju.

Droga istniała, rzecz jasna. Znał ją jak modlitwę, którą wystarczy odklepać – dokładne wskazówki z katarynki przyszłości: „Zawracaj, zawracaj, zawracaj...”

Otworzył oczy i zobaczył zdecydowanie na twarzy Chani. Zaniechawszy masażu, siedziała nieruchoma – Fremenka z krwi i kości. Błękitna chusta nezhoni, którą często przewiązywała włosy w zaciszu domowym, nie

zmieniła jej rysów. Jednak spod maski stanowczości wyzierał starodawny i obcy mu sposób myślenia. Fremenki od tysięcy lat dzieliły się mężami – nie zawsze bez oporów, ale zazwyczaj nie robiąc z tego tragedii. Przemiana Chani miała coś z tajemnicy fremeńskiego ducha.

– Ty mi dasz następcę, nikt inny – rzekł.

– Widziałeś to? – Było jasne, że pyta o proroczą wizję.

Nie po raz pierwszy nie wiedział, jak wyjaśnić koronkowość wizji, nieprzeliczone nici czasu, które snuła przed nim na pofałdowanej kanwie. Westchnąwszy, wspomniął zaczerpniętą z rzeki wodę w złożonych w kubek drżących dłoniach – jak uciekała mu między palcami. Zdażył zanurzyć w niej twarz. Jak mógł się zanurzyć w przyszłościach, które uciekały coraz dalej i dalej pod naporem zbyt wielu jasnowidzów?

– Zatem nie widziałeś tego – powiedziała Chani.

Wieszcza przyszłość, już prawie dlań niedostępna, chyba że kosztem nadludzkiego wysiłku... cóż ona mogła im ukazać prócz smutku? Paul miał wrażenie, że zajmuje środek pustkowia, jałowe miejsce, gdzie jego uczucia zlatują się, szybują i gnane wiecznym niepokojem, ulatują w dal.

Chani okryła mu nogi.

– Sprawy dziedzica rodu Atrydów nie pozostawia się przypadkowi albo jednej kobiecie – oświadczyła.

„Coś takiego mogłaby powiedzieć moja matka” – pomyślał Paul. Ciekawiło go, czy lady Jessica w tajemnicy komunikuje się z Chani. Matka myślała kategoriami rodu Atrydów. Taki sposób myślenia wpoili jej i uwarunkowały Bene Gesserit i takiego się trzymała nawet teraz, gdy jej talenty obróciły się przeciwko zgromadzeniu.

– Podśluchiwałaś, kiedy Irulana przyszła dziś do mnie – wytknął Chani.

– Podśluchiwałam – odparła, unikając jego wzroku.

Wrócił pamięcią do spotkania z Irulaną. Zajrzawszy do salonu, spostrzegł niedokończony materiał na krośnie Chani. Wszędzie czuć było drażniącą woń czerwia, smród, który niemal przytłoczył ostry cynamonowy zapach melanżu. Surowa esencja przyprawowa rozlała się komuś na dywan z melanżowych włókien i doszło do reakcji. Nie było to szczęśliwe połączenie. Esencja przyprawowa rozpuściła dywan. Oleista maź zakrzepła na posadzce z plasmuru. Zamierzał wezwać kogoś do uprzątnięcia tego paskudztwa, lecz przeszkodziła mu Hara, najbliższa przyjaciółka Chani i żona Stilgara, która zapowiedziała Irulanę.

Zmuszony był prowadzić rozmowę w tym smrodzie i nie potrafił się uwolnić od fremieńskiego przesądu, że przykre zapachy zwiastują nieszczęście.

Hara zniknęła wraz z wkroczeniem Irulany.

– Witam – powiedział Paul.

Irulana miała szatę z futra walenia szarego. Obciągnęła ją na siebie i poprawiła włosy. Spostrzegł, że zaskoczył ją swym łagodnym tonem. Czuł, jak po namyśle odrzuca gniewne słowa, najwyraźniej z góry przygotowane na to spotkanie.

– Przybywasz z wieścią, że siostrzyczki straciły resztki moralności – rzekł.

– Tyle to śmieszne, co niebezpieczne – odparła.

– Śmieszne i niebezpieczne to osobliwa kombinacja – stwierdził. Zdobyte bezprawnie wyszkolenie Bene Gesserit powiedziało mu, że zdusiła w sobie chęć odwrotu. Wychwycił też przeblysłk głęboko skrywanego strachu i zrozumiał, że nie jest zachwycona powierzonym jej zadaniem. – Ciut za dużo oczekują od księżnej królewskiej krwi – dodał.

Irulana zamarła. Paul bez mała widział, jak bierze się w garść z siłą żelaznego imadła. „Bardzo ciężkie to jej brzemię” – przyznał w duchu. I zastanowiło go, dlaczego w proroczych wizjach nie dostrzegł choćby fragmentu tej możliwej przyszłości.

Księżna powolutku odzyskała spokój. Przyjęła, że skoro nie warto się bać, to i tchórzyc nie warto.

– Hołdujesz strasznie prymitywnemu modelowi pogody – powiedziała, rozmasowując sobie ramiona przez suknię. – Dzień suchy i burza piaskowa zamiast deszczu. Nigdy nie pozwolisz, żeby tu popadało?

– Nie przyszłaś rozmawiać o pogodzie.

Czuł, że nurza się w podwójnych znaczeniach. Czy Irulana usiłuje powiedzieć mu coś, o czym szkolenie nie pozwala jej mówić bez ogródek? Na to wyglądało. Miał wrażenie, że nagle zaczął dryfować i musi czym prędzej dotrzeć na twardy grunt.

– Muszę mieć dziecko – oświadczyła.

Pokręcił głową.

– Postawię na swoim! – rzuciła. – W razie potrzeby znajdę innego ojca. Przyprawię ci rogi, a ty demaskuj mnie sobie potem.

– Przyprawiaj mi rogi do woli – rzekł – byle bez dziecka.

– Niby jak mnie powstrzymasz?

Obdarzył ją najuprzejmiejszym z uśmiechów.

– Jeśli będzie trzeba, każę cię zgarotować.

W nagłej ciszy odniósł wrażenie, że Chani podsłuchuje za grubymi kotarami w przejściu do ich komnat mieszkalnych.

– Jestem twoją żoną – wyszeptała Irulana.

– Przestańmy się bawić w kotka i myszkę – powiedział. – Grasz tylko jej rolę i kropka. Oboje wiemy, kto jest moją żoną.

– A ja jestem użytecznym rekwizytem, niczym więcej. – Głos miała pełen goryczy.

– Nie chcę traktować cię okrutnie.

– Sam wybrałeś mnie do tej roli.

– Nie ja – odparł. – Los cię wybrał. Twój ojciec cię wybrał. Bene Gesserit cię wybrały. Gildia cię wybrała. I wybrali cię znowu. Do czego teraz cię wybrali, Irulana?

– Dlaczego nie mogę być matką twego dziecka?

– Bo nie zostałeś wybrana do tej roli.

– Mam prawo urodzić następcę tronu! Mój ojciec był...

– Twój ojciec był i jest potworem. Ty i ja wiemy, że niemal całkowicie stracił więź z ludzkością, której miał panować i bronić.

– Czy nienawidzili go mniej, niż nienawidzą ciebie?! – wybuchnęła Irulana.

– Dobrze pytanie – przyznał, uśmiechając się sardonicznie samymi kącikami ust.

– Mówisz, że nie chcesz traktować mnie okrutnie, tymczasem...

– Ależ właśnie dlatego zgadzam się, żebyś przebierała w kochankach. Tylko zrozum mnie dobrze: miej kochanka, bylebym ja nie miał tu bękarta. Nie uznaję takiego dziecka. Nic mi do twoich miłostek, póki będziesz dyskretna... i bezdzietna. Byłbym durniem, gdybym myślał inaczej w tych okolicznościach. Ale nie nadużywaj wolności, jaką ci hojnie daję. Jeśli chodzi o tron, ja decyduję, czyjej krwi jest następca. Nie decydują o tym ani Bene Gesserit, ani Gildia. To jeden z przywilejów, który zdobyłem na równinie pod Arrakin, za tymi oknami, rozbijając legiony sardaukarów twego ojca.

– Teraz to już twoje zmartwienie. – Irulana obróciła się na pięcie i wypadła z komnaty.

Wspomniawszy to spotkanie, Paul skupił całą świadomość na Chani, która siedziała przy nim na łóżku. Potrafił zrozumieć swoje mieszane

uczucia wobec Irulany, rozumiał też fremeński wybór Chani. W innych okolicznościach Chani i Irulana mogłyby zostać przyjaciółkami.

– Co postanowiłeś? – spytała Chani.

– Żadnego dziecka – odparł.

Kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni Chani zrobiła fremeński znak krysnoża.

– Może do tego dojść – przyznał.

– Myślisz, że nie przekabacisz Irulany dzieckiem?

– Tylko głupi myślałby inaczej.

– Nie jestem głupia, kochany.

Ogarnęła go złość.

– Nigdy nie mówiłem, że jesteś! Ale nie dyskutujemy o romansie z jakiejś durnej powieści. Pod tym dachem jest prawdziwa księżna. Wyrosła pośród brudnych intryg imperialnego dworu. Spiskuje z taką samą łatwością, z jaką pisze te głupie książki.

– One nie są głupie, kochany.

– Pewnie nie. – Opanowując złość, ujął jej dłoń w swoje. – Przepraszam. Ale ta kobieta snuje wiele planów... plany w planach. Ustąp jej w jednym, a nadziejesz się na drugi.

– Czy zawsze tego nie mówiłam? – Głos Chani złagodniał.

– Tak, rzeczywiście. – Zmierzył ją wzrokiem. – Co właściwie próbujesz mi powiedzieć?

Ułożyła się przy nim i przytuliła głowę do jego szyi.

– Powzięli decyzję, jak z tobą walczyć – oświadczyła. – Irulana z daleka załatuje tajnymi ustaleniami.

Pogłaskał ją po włosach.

Oczyściła mu ziarno z plew.

Porwało go straszliwe przeznaczenie. Kurzawa Coriolisa w duszy. Świst wichru przenikający do zrębów jestestwa. Ciało poznaje wtedy rzeczy niedostępne dla świadomości.

– Chani, kochana – szepnął – wiesz, ile bym dał, żeby zakończyć dżihad... odciąć się od tej przeklętej boskości, w którą wrabia mnie kwizarat?

Przeszedł ją dreszcz.

– Wystarczy, że wydasz rozkaz – powiedziała.

– Och, nie. Nawet gdybym teraz umarł, moje imię nadal by ich wiodło. Kiedy pomyślę, że imię Atrydów jest związane z tą religijną jatką...

– Przecież jesteś Imperatorem! Masz...

– Jestem marionetką. Raz deifikowany, taki bóg od siedmiu boleści nie ma już nic do gadania w sprawie swej boskości. – Zaniósł się gorzkim śmiechem. Miał wrażenie, że przyszłość spogląda na niego oczyma jeszcze nie objawionych dynastii. Usłyszał krzyk swego odrzucanego istnienia, odczepionego od łańcuchów losu... tylko jego imię trwało dalej. – Zostałem wybrany – rzekł. – Być może już w chwili narodzin... A na pewno zanim miałem tu cokolwiek do powiedzenia. Zostałem wybrany.

– To się temu przeciwstaw – powiedziała.

Przygarnął ją do siebie.

– W swoim czasie, kochana. Daj mi jeszcze trochę czasu.

Łzy piekły go pod powiekami.

– Powinniśmy wrócić do siczy Tabr – stwierdziła Chani. – Za dużo wiatru w oczy w tym namiocie z kamienia.

Pokiwał głową, a jego broda muskała jedwabisty materiał chusty na włosach ukochanej. Chłonał jej kojący przyprawowy zapach.

Sicz. Smakował to słowo w starożytnym chakobsa: miejsce zbiórki w razie zagrożenia. Rada Chani obudziła w nim tęsknotę do widnokręgów otwartego piasku, do otwartych przestrzeni, na których nadchodzący wróg był widoczny z daleka.

– Plemiona wyczekują powrotu Muad'Diba. – Spojrzała na niego, uniósłszy głowę. – Należysz do nas.

– Należę do wizji – wyszeptał.

Myślał o dżihadzie, o parsekach przestrzeni, w której mieszają się geny, i o wizji, która pokazała mu, jak to zatrzymać. Czy powinien zapłacić wymaganą cenę? Cała nienawiść znika, wygasa tak, jak wygasają pożary – węgielek po węgielku. Jednak... och! Za jakże straszliwą cenę!

„Nigdy nie chciałem być bogiem – dumał. – Chciałem tylko zniknąć niczym brylantowa łza śladowej rosy o poranku. Chciałem ujść aniołom i demonom: w pojedynkę... jakby przez przeoczenie”.

– Wróćmy do siczy? – dopytywała się Chani.

– Tak – szepnął. I pomyślał: „Muszę zapłacić tę cenę”.

Fremenka z głębokim westchnieniem wtuliła się w niego.

„Zmarudziłem” – pomyślał. Spostrzegł, jak został otoczony kordonem miłości i dżihadu. A cóż znaczy jedno życie, choćby nawet najukochańsze, w porównaniu z życiem tych wszystkich, których dżihad nieubłagane skosi? Czy jedno cierpienie można kłaść na szali z ogromem katuszy?

– Kochany? – zaniepokoiła się Chani.

Zakrył jej usta dłonią.

„Poddam się – myślał. – Wyfrunę, póki jeszcze mam dość siły, poszybuję hen, w przestrzeń, dokąd nie doleci ptak”. Dobrze wiedział, że to beznadziejny pomysł. Dżihad podążyłby za jego upiorem.

Co mógłby odpowiedzieć? Jak się wytłumaczyć, kiedy ludzie zarzuciliby mu niezmierną głupotę? Kto by go zrozumiał?

„Ja tylko chciałem spojrzeć za siebie i powiedzieć: »Tam! Tam jest istnienie, które nie zdołało mnie zawłaszczyć. Patrzcie! Znikam! Żaden potrzask ni sieć ludzkiego pomysłu nie złowi mnie już nigdy. Wypieram się religii! Ten moment chwały należy do mnie! Jestem wolny!«”

„Co za puste słowa!”

– Wczoraj widziano dużego czerwia pod Murem Zaporowym – powiedziała Chani. – Ponad sto metrów, jak powiadają. Takich dużych już się prawie nie spotyka w tych okolicach. Odstępuje je woda, jak sądzę. Mówią, że ten przybył, by wezwać Muad’Diba do powrotu na pustynię. – Uszczypnęła go w pierś. – Nie śmiej się ze mnie.

– Nie śmieję się.

Dziwując się trwałości fremeńskiego mitu, poczuł ścisnięcie serca, jakiś ucisk na linię życia – adab, władcza pamięć. Wspomnienie dziecinnej komnaty na Kaladanie... ciemna noc wśród skalnych ścian... jakaś wizja! Jeden z pierwszych przeblysków jego jasnowidzenia. Poczuł, jak umysł zanurza się w tej wizji, przez mgłę pamięci (wizja w wizji) ujrzał długi rząd Fremenów w pokrytych pyłem dżubbach. Defilowali przesmykiem wśród wysokich skał. Taszczyli jakiś owinięty w płótno podłużny kształt.

Paul usłyszał swój głos w tej wizji: „Wszystko było takie słodkie... ale ty byłaś najśłodsza...”

Adab odstąpiła.

– Tak ucichłeś – szepnęła Chani. – Co ci jest?

Wzdrygnąwszy się, usiadł prosto i odwrócił od niej twarz.

– Zły jesteś, że wybrałam się na skraj pustyni.

W milczeniu pokręcił głową.

– Poszłam tylko dlatego, że pragnę dziecka.

Odebrało mu mowę. Ta wczesna wizja poraziła go swą nagą siłą. Straszliwe przeznaczenie! W tamtej chwili całe jego życie rozkołysało się niczym gałąź, z której zerwał się ptak, a był to ptak *szansy*. Wolnej woli.

„Połknąłem haczyk z przynętą przepowiedni” – pomyślał.

Czuł, że połykając ten haczyk, ustawił się na jednotorowym szlaku życia. Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby przepowiednia nie *przepowiadała* przyszłości. Czy to możliwe, żeby przepowiednia *stwarzała* przyszłość. Czyżby wpakował swoje życie w jakąś sieć niewidzialnych nici, zaplątał się w nich podczas tamtego objawienia – ofiara pająka przyszłości, który nawet w tej chwili sięga po niego straszliwymi szczękoczułkami?

Przyszedł mu na myśl aksjomat Bene Gesserit: „Użycie nagiej siły czyni nas nieskończenie słabymi w obliczu sił ogromniejszych”.

– Wiem, że jesteś zły. – Chani dotknęła jego ramienia. – To prawda, że plemiona wróciły do dawnych obrzędów i krwawych ofiar, ale ja nie brałam w nich udziału.

Zrobił głęboki, roztrzęsiony wdech. Nurt wizji rozpląnął się w głębokiej, spokojnej toni, której prądy z pochłaniającą siłą toczyły się poza zasięgiem Paula.

– Proszę – odezwała się błagalnie Chani – ja chcę dziecka, naszego dziecka. Czy to coś strasznego?

Pogłaskawszy ją po ramieniu, wyzwolił się z jej objęć. Wstał z łóżka, zgasił lumisfery, podszedł do drzwi balkonowych i odsłonił kotary. Głęboka pustynia wciskała się tutaj jedynie swoimi zapachami. Lity mur naprzeciwko sięgał nocnego nieba. Promienie księżyca padały ukośnie na opasany murem ogród, wysokie drzewa o szerokich liściach, wilgotną gęstwą roślinności. Patrzył na oczko z rybami, w którym gwiazdy odbijały się pośród liści, na zatoki kwiatowej poświaty bielejące w cieniu. Przez chwilę widział ten ogród oczami Fremena: obce, groźne, niebezpieczne marnotrawstwo wody.

Wspomniał sprzedawców wody, których pozbawił zajęcia hojnym rozdzielnictwem. Nienawidzili go. Uśmiercił przeszłość. Inni, nawet ci, którzy pozabijaliby się dla solaris na zakup cennej wody, też go nienawidzili za zmianę starych zwyczajów. W miarę jak narzucony przez Muad'Diba system ekologiczny zmieniał oblicze planety, opór w ludziach narastał. Zadał sobie pytanie, czy nie był przypadkiem zarozumiały, uważając, że może przenieść całą planetę – żeby wszystko rosło tam i tak, jak przykazał. Gdyby nawet mu się udało, co z wyczekującym na zewnątrz wszechświatem? Czy obawia się podobnej obróbki?

Nagłym ruchem zaciągnął kotary i uszczelnił wentylatory. W ciemności obrócił się w stronę Chani, wiedząc, że czeka na niego. Jej taliony wody zadźwięczały jak żebracze dzwonki pielgrzymów. Kierując się po omacku dźwiękiem, wpadł w jej wyciągnięte ramiona.

- Kochany – szepnęła – sprawiłam ci przykrość?
Otoczywszy go ramionami, zamknęła w nich jego przyszłość.
– Nie ty – rzekł. – Och... nie ty.



Pojawienie się zjawiska polowego tarczy i rusznic laserowych, których interakcja powoduje wybuch śmiertelny dla obu stron, wytyczyło obecne kierunki w technice zbrojeniowej. Nie będziemy tu roztrząsać szczególnej roli głowic atomowych. Fakt, że każdy ród w moim Imperium mógłby za ich pomocą zniszczyć planetarne siedliska pięćdziesięciu lub więcej innych rodów, wywołuje, to prawda, pewną nerwowość. Ale wszyscy dysponujemy odstrasżającymi planami uderzenia odwetowego. Gildia i Landsraad mają w swojej pieczy klucze do tego arsenału. Nie, moje zainteresowanie skupia się na przeistaczaniu ludzi w szczególny rodzaj broni. Kilka potęg rozwija tę dziedzinę o teoretycznie nieograniczonych możliwościach.

– Muad'Dib. Wykład w Akademii Wojennej z Kroniki Stilgara

Staruch tkwił w drzwiach, bystro spoglądając błękitnymi w błękicie oczyma. Wyzierała z nich tubylcza nieufność, jaką wszyscy ludzie pustyni żywili wobec obcych. Wyryte gorczą bruzdy w kącikach ust ginęły we włosach siwej brody. Stał bez filtraka, mając świadomość, że wilgoć ucieka z domu przez otwarte drzwi. Była to wiele mówiąca beztroska.

Scytale z ukłonem przekazał hasło spiskowców.

Z głębi domostwa dolatywały dźwięki rebabu, zawodzącego w atonalnym dysonansie semuckiej muzyki. W postawie starucha nie było śladu narkotycznego otępienia – znak, że ktoś inny miał tu słabość do semuty. Mimo wszystko odkrycie tak wyrafinowanego nałogu w tym miejscu zaskoczyło Scytale'a.

– Pozdrowienia z daleka – rzekł z uśmiechem na płaskiej twarzy, którą wybrał na to spotkanie. Wówczas przyszło mu na myśl, że ten staruch może rozpoznać przybrane oblicze. Niektórzy starsi Fremeni tutaj, na Diunie, znali Duncana Idaho.

Zrozumiał, że wybór, który wydawał mu się zabawny, mógł się okazać błędem. Ale nie śmiał tutaj zmieniać rysów. Rozejrzał się niespokojnie. Czy gospodarz nigdy nie zaprosi go do środka?

– Znałeś mego syna? – zapytał stary.

Nareszcie jeden z odzewów. Tleilaxanin odpowiedział kolejnym hasłem, cały czas uważnie obserwując wszystko, co się działo wokół. Nie podobała mu się ta sytuacja. Sterczał pod domostwem w końcu ślepego zaułka. Wszystkie domy w sąsiedztwie wybudowano dla weteranów dżihadu. Powstałe w ten sposób przedmieście Arrakin sięgało Basenu Imperialnego za Tiemagiem. Pierzeje zamykały uliczkę w litych, brych murach z plastopu, ozdobyonych jedynie ciemnymi plamami grodzi wejściowych oraz, tu i ówdzie, wulgarnymi bazgrołami. Przy drzwiach przed Scytale'em ktoś wysmarował kredą obwieszczenie, że niejaki Beris przywiózł z dżihadu paskudną chorobę, która pozbawiła go męskości.

– Przybywasz w towarzystwie? – zapytał staruch.

– W pojedynkę – odparł maskaradnik.

Mężczyzna odchrząknął głośno, nadal ociągając się na swój irytujący sposób.

Scytale uzbroił się w cierpliwość. Taki tryb nawiązania kontaktu nie był wolny od zagrożeń. Może stary nie bez powodu tak się zachowuje. Chociaż pora była odpowiednia. Przymglone pyłem słońce stało niemal prosto nad głową. Okoliczni mieszkańcy, pozamykawszy się w domostwach, szykowali się do przespania gorącej części dnia.

„Może to nowy sąsiad budzi niepokój starucha?” – zastanowił się Scytale. Wiedział, że w przyległym domu zakwaterowany został Otejm, były bojownik fedajkinów, budzących postrach komandosów śmierci Muad'Diba. U Otejma zadekował się Bidżaz, karzeł katalityk.

Ponownie zmierzył starca wzrokiem, zwracając uwagę na pusty lewy rękaw i na brak filtraka. A także na władcą siłę, która była z całej postaci. To nie był prosty weteran dżihadu.

– Mogę poprosić o imię gościa? – zapytał stary.

Scytale stłumił westchnienie ulgi. W końcu zostanie przyjęty.

– Zaal – podał imię nadane mu na potrzeby tej misji.

– Ja jestem Farok – rzekł staruch – były baszar w Dziewiątym Legionie podczas dżihadu. Mówi ci to coś?

Scytale wyczytał w tych słowach groźbę.

– Urodziłeś się w siczy Tabr, która przysięgała posłuszeństwo Stilgarowi.

Farok odprężył się i ustąpił z przejścia.

– Witaj w moim domu.

Scytale wśliznął się pod dach ciemnego atrium o posadzce z niebieskich płytek i ścianach zdobionych ciętym w kryształ, połyskliwym ornamentem.

Atrium wychodziło na zadaszony dziedziniec. Światło dnia przesiane przez szkło filtracyjne kąpało go w poświacie tak srebrzystej jak podczas białej nocy pierwszego księżyca. Za ich plecami drzwi zachręściły o gródź uszczelniającą.

– Byliśmy szlachetnego stanu – powiedział Farok, prowadząc go w kierunku dziedzińca. – Nie należeliśmy do wyrzutków. Nie mieszkaliśmy w dziurze grabenu... jak ta tutaj! Mieliśmy uczciwą sicz w Murze Zaporowym, nad grania Habbanja. Jednym czerwem dojeżdżało się do Kedemu, wewnętrznej pustyni.

– Inaczej niż tutaj – zgodził się Scytale, pojawiając wreszcie, co wciągnęło Faroka do spisku. Fremen tęsknił za dawnymi czasami i dawnymi obyczajami.

Wyszli na dziedziniec.

Tleilaxanin zrozumiał, że Farok tłumi w sobie głęboką niechęć do gościa. Fremen nie ufali oczom nie mającym błękitu ibada. Mawiali, że niezborne oczy obcoświatowców widzą rzeczy, których nie powinny oglądać.

Semucka muzyka umilkła z ich nadejściem. W jej miejsce odezwało się brzdąkanie balisety – najpierw akord w dziewięciostopniowej skali, po nim zaś czyste dźwięki melodii popularnej na planetach Naradzu.

Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do światła, Scytale ujrzał chłopaka, który skrzyżowawszy nogi, siedział na niskiej otomanie pod arkadami po prawej. Spoglądał pustymi oczodołami. Wiedziony tajemniczym instynktem ślepcy, zaczął śpiewać w chwili, gdy maskaradnik zwrócił na niego uwagę. Głos miał wysoki i melodyjny.

*Wiatr porwał ziemię,
Wiatr porwał niebo
I porwał ludzi!
Kim jest wiatr?
Drzewa stoją proste,
Piją wodę ludzi.
Za dużo znam światów,
Za dużo ludzi,
Za dużo drzew,
Za dużo wiatrów.*

Nie były to oryginalne słowa znanej Scytale'owi pieśni. Oddalając się od śpiewaka, Farok prowadził gościa pod przeciwległe arkady, do rozłożonych na podłodze poduszek. Płytki pod stopami mężczyzn przedstawiały morskie zwierzęta.

– Tę tutaj – Farok wskazał okrągłą, czarną poduszkę – zajmował kiedyś w siczy Muad'Dib. Teraz należy do ciebie.

– Jestem twym dłużnikiem – rzekł Scytale, zagłębiając się w czarnym wzgórku. Uśmiechnął się. Przez Faroka przemawiała mądrość. Mędrzec prawi o wierności, nawet gdy słucha pieśni o ukrytym znaczeniu i słów niosących tajne przekazy. Kto odmówiłby temu tyranowi Imperatorowi przerażających mocy?

Nie łamiąc rytmu pieśni, Farok zapytał:

– Nie przeszkadza ci muzykowanie mojego syna?

Maskaradnik zaprosił go gestem na poduszkę naprzeciwko, po czym oparł się plecami o chłodną kolumnę.

– Lubię muzykę.

– Syn stracił oczy w czasie podboju Naradżu – wyjaśnił Farok. – Tam się podkurował i tam powinien zostać. Żadna z naszych kobiet nie zechce go w takim stanie. Jednak czuję się dziwnie, gdy pomyślę, że mam w Naradżu wnuki, których pewnie nigdy nie zobaczę. Znasz planety Naradżu, Zaal?

– Za młodu byłem tam na gościnnych występach z trupą moich ziomków maskaradników.

– Zatem jesteś maskaradnikiem. Zastanawiały mnie twoje rysy. Przypominają mi człowieka, którego tu kiedyś poznałem.

– Duncana Idaho?

– Tak, jego. Mistrza miecza na żołdzie obecnego Imperatora.

– Powiadają, że został zabity.

– Tak powiadają – przyznał Farok. – Jesteś prawdziwym mężczyzną? Słyszałem opowieści o maskaradnikach... – Wzruszył ramionami.

– Jesteśmy hermafrodytami Jadacha – rzekł Scytale. – Przybieramy płęć na życzenie. W tej chwili jestem mężczyzną.

Gospodarz w zamyśleniu ściągnął usta.

– Polecieć, żeby coś podano? – zapytał. – Masz ochotę na wodę? Lukrowane owoce?

– Rozmowa wystarczy.

– Życzenie gościa jest rozkazem – powiedział Farok, sadowiąc się na poduszce naprzeciwko Scytale'a.

– Niech będzie pochwalony Abu d'Dhur, Ojciec Nieoznaczonych Dróg Czasu – rzekł Tleilaxanin. „Otóż to! – pomyślał. – Dałem mu jasno do zrozumienia, że przysyła mnie i osłania sternik Gildii”.

– Pochwalony po trzykroć – odparł Farok, kładąc na udzie w rytualnym geście mocno pożyczowaną, starczą dłoń.

– Rzecz widziana z daleka ujawnia jedynie swoją zasadę. – Scytale dał znak, że chce rozmawiać o twierdzy Imperatora.

– Że zło jest nikczemne i mroczne, można spostrzec z każdej odległości – oznajmił Farok, sugerując, żeby z tym poczekać.

„Dlaczego?” – nie rozumiał Scytale.

– Jak twój syn stracił oczy? – zapytał, usłuchawszy.

– Obrońcy Naradżu użyli wypalacza skał – wyjaśnił Farok. – Syn był za blisko. Przeklęte atomówki! Nawet wypalacz skał powinien być zakazany.

– Stanowi przykład obchodzenia prawa – przyznał Scytale, ważąc w myśli tę informację. „Wypalacz skał w Naradżu! O tym nam nie powiedziano. Dlaczego ten staruch gada o wypalaczu skał?”

– Zaproponowałem, że kupię mu tleilaxańskie oczy u twych mistrzów – powiedział Farok. – Ale w legionach krążą pogłoski, że tleilaxańskie oczy zniewalają użytkowników. Syn oświadczył mi, że te oczy są z metalu, a on jest z ciała, i że takie połączenie musi być grzeszne.

– Zasada rzeczy musi pasować do jej pierwotnego przeznaczenia. – Scytale próbował nakierować rozmowę na potrzebne mu informacje.

Farok zacisnął wargi, ale skinął głową.

– Powiedz otwarcie, czego chcesz – rzekł. – Musimy zaufać twojemu sternikowi.

– Byłeś kiedyś w imperialnej twierdzy? – zapytał maskaradnik.

– Uczestniczyłem w biesiadzie z okazji zwycięstwa na Molitorze. Ziąb ciągnął tam od kamieni mimo najlepszych ixańskich ogrzewaczy. Poprzedniej nocy spaliliśmy na tarasie świątyni Alii. Są tam drzewa, wiesz, drzewa z wielu planet. My, baszarowie, przywdzialiśmy nasze najlepsze zielone szaty i mieliśmy osobne stoły. Za dużo żeśmy zjedli i wypili. Raziły mnie pewne rzeczy. Zjawili się kuśtykający o kulach ranni. Sądzę, że nasz Muad'Dib nie wie, ilu ludzi okaleczył.

– Byłeś przeciwny biesiadzie? – Tleilaxanin słyszał o fremeńskich orgiach pod wpływem przyprawowego piwa.

– Nie przypominała duchowej komunii z naszej siczy. Brakowało tau. Dla rozrywki były młode niewolnice, a żołnierze dzielili się opowieściami

o bitwach i ranach.

– Zatem byłeś w tej wielkiej, kamiennej twierdzy – powiedział Scytale.

– Muad'Dib wyszedł do nas na taras – ciągnął Farok. – „Przychylności losu dla nas wszystkich”, rzekł. Pustynne powitanie w takim miejscu!

– Znasz położenie jego komnat mieszkalnych? – zapytał Scytale.

– Są daleko w głębi. Gdzieś daleko w głębi. Powiedziano mi, że on i Chani prowadzą wędrowne życie, tyle że w obrębie murów twierdzy. W Wielkiej Sali Muad'Dib udziela audiencji. Ma sale przyjęć i sale oficjalnych spotkań, całe skrzydło dla straży przybocznej, miejsca na uroczyste ceremonie i wewnętrzną sekcję łączności. Powiedziano mi, że w pomieszczeniu głęboko pod twierdzą, w kręgu rowów z wodą, trzyma skarłowaciałego czerwia, którego może nią zatruć. To tutaj odczytuje przyszłość.

„Mieszanina mitów i faktów” – pomyślał Scytale.

– Wszędzie towarzyszy mu rządowa świta. – Farok skrzywił się. – Urzędnicy, słudzy i słudzy sług. Ufa tylko takim jak Stilgar, którzy byli z nim bardzo blisko za dawnych dni.

– Tobie nie – rzekł Scytale.

– Myślę, że zapomniał o moim istnieniu.

– Jak opuszcza twierdzę i jak do niej wraca? – zapytał Tleilaxanin.

– Ma malutkie lądowisko ornitopterów, taki występ w wewnętrznym murze. Mówią, że Muad'Dib nie dopuszcza nikogo do sterów podczas lądowania. Podobno najmniejszy błąd w wyliczeniu podejścia grozi uderzeniem w pionową ścianę i runięciem do jednego z tych przeklętych ogrodów.

Scytale skinął głową. To się najprawdopodobniej zgadzało. Taki powietrzny dostęp do kwater Imperatora dawał jakąś rękojmię bezpieczeństwa. Wszyscy Atrydzi byli doskonałymi pilotami.

– Używa ludzi do przekazywania wiadomości dystransowych. Wszczepianie translatorów fali poniżej ludzi. Człowiek winien być panem swego głosu. Nie powinien nosić ukrytej w głosie wiadomości od drugiego człowieka.

Maskaradnik wzruszył ramionami. Wszystkie wielkie potęgi używały obecnie dystransów. Nigdy nie można przewidzieć, jaka przeszkoda stanie między nadawcą a odbiorcą. Dystrans był niepodatny na polityczną kryptologię, ponieważ bazował na ledwo uchwytnych zniekształceniach widma naturalnego głosu, szyfrowanych niezwykle złożonymi metodami.

– Nawet jego urzędnicy skarbowi korzystają z tej metody – utyskiwał Farok. – Za moich czasów dystransy wszczepiano jedynie pośledniemu zwierzętom.

„Jednak informacje o dochodach muszą być tajne – pomyślał Scytale. – Niejedna władza upadła, gdyż lud odkrył prawdziwe rozmiary bogactwa rządzących”.

– Jak rzesze Fremenów patrzą dziś na Dżihad Muad'Diba? – zapytał maskaradnik. – Nie mają nic przeciwko temu, że z ich Imperatora robi się boga?

– Większość nawet się nad tym nie zastanawia. Widzą w dżihadzie to samo, co ja widziałem... większość z nich. Źródło niezwykłych przeżyć, przygody i bogactwa. Ta grabenowa nora – omiół gestem dziedziniec – kosztowała sześćdziesiąt lidów przyprawy. Dziewięćdziesiąt kantarów! Był czas, kiedy nie potrafiłem sobie wyobrazić takiego bogactwa. – Pokręcił głową.

Niewidomy chłopak po drugiej stronie dziedzińca próbował zagrać miłosną balladę na balisecie.

„Dziewięćdziesiąt kantarów – pomyślał Scytale. – Coś takiego. Pewnie, że to fortuna. Na wielu innych planetach nora Faroka byłaby pałacem, ale wszystko jest względne... nawet kantar. Czy Farok wie, na przykład, skąd się wzięła jego jednostka masy przyprawy? Czy kiedykolwiek przyszło mu do głowy, że półtora kantara wynosił niegdyś dopuszczalny ładunek wielbłąda? Mało prawdopodobne. On mógł nawet nigdy nie słyszeć o wielbłądzie ani o złotym wieku Ziemi”.

Osobliwie wpadając w rytm melodii balisety syna, Fremen powiedział:

– Miałem krysnóż, taliony na dziesięć litrów wody, własną lancę w spadku po ojcu, serwis do kawy i butelkę z czerwonego szkła starszą, niż sięgała pamięć mojej siczy. Miałem udział w naszej przyprawie, ale nie miałem pieniędzy. Nie wiedziałem, że jestem bogaty. Do tego jeszcze dwie żony: jedna brzydka i ukochana, druga głupia i uparta, lecz o kształtach i twarzy anioła. Byłem fremeńskim naibem, jeźdźcem czerw, władcą lewiatana i piasku.

Chłopak pod arkadami zagrał żwawiej.

– Wiedziałem wiele rzeczy, nie musząc się nad nimi zastanawiać – ciągnął Fremen. – Wiedziałem, że głęboko pod naszym piaskiem jest woda uwięziona przez maleńkie stworzyciele. Wiedziałem, że moi przodkowie składali dziewice w ofierze Szej-huludowi... dopóki Liet-Kynes nie kazał

z tym skończyć. Źle zrobiliśmy, skończywszy z tym. Widziałem klejnoty w paszczy czerwia. Moja dusza miała cztery bramy, a ja znałem je wszystkie. – Umilkł i popadł w zadumę.

– A potem zjawił się Atryda z matką czarownicą – rzekł Tleilaxanin.

– Zjawił się Atryda – powtórzył Farok. – Ten, któremu w siczy daliśmy imię Usul, jego sekretne imię wśród nas. Nasz Muad’Dib. Nasz Mahdi! Ale kiedy wezwał do dżihadu, byłem pośród tych, którzy zapytali: „Dlaczego mam się bić gdzieś daleko? Nie mam tam krewnych”. Jednak inni poszli: młodszy, przyjaciele, towarzysze z dzieciństwa. Po powrocie opowiadali o cudach, o mocy tego zbawiciela z Atrydów. Walczył z Harkonnenami, naszym wrogiem. Liet-Kynes, który obiecał nam raj na tej planecie, pobłogosławił go. Powiadano, że Atryda przybył, żeby odmienić naszą planetę i nasz wszechświat, i że na jego skinienie zakwitnie nocą złoty kwiat. – Uniósłszy rękę, przyjrzał się swojej dłoni. – Ludzie wskazywali pierwszy księżyc i mówili: „Tam jest jego dusza”. I tak został nazwany Muad’Dibem. Nic nie rozumiałem z tego wszystkiego. – Opuścił rękę i spojrzał na drugą stronę dziedzińca, na swego syna. – Miałem pustkę w głowie. Myślałem tylko sercem, żołądkiem i lędźwiami.

Ponownie wzrosło tempo towarzyszącej im muzyki.

– Wiesz, dlaczego wziąłem udział w dżihadzie? – Spojrzenie starczych oczu przeszło Scytale’a. – Usłyszałem, że jest coś, co nazywają morzem. Strasznie trudno uwierzyć w morze, gdy się żyje jedynie wśród naszych wydm. Nie mamy tu mórz. Mieszkańcy Diuny nigdy nie widzieli morza. Mieliliśmy oddzielacze wiatru. Gromadziliśmy wodę z myślą o wielkiej przemianie, którą obiecał nam Liet-Kynes... tej przemianie, która się dokonuje za skinieniem ręki Muad’Diba. Mogłem sobie wyobrazić kanat, wodę płynącą rowem na otwartym terenie. Opierając się na tym, mogłem oczami duszy zobaczyć rzekę. Ale morze? – Wpatrzył się w półprzezroczysty dach nad dziedzińcem, jakby próbował przeniknąć spojrzeniem wszechświat. – Morze – powiedział cicho – przekraczało możliwości mojej wyobraźni. Jednak ludzie, których znałem, mówili, że widzieli ten cud. Sądziłem, że kłamią, ale musiałem się o tym przekonać osobiście. Zaciągnąłem się właśnie z tego powodu.

Chłopak dobył głośny końcowy akord i rozpoczął nową pieśń o dziwnie falującym rytmie.

– Znalazłeś swoje morze? – zapytał Scytale.

Miał wrażenie, że stary go nie usłyszał. Dźwięki balisety wznosiły się i opadały niczym morskie pływy. Farok oddychał w rytm muzyki.

– O zachodzie słońca – rzekł po chwili. – Jakiś dawny artysta mógłby namalować taki zachód słońca. Czerwień o barwie mojej butelki. Złoto... błękit. Planetę nazywają Enfeil, poprowadziłem tam mój legion do zwycięstwa. Pokonaliśmy górską przełęcz, na której powietrze było opite wodą. Ledwie mogłem oddychać. I nagle w dole zobaczyłem to, o czym opowiadali mi przyjaciele: wodę jak okiem sięgnąć. Zeszliśmy na dół, na sam brzeg. Wszedłem w wodę po pas, napiłem się. Była gorzka i zrobiło mi się niedobrze. Ale cudowność morza pozostała we mnie na zawsze.

Scytale przyłapał się na tym, że dzieli podziw starego Fremena.

– Zagłębiłem się w morzu. – Farok spuścił wzrok na wodne zwierzęta na posadzce. – Jeden człowiek zanurzył się w wodzie... inny się z niej wynurzył. Czuję, że mogę przypomnieć sobie przeszłość, jakiej nie było. Popatrzyłem wokół oczami, które były otwarte na wszystko... dosłownie na wszystko. Zobaczyłem w wodzie trupa: jednego z zabitych przez nas obrońców. Na falach nieopodal unosiła się kłoda, wielki kawał drewna. Zamykam teraz oczy i widzę tę kłodę. Na jednym końcu poczerniała od ognia. W wodzie był jeszcze czyjś mundur: nieledwie żółty łachman... podarty, brudny. Popatrzyłem na te wszystkie rzeczy i zrozumiałem, dlaczego się znalazły w tym miejscu. Żebym je zobaczył. – Powoli obrócił głowę i spojrzał Scytale'owi prosto w oczy. – Wszechświat jest niedokończony, wiesz?

„Jest gadatliwy, ale niegłupi” – stwierdził maskaradnik.

– Widzę, że zrobiło to na tobie ogromne wrażenie – rzekł.

– Jesteś Tleilaxaninem – powiedział Farok. – Widziałeś wiele mórz. Ja tylko to jedno, ale wiem o morzach coś, czego ty nie wiesz.

Z jakiegoś powodu Scytale poczuł się dziwnie nieswojo.

– W morzu narodziła się Matka Chaosu – oświadczył Fremen. – Ociekając wodą, wyszedłem na brzeg tuż koło kwizara tawfida. Nie wchodził do morza. Stał na piasku... na mokrym piasku... w grupie moich żołnierzy, równie wystraszonych jak on. Przyglądał mi się oczami, które wiedziały, że poznałem coś, co jemu nie było dane. Stałem się morskim stworzeniem i napędziłem mu strachu. Morze wyleczyło mnie z džihadu, a on, jak sądzę, to zobaczył.

Scytale uświadomił sobie, że w trakcie tej opowieści ucichła muzyka. Nie dawało mu spokoju, że nie potrafi wskazać chwili zamilknięcia balisety.

Jak gdyby to miało związek z tym, co powiedział, Fremen dodał:

– Każda brama jest pod strażą. Nie ma wejścia do twierdzy Imperatora.

– W tym jej słabość – rzekł maskaradnik.

Prostując szyję, Farok popatrzył na niego.

– Jest wejście – wyjaśnił Scytale. – Fakt, że większość ludzi – łącznie, miejmy nadzieję, z Imperatorem – jest odmiennego zdania... działa na naszą korzyść.

Potań wargi, odczuwając obcość przybranej twarzy. Milczenie muzyka niepokoiło go. Czyżby syn Faroka skończył już nadawać? Tak się to, rzecz jasna, odbyło: skondensowaną wiadomość przesłano w muzyce. Dystrans tkwiący w jego korze nadnerczy miał w odpowiedniej chwili wyzwolić przekaz odcisnięty w układzie nerwowym. Z końcem muzykowania Scytale stał się zasobnikiem nieznanych treści. Naczyniem, do którego wpompowano dane: wszystkie ogniwa spisku na Arrakis, imiona i hasła kontaktowe – wszelkie niezbędne informacje.

Z tymi informacjami mogli się porwać na Arrakis, złowić czerwia, założyć uprawę melanżu gdzieś, gdzie nie sięga jurysdykcja Muad'Diba. Złamać Muad'Diba razem z jego monopolem. Wiele mogli dzięki nim zdziałać.

– Mamy tu tę kobietę – powiedział Farok. – Chcesz ją zobaczyć?

– Widziałem ją – odparł Scytale. – Dokładnie jej się przyjrzałem. Gdzie ona jest?

Starzec pstryknął palcami.

Chłopak ujął rebab i pociągnął smyczkiem. Struny zakwiliły semucką muzyką. Z wejścia za plecami muzyka, jak gdyby zwabiona przez dźwięki, wyłoniła się dziewczyna w niebieskiej szacie. Narkotyczne otępienie zamgliło jej oczy błękitu ibada. Uzależniona od przyprawy Fremenka w szponach nałogu obcoświatowców. Jej zatopiona w semucie świadomość zatraciła się gdzieś, odpłynąwszy z falą muzycznej ekstazy.

– Córką Otejma – powiedział Farok. – Syn dał jej narkotyk w nadziei, że mimo swej ślepoty zdobędzie jedną z naszych. Jak widzisz, nie cieszy się wygraną. Zabrała ją semuta.

– Jej ojciec nic nie wie? – zapytał Scytale.

– Nawet ona sama nic nie wie – odparł Fremen. – Mój syn przygotowuje jej wspomnienia, którymi dziewczyna tłumaczy sobie te spotkania. Jej się wydaje, że jest w nim zakochana. Jej rodzina w to wierzy. Są oburzeni, gdyż mój syn nie jest w pełni mężczyzną, ale rzecz jasna, nie będą się wtrącać.

Zamarły ostatnie echa muzyki.

Na skinienie chłopaka dziewczyna usiadła przy nim i pochyliła się, a on szeptał jej do ucha.

– Co z nią zrobisz? – zapytał Farok.

Scytale ponownie obrzucił spojrzeniem dziedziniec.

– Kto jeszcze jest w domu? – spytał.

– Wszyscy są tutaj – rzekł Fremen. – Nie odpowiedziałeś, co zrobisz z kobietą. Mój syn chciałby to wiedzieć.

Jak gdyby chcąc podkreślić odpowiedź, Scytale wyciągnął prawą rękę. Z rękawa śmignęła lśniąca strzałka i utkwiała Farokowi w szyi. Fremen nie krzyknął ani nawet nie drgnął. Sparaliżowany trucizną, zastygł w bezruchu. Za chwilę miał już być trupem.

Scytale powoli wstał i podszedł do niewidomego muzyka. Chłopak wciąż szeptał coś dziewczynie, gdy trafiła go strzałka.

Maskaradnik ujął dziewczynę za ramię i delikatnie ją podniósł, zmieniawszy postać, nim spojrzała na niego. Wyprostowała się i skupiła na nim uwagę.

– O co chodzi, Farok?

– Mój syn jest zmęczony i musi się już położyć – rzekł Scytale. – Chodź. Wyjdziemy od tyłu.

– Tak miło nam się gawędziło – powiedziała. – Chyba przekonałam go, że warto mieć tleilaxańskie oczy. Byłby znów mężczyzną.

– Albo raz mu to mówiłem. – Scytale pociągnął ją w głąb domu.

Głos – zauważył z dumą – idealnie pasował do wyglądu. Bez wątpienia należał do starego Fremena, który w tej chwili był już martwy.

Scytale westchnął. Wszystko zostało załatwione ze współczuciem, a ofiary z pewnością wiedziały, że ryzykują życie. Teraz trzeba dać szansę dziewczynie.



W chwili narodzin imperiom bynajmniej nie brakuje celów. Dopiero gdy okrzepną, miejsce utraconych idei zajmują jałowe ceremonie.

– ze *Słów Muad'Diba* pióra księżnej Irulany

Alia zdała sobie sprawę, że nie będzie to udane posiedzenie Rady Imperialnej. Awantura wisiała w powietrzu – Irulana unikała Chani wzrokiem, Stilgar nerwowo przekładał papiery, a Paul spoglądał wilkiem na kwizara Korbę.

Alia usiadła na końcu złotego stołu konferencyjnego, skąd mogła zerkać w mętne światło popołudnia za drzwiami balkonowymi.

Korba, któremu swym wejściem przerwała rozmowę z Paulem, podjął wątek:

– Chodzi mi o to, mój panie, że nie ma już tylu bogów co kiedyś.

Alia parsknęła śmiechem, odrzucając do tyłu głowę. Kaptur czarnej aby spadł jej na plecy. Ukazała się w całej krasie – błękitne w błękitcie „przyprawowe oczy”, owalna po matce twarz oraz kaskada włosów barwy miedzi, mały nos, szerokie i pełne usta.

Policzki Korby były niemal koloru jego pomarańczowej szaty. Niczym rozsierdzony gnom, łysy i kipiący złością, spiorunował Alię wzrokiem.

– Wiesz, co mówią o twoim bracie? – wywarczał.

– Wiem, co mówią o twoim kwizaracie – odcięła się. – Nie jesteście bożymi sługami, lecz bożymi szpiclami.

Korba spojrział na Paula, szukając wsparcia.

– Wyruszyliśmy z nakazu Muad'Diba, aby poznał On prawdę o Swoich ludach, a Jego ludy poznały prawdę o Nim.

– Szpicle – orzekła Alia.

Fremen zasznurował usta w pełnym urazy milczeniu.

Paul popatrzył na siostrę, nie rozumiejąc, po co ta drażni Korbę. Nagle dotarło do niego, że z Alii zrobiła się kobieta, piękna świeżością niewinnej młodości. Dziwił się sobie, że zauważył to dopiero teraz. Piętnasto-, prawie szesnastolatka, Matka Wielebna nie mająca potomstwa, dziewicza kapłanka, obiekt pełnego bojaźni uwielbienia zabobonnych tłumów – Alia od Noża.

– Nie pora to ani miejsce na harce twojej siostry – powiedziała Irulana.

Nie zwracając na nią uwagi, Paul kiwnął głową Korbie.

– Plac pełen jest pielgrzymów. Wyjdź i odpraw modły.

– Ale oni oczekują ciebie, mój panie.

– Załóż turban – poradził mu Paul. – Nie poznają z tej odległości.

Choć poirytowana faktem, że się ją lekceważy, Irulana obserwowała spokojnie, jak Korba posłusznie wstaje i wychodzi. Nagle przyszła jej do głowy niemiła myśl, że być może Edryk nie jest w stanie ukryć jej poczynań przed Alią. „Co tak naprawdę wiemy o jego siostrze?” – zastanawiała się.

Mocno splótlszy dłonie na podolku, Chani wpatrywała się ponad stołem w swego wuja Stilgara, sekretarza stanu. Czy stary fremeński naib w ogóle tęsknił za prostszym życiem swojej pustynnej siczy? Zauważyła, że czarne włosy zaczynają mu siwieć na skroniach, ale oczy pod bujnymi brwiami jak dawniej widziały daleko. Nadal miał orle spojrzenie człowieka pustyni, a na brodzie odcisk od wodowodu – ślad życia w filtraku.

Wytrącony z równowagi jej zainteresowaniem, Stilgar rozejrzał się po sali zebrań rady. Zatrzymał wzrok na drzwiach balkonowych, na stojącym na zewnątrz Korbie. Fremen unosił rozpostarte ramiona w geście błogosławieństwa, podczas gdy gra promieni słonecznych położyła czerwoną aureolę na szybie za jego plecami. Przez chwilę Stilgar oglądał postać nadwornego kwizara ukrzyżowaną w ognistym kole. Korba opuścił ręce i złudzenie zniknęło, lecz Stilgar nie mógł się otrząsnąć. Z rosnącą irytacją wracał myślami do pokornych suplikantów czekających w sali audiencyjnej, do nienawistnego przepychu otaczającego tron Muad'Diba.

„Towarzysząc Imperatorowi, ma się nadzieję, że zawiedzie, że popełni błąd” – pomyślał. Czuł, że to bluźnierstwo, jednak nie potrafił mu się oprzeć.

Odległy gwar wpadł do sali wraz z powrotem Korby. Drzwi balkonowe klasnęły za Fremenem na uszczelkach, gasząc odgłosy tłumu.

Paul nie odrywał wzroku od kwizara. Korba z ogniem fanatyzmu w oczach, z ekstazą na śniadej twarzy, zasiadł na lewicy Atrydy. Napawał się chwilą religijnej władzy.

– Przywołałem świętego ducha – rzekł.

– Panu niech będą dzięki! – zakpiła Alia.

Korbie zbieleły wargi.

Paul utkwiał wzrok w siostrze, ponownie zastanawiając się nad jej pobudkami. „Ukrywa przewrotność pod maską niewinności” – powiedział sobie. Była pokłosiem tego samego co on planu eugenicznego Bene Gesserit. Co zrobił z niej genotyp Kwisatz Haderach? Do tego jeszcze ta jej tajemnicza odmienność: jako zarodek w łonie przeżyła z matką działanie trucizny surowej wody stworzyciela. Matka i nienarodzona córka zostały jednocześnie Matkami Wielebnymi. Ale jednoczesność nie oznacza tożsamości.

O tym przeżyciu Alia mówiła, że w jednej strasznej chwili przebudziła się, mając świadomość, iż jej pamięć wsysa niezliczone istnienia, które przyswajała matka. „Stałam się moją matką i wszystkimi innymi –

powiedziała. – Nieukształtowana, nienarodzona, tam i wtedy stałam się dorosłą kobietą”.

Wyczuwszy, że o niej myśli, Alia uśmiechnęła się do niego. Rysy mu złagodniały. „Przecież Korba sam się wystawia na kpiny – pomyślał. – Czy może być coś śmiesznieszego od komandosa śmierci w roli kapłana?”

Stilgar poklepał swoje papiery.

– Za pozwoleniem Jego Imperatorskiej Mości, mam tu nie cierpiące zwłoki sprawy.

– Traktat tupilski? – spytał Paul.

– Gildia upiera się, że musimy podpisać traktat, nie znając dokładnego położenia unii tupilskiej – powiedział Stilgar. – Mają niejaki poparcie przedstawicieli Landsraadu.

– Jakie środki nacisku zastosowano? – zapytała Irulana.

– Takie, jakie Imperator uznał za stosowne – rzekł Stilgar. W sztywnej, oficjalnej odpowiedzi zawarł całą swoją niechęć do księżnej małżonki.

– Mój panie i mężu – Irulana zwróciła się wprost do Paula, by raczył ją zauważyć.

„Podkreślenie tytularnej przewagi w obecności Chani – pomyślał Paul – jest słabością”. W takich chwilach jak ta podzielał niechęć Stilgara do Irulany, lecz temperował ją współczuciem. W końcu księżna była tylko pionkiem w grze Bene Gesserit.

– Słucham – powiedział.

Irulana utkwiała w nim wzrok.

– Gdybyś wstrzymał im dostawy melanżu...

Chani pokręciła głową w niemym sprzeciwie.

– Załatwiamy to w białych rękawiczkach – oznajmił Paul. – Tupile pozostaje azylem dla pobitych wysokich rodów. Symbolizuje ostatnią deskę ratunku, ostateczne schronienie dla wszystkich naszych poddanych. Ujawniony azyl przestaje być bezpieczny.

– Jeśli mogą ukrywać ludzi, to mogą też ukrywać inne rzeczy – burknął Stilgar. – Armie, na przykład, albo zaczątki uprawy melanżu, która...

– Nie przypiera się ludzi do muru – powiedziała Alia. – Zwłaszcza jeśli chce się pokoju z nimi. – Nie bawiło jej, że została wciągnięta w spór, który przewidywała.

– Więc dziesięć lat negocjacji poszło na marne – stwierdziła księżna.

– Żadne działania mego brata nie idą na marne – rzekła Alia.

Irulana wzięła ze stołu rysik i ścisnęła go z taką siłą, że aż zbieleły jej kłykcie. Paul zauważył, że opanowuje emocje, wykorzystując metodę Bene Gesserit – spojrzenie miała skierowane w głąb, oddech miarowy. Niemalże słyszał, jak odmawia litanie.

– Co zyskałszy? – spytała po chwili.

– Niepewność Gildii – odparła Chani.

– Chcemy uniknąć otwartej wojny z naszymi wrogami – wyjaśniła Alia. – Ich śmierć nie jest szczytem naszych marzeń. Rzezi pod sztandarem Atrydów mamy pod dostatkiem.

„Ona też to widzi” – pomyślał Paul. Dziwne, że oboje mieli takie przemożne poczucie odpowiedzialności za swarliwy, bałwochwalczy wszechświat z jego ekstazami spokoju i szaleńczych ruchów. „Czy musimy bronić ich przed nimi samymi? – zastanawiał się. – Nieustannie igrają z nicością... puste życia, puste słowa. Za dużo żądają ode mnie”. Poczul grudę w gardle. Ile utraci chwil? Jakich synów? Jakie marzenia? Czy cena warta jest tego, co zobaczył w wizji? Któż zapyta żyjących w jakiejś odległej przyszłości, kto powie im: „Nie byłoby was tutaj, gdyby nie Muad'Dib”.

– Wstrzymanie dostaw melanzu niczego by nam nie dało – powiedziała Chani. – Nawigatorzy Gildii utraciliby zdolność widzenia w czasoprzestrzeni. Twoje siostry z Bene Gesserit utraciłyby trans prawdy. Sporo ludzi zmarłoby przedwcześnie. Komunikacja by się załamała. Na kogo spadłaby wina?

– Nie pozwoliliby, żeby do tego doszło – rzekła Irulana.

– Nie? – spytała Chani. – Dlaczego nie? Któż winiłby Gildię? Oni byliby przecież bezradni, ostentacyjnie bezradni.

– Podpiszemy traktat na ich warunkach – zdecydował Paul.

– Za pozwoleniem – Stilgar w skupieniu oglądał dłonie – chodzi nam po głowie jedno pytanie.

– Tak? – Paul poświęcił staremu Fremenowi całą swoją uwagę.

– Masz, mój panie, pewien... dar – rzekł Stilgar. – Nie możesz namierzyć unii na przekór Gildii?

„Dar!” – powtórzył Paul w myślach. Stilgar nie mógł jaśniej zażądać: „Jesteś prorokiem. Znajdź w przyszłości szlak wiodący na Tupile”.

Popatrzył na złoty blat stołu. Wciąż ten sam kłopot: jak wyrazić ograniczenia niewyraźnego? Czy powinien mówić o fragmentacji, która pisana jest wszelkiej mocy? Jak ktoś, kto nigdy nie przeżył przyprawowego

objawienia, może sobie wyobrazić świadomość wyzbytą zorientowanej czasoprzestrzeni, pozbawioną własnego wektora obrazu, ogłuchłą na mowę zmysłów?

Spojrzał na Alię; była zaabsorbowana Irulaną. Wyczuła spojrzenie brata, zerknęła na niego i ruchem głowy wskazała księżną. Aaach, tak: każda ich odpowiedź trafi do któregoś ze specjalnych raportów Irulany dla Bene Gesserit. One bez ustanku szukają wcielenia swego Kwisatz Haderach.

Jakaś odpowiedź jednak się Stilgarowi należała. Irulanie też, jak najbardziej.

– Niewtajemniczeni wyobrażają sobie, że jasnowidzeniem rządzi prawo naturalne – oświadczył. Złożył daszek z dłoni. – Ale równie prawdziwa jest odpowiedź, że to niebiosa przemawiają do nas, że odczytywanie przyszłości jest harmonijną czynnością człowieka. Innymi słowy, jasnowidzenie to naturalne następstwo fali teraźniejszości. Jest, że tak powiem, przebrane za zjawisko przyrody. Ale takiego daru nie da się użyć z myślą o osiągnięciu celów i zamiarów. Czy porwany przez falę patyk mówi, dokąd płynie? W proroczym widzeniu znikają przyczyny i skutki. Przyczyny obracają się w okazy, jakieś konwekcje lub konfluencje, miejsca zbiegu prądów. W akcie jasnowidzenia nasze jestestwo wypełniają pojęcia sprzeczne z rozumem. Dlatego rozum nie przyjmuje ich do wiadomości. Nie przyjmując zaś, staje się składową procesu i zostaje mu podporządkowany.

– Nie możesz tego zrobić? – zapytał Stilgar.

– Gdybym zaczął szukać Tupile za pomocą wizji – Paul zwrócił się wprost do Irulany – wizja mogłaby ją ukryć.

– Chaos! – wyrwało się księżnej. – Nie ma w tym... krzty logiki.

– Mówiłem, że to nie podlega prawu naturalnemu – rzekł Paul.

– Zatem istnieją granice tego, co możesz zobaczyć lub zrobić dzięki swoim zdolnościom? – spytała Irulana.

Alia ubiegła Paula.

– Jasnowidzenie nie ma granic, moja droga – oznajmiła. – A że nie ma też logiki? Cały wszechświat jest na bakier z logiką.

– Ale on powiedział...

– Jak mój brat może udzielić dokładnych informacji o granicach czegoś, co nie ma granic? Te rubieże wymykają się rozumowi.

„Alia zrobiła coś okropnego” – pomyślał Paul. Obudziła czujność Irulany, której racjonalna świadomość trzymała się mocno wartości wywiedzionych z precyzyjnych ograniczeń. Rzucił okiem na Korbę; siedział pogrążony

w religijnej medytacji – „słuchając duszą”. Jak kwizarat wykorzysta tę wymianę zdań? Poglębi religijną tajemnicę? Pomoże budzić respekt? Z pewnością.

– Tak więc podpiszesz traktat w jego obecnej postaci? – spytał Stilgar.

Paul uśmiechnął się. Sprawa jasnowidzenia, zdaniem Stilgara, została zamknięta. Fremen dążył tylko do zwycięstwa, nie do poznania prawdy. Kotwicami jego wszechświata były pokój, sprawiedliwość i mocny pieniądź. Chciał czegoś widzialnego i rzeczywistego – podpisu pod traktatem.

– Podpiszę – rzekł Paul.

Stilgar wziął do ręki drugą teczkę.

– Ostatnie meldunki dowódców frontowych w sektorze Ixa mówią o agitacji konstytucyjnej.

Spostrzegłszy, że stary Fremen zerka na nią, Chani wzruszyła ramionami.

Irulana, która w mnemotechnicznym nacisku przyłożyła dłonie do czoła, nagle otworzyła oczy i popatrzyła badawczo na Paula.

– Konfederacja ixańska gotowa jest zrezygnować z suwerenności – oświadczył Stilgar – lecz jej negocjatorzy kwestionują wysokość imperialnego podatku, jaki im...

– Chcą ustawowego ograniczenia mojej imperatorskiej woli – Paul wszedł mu w słowo. – Kto miałby mną rządzić, Landsraad czy KHOAM?

Stilgar wyjął z teczki kartkę pancapieru.

– Nasz agent przysłał notatkę ze spotkania prezydium mniejszości KHOAM. – Bezbarwnym głosem odczytał szyfrogram: – „Należy powstrzymać Tron pragnący zmonopolizować władzę. Musimy ujawnić prawdę o knowaniach Atrydy ukrytych pod potrójnym pozorem ustawodawstwa Landsraadu, sankcji religijnej i biurokratycznej sprawności”. – Schował notatkę do teczki.

– Konstytucja – mruknęła Chani pod nosem.

Paul zerknął na nią, po czym spojrzał znowu na Stilgara. „Tak więc džihad słabnie – pomyślał. – Niestety za późno, żeby mnie ocalić”. Pod wpływem tej myśli ożyły emocje. Wspomnił swoje pierwsze wizje przyszłego džihadu, wizje budzące w nim przerażenie i głęboki sprzeciw. Obecne wizje były, rzecz jasna, jeszcze straszniejsze. Żył pośród rzeczywistej przemocy. Patrzył, jak jego Fremen w mistycznym szale wojny religijnej zmiatają wszystko, co staje im na drodze. Dżihad nabrał nowego wymiaru. Na tle wieczności był to oczywiście skończony epizod, krótki

paroksyzm, lecz towarzyszące mu koszmary przyćmiewały wszystko, co poznano wcześniej.

„Wszystko zaś w moim imieniu” – pomyślał Paul.

– A może dać im jakąś *formę* konstytucji – zaproponowała Chani. – Jakąś jej namiastkę.

– Podstęp to instrument polityki – przytaknęła Irulana.

– Władza ma granice, o czym zawsze przekonują się ci, którzy pokładają nadzieję w konstytucji – rzekł Paul.

Korba wyprostował się, przerywając nabożny bezruch.

– Mój panie?

– Tak? – „Mogłem przysiąc – skonstatował Atryda. – Kto jak kto, ale on w cichości ducha sprzyja jakimś wyimaginowanym rządowi prawa”.

– Na początek moglibyśmy dać konstytucję religijną – powiedział Korba.

– Coś dla wiernych, którzy...

– Nie! – uciał Paul. – Uregulujemy to rozporządzeniem imperialnym. Protokołujesz, Irulana?

– Tak, mój panie – odparła lodowatym tonem, wściekła, że zmusza ją do czegoś uwłaczającego jej godności.

– Konstytucje są szczytem tyranii – zaczął Paul. – Władza w tak zorganizowanej formie staje się absolutna. Konstytucja to zmobilizowana siła społeczna pozbawiona sumienia. Miazdzy zarówno najmożniejszego, jak i najpośledniejszego, znosząc wszelką godność i indywidualność. Ma niestabilny punkt równowagi, a nie ma ograniczeń. Ja natomiast mam ograniczenia. W trosce o jak najlepszą ochronę moich poddanych niniejszym zakazuję konstytucji. Rozporządzenie imperialne, dzisiejsza data, *et cetera*, *et cetera*.

– A co z troską Ixan o podatek, mój panie? – zapytał Stilgar.

Odwracając wzrok od zaszępionej, gniewnej miny Korby, Paul spytał:

– Masz jakąś propozycję, Stil?

– Musimy mieć prawo nakładania podatków, Najjaśniejszy Panie.

– Ceną dla Gildii za mój podpis pod traktatem tupilskim – stwierdził Paul – jest zgoda konfederacji ixańskiej na nasz podatek. Konfederacja nie może prowadzić wymiany handlowej bez transportowców Gildii. Zapłaci.

– Tak jest, mój panie. – Stilgar wziął następną teczkę i odchrząknął. – Raport kwizaratu na temat Salusa Secundus. Ojciec Irulany szkoli swoje wojska w operacjach desantowych.

Księżna z wielkim zainteresowaniem przyglądała się swojej lewej dłoni. Widać było pulsującą żyłę na jej szyi.

– Irulana – spytał Paul – nadal upierasz się, że legion twojego ojca to malowane wojsko?

– Co mógłby osiągnąć z jednym tylko legionem? – odparła, wpatrując się w niego zmrużonymi oczami.

– Mógłby zostać zabity – powiedziała Chani.

Paul skinął głową.

– A mnie przypisano by winę.

– Znam kilku dowódców w džihadzie – odezwała się Alia – którzy podskoczyliby na te wieści.

– Ale to tylko jego policja! – zaprotestowała Irulana.

– Zatem nie musi ćwiczyć operacji desantowych – rzekł Paul. – Radzę, by twój następny liścik do ojca zawierał jasną i prostą wykładnię mojej opinii o jego delikatnej sytuacji.

Księżna spuściła wzrok.

– Tak, mój panie. Mam nadzieję, że na tym się to skończy. Z mojego ojca byłby dobry męczennik.

– Hmmm – mruknął Paul. – Moja siostra nie zawiadomi wspomnianych dowódców bez mojego rozkazu.

– Napaść na mego ojca niesie zagrożenia innego rodzaju niż oczywiste ryzyko wojskowe. Ludzie zaczynają wspominać jego panowanie z pewną nostalgią.

– Któregoś dnia posuniesz się za daleko – powiedziała Chani z fremeńską śmiertelną powagą.

– Dosyć! – rzucił Paul. Ważył w myślach nowinę Irulany o powszechnej nostalgii. Ależ tak! W tym brzmiała nuta prawdy. Irulana nie pierwszy raz dowiodła swej wartości.

– Bene Gesserit przysłały oficjalną suplikę – rzekł Stilgar, biorąc nową teczkę. – Pragną konsultacji w sprawie zachowania twojej linii.

Chani popatrzyła z ukosa na teczkę, jakby zawierała jakieś śmiertelne narzędzie.

– Przekaż zgromadzeniu te same wymówki, co zwykle.

– Ale dlaczego? – spytała Irulana.

– Może... już czas to rozważyć – powiedziała Chani.

Paul gwałtownie pokręcił głową. Nie mogły się dowiedzieć, że to część ceny, której jeszcze nie zdecydował się zapłacić.

Jednak nic już nie mogło powstrzymać Chani.

– Byłam pod ścianą modłów w siczy Tabr, w której się urodziłam. Byłam u lekarzy. Ukłękłam na pustyni i słałam myśli do głębin, w których przebywa Szej-hulud. Wszystko – wzruszyła ramionami – na nic.

„Nauka i zabobon, wszystko ją zawiodło – pomyślał Paul. – Czy ja też ją zawiodłem, nie powiedziawszy jej, jaką lawinę uruchomi, dając rodowi Atrydów dziedzica?” Podniósł wzrok i zobaczył litość w oczach Alii. Przykra była myśl, że budzi litość siostry. Czy ona także widzi tę straszną przyszłość?

– Mój pan musi wiedzieć, jakie zagrożenia dla jego Imperium stwarza brak następcy – powiedziała Irulana z łagodną perswazją, wykorzystując sztukę Głosu Bene Gesserit. – Naturalnie, dyskusja o tych sprawach nie jest łatwa, ale trzeba o nich mówić otwarcie. Imperator to ktoś więcej niż człowiek. To przewodnik Imperium. Bezpotomna śmierć władcy zawsze powoduje zamieszki. Z miłości do poddanych nie wolno ich skazać na taki los.

Paul gwałtownie wstał od stołu i wielkimi krokami podszedł do drzwi balkonowych. Wiatr za nimi zbierał dymy z kominów miasta. Wieczorny tuman pyłu znad Muru Zaporowego przesłonił srebrzysty błękit ciemniejącego nieba. Patrząc na południe, na szaniec osłaniający północne tereny przed kurzawami Coriolisa, Paul zastanawiał się, dlaczego nie może znaleźć takiej osłony dla spokoju ducha.

Członkowie rady milczeli za jego plecami, świadomi, jak bardzo bliski jest wybuchu wściekłości.

Paul czuł, że czas pędzi na niego. Próbował osiągnąć zacisze mnogiej równowagi sił, gdzie mógłby nadać przyszłości nowy kształt.

„Zawracaj... zawracaj... zawracaj...” – kołatało mu się po głowie. Co by się stało, gdyby zabrał Chani – po prostu wziął ją i odleciał – i znalazł azyl na Tupile? Pozostałoby jego imię. Ramię dżihadu wyciągnęłoby się ku nowym, jeszcze potworniejszym miejscom. I o to też by go obwiniono. Nagle ogarnął go lęk, że sięgając po jakąkolwiek nową rzecz, mógłby upuścić to, co najcenniejsze, że nawet najmniejszy odgłos z jego strony mógłby roztrzaskać wszystko w drobny mak i rozrzucić tak daleko, że nigdy nie odzyskałby ani kawałka oddalającego się wszechświata.

Na placu u jego stóp pojawiła się gromada pielgrzymów w zieleni i bieli hadżdżu. Niczym rozczłonkowany wąż sunęli za krocącym na czele arrakińskim przewodnikiem. Przypomnieli Paulowi, że w sali audiencyjnej

czeka już tłum suplikantów. Pielgrzymi! Uprawianie bezdomności stało się obrzydliwym źródłem bogactwa Imperium. Hadżdż wypełniał kosmiczne szlaki religijnymi włóczykami. Przybywali i przybywali, i przybywali.

„Jak wprowadziłem to w ruch?” – zapytał siebie.

To się, oczywiście, samo wprowadziło w ruch. Tkwiło w genach, które zapewne przez wieki harowały na ten krótki paroksyzm.

Napędzani głęboko zakorzenionym religijnym instynktem ludzie wędrowali w poszukiwaniu zmartwychwstania. Tutaj był kres ich wędrówki – na „Arrakis, miejscu, gdzie śmierć jest odrodzeniem”.

Stary, wredny Fremen powiedział, że chce wędrowców dla ich wody.

Paul zastanawiał się, czego naprawdę szukają pielgrzymi. Mówili, że przybywają do świętego miejsca. A przecież musieli wiedzieć, że we wszechświecie nie ma żadnego rajskiego źródła, żadnej Tupile dla duszy. Nazywali Arrakis kolebką niewiadomego, w której wiadome są wszelkie tajemnice. To był łącznik między ich światem teraźniejszym a przyszłym. I co przerażające, opuszczając Arrakis, sprawiali wrażenie zadowolonych.

„Co tu znajdują?” – dumał Paul.

W religijnej ekstazie często wypełniali ulice zgiełkiem niczym jakieś osobliwe ptactwo. Fremen nazywają ich nawet „wędrownymi ptakami”. A nielicznych zmarłych tutaj – „uskrzydlonymi duszami”.

Paul z westchnieniem uświadomił sobie, że każda nowa planeta podbita przez jego legiony to nowe źródło pielgrzymów. Przybywali wyrazić wdzięczność za „pokój Muad’Diba”.

„Wszędzie panuje pokój – myślał. – Wszędzie... tylko nie w sercu Muad’Diba”.

Miał wrażenie, że jakąś częścią tkwi w czarnej, lodowatej magmie nieskończoności. Jasnowidzeniem wypaczył dotychczasowy obraz wszechświata w oczach rodzaju ludzkiego. Wstrząsnął kosmosem, zastąpiwszy poczucie bezpieczeństwa swoim dżihadem. Przewyciężył, przechytrzył i przewidział wszechświat ludzi, jednak był pewny, że ten wciąż mu się wymyka.

Planeta pod jego stopami – ta, którą nakazał przekształcić z pustyni w wodą płynący raj – żyła. Jej puls był równie silny jak ludzki. Walczyła z nim, stawiała mu opór, ignorowała jego nakazy...

Poczuł dłoń w swojej dłoni. Spojrzał w dół, prosto w pełne niepokoju oczy Chani. Tonął w nich.

– Proszę, kochany, nie walcz ze swoim ruh-duchem – szepnęła.

Jej magnetyczny dotyk utrzymał go na powierzchni.

– Sihaja – wyszeptał.

– Musimy czym prędzej udać się na pustynię – powiedziała cicho.

Uściskał i puścił dłoń ukochanej, po czym wrócił do stołu, lecz nie usiadł. Chani zajęła swoje miejsce. Irulana z zaciśniętymi ustami wpatrywała się w dokumenty leżące przed Stilgarem.

– Irulana proponuje siebie na matkę imperialnego następcy – rzekł Paul. Zerknął na Chani, a potem na księżną, która unikała jego wzroku. – Wszystkim wiadomo, że nie darzy mnie miłością.

Irulana zastygła.

– Znam racje polityczne – mówił Paul. – Ale obchodzą mnie racje ludzkie. Sądzę, że gdyby księżna małżonka nie była narzędziem Bene Gesserit, gdyby nie przyświecała jej żądza władzy, moja odpowiedź byłaby całkiem inna. Jednak w tym stanie rzeczy odrzucam tę propozycję.

Irulana aż się zachłysnęła oddechem.

Siadając, Paul pomyślał, że nigdy nie widział, by tak słabo panowała nad sobą. Nachylił się ku niej.

– Irulana, naprawdę mi przykro.

Uniosła brodę. Jej oczy miały błyskawice.

– Nie potrzebuję twojej litości! – wysyczała, po czym zwróciła się do Stilgara: – Masz jeszcze coś pilnego i nie cierpiącego zwłoki?

– Ostatnia sprawa, Najjaśniejszy Panie. – Stilgar patrzył tylko na Paula. – Gildia ponownie występuje o akredytację swojego ambasadora na Arrakis.

– Jednego z tych nieważkich? – spytał Korba ze wstrętem fanatyka.

– Zapewne – rzekł Stilgar.

– Rzecz wymaga głębokiego namysłu, mój panie – przestrzegł Korba. – Gildianin na naszej Arrakis... to się nie spodoba radzie naibów. Nieważcy kalają grunt, którego dotkną stopą.

– Siedzą w swoich zbiornikach, więc ich stopy nie dotykają gruntu. – Paul nie taił irytacji.

– Naibowie mogą wziąć sprawy w swoje ręce, mój panie – oznajmił kwizar.

Paul zmierzył go wzrokiem.

– W końcu są Fremenami, mój panie – nie ustępował Korba. – Dobrze pamiętamy, że Gildia przywiozła tych, którzy nas ciemnęli. Nie zapomnieliśmy, jak grożąc ujawnieniem ciemności naszych tajemnic, narzuciła nam przyprawowy haracz. Wycisnęła z nas ostatnią...

– Dość! – warknął Paul. – Sądysz, że *ja* zapomniałem?

Jak gdyby nagle zdał sobie sprawę ze swych słów, Korba zająknął się, zamamrotał i wreszcie wykrztusił:

– Mój panie, wybacz mi. Nie chciałem przez to powiedzieć, że nie jesteś Fremenem. Nie miałem...

– Przyślą sternika – rzekł Paul. – A taki by tu nie przybył, gdyby widział w tym niebezpieczeństwo.

Irulanie ze strachu zaschło w ustach.

– Ty... *widziałeś*, jak sternik tu przybywa?

– Oczywiście, że nie *widziałem* sternika – odparł Paul, przedrzeźniając ją.

– Ale widzę, gdzie był i dokąd zmierza. Niech przyślą nam sternika. Może mi się przydać ktoś taki.

– Tak rozporządzono – powiedział Stilgar.

Zakrywając dłonią uśmiech, Irulana pomyślała: „Więc to prawda. Nasz Imperator nie widzi sternika. Oślepiają się nawzajem. Spisek jest ukryty”.



Przedstawienie zaczyna się raz jeszcze.

– Imperator Paul Muad'Dib o swoim wstąpieniu na Lwi Tron

Spoglądając przez zamaskowany wziernik do wielkiej sali audiencyjnej, Alia z wysoka obserwowała nadejście orszaku gildian.

Srebrzyste światło południa spływało przezroczem na zielone, niebieskie i żółte płytki podłogowej mozaiki, która przedstawiała rozlewisko z wodnymi roślinami, tu i ówdzie ożywione jaskrawym wizerunkiem ptaka lub ssaka.

Gildianie pokonywali mozaikę jak myśliwi podchodzący zwierzynę w niesamowitej dżungli. Tworzyli ruchomy ornament szarych, czarnych i pomarańczowych strojów, z pozoru chaotycznie rozrzuconych wokół przezroczystego zbiornika, w którym sternik ambasador pływał w pomarańczowych oparach. Zbiornik, holowany przez dwóch posługaczy w szarych szatach, sunął na dryfach niczym prostokątny statek ciągnięty na cumach do doku.

Bezpośrednio pod nią, na podwyższeniu, siedział Paul na Lwim Tronie. Na głowie miał nową ceremonialną koronę z wizerunkiem ryby i pięści. Spowity był w złote szaty zdobione szlachetnymi kamieniami. Otaczało go migotanie tarczy osobistej. Szeregi straży przybocznej ciągnęły się po obu stronach na podwyższeniu i schodach. Dwa stopnie niżej, po prawej ręce Paula, stał Stilgar w białym stroju przepasanym żółtym sznurem.

Dzięki siostrzanej empatii wiedziała, że Paul jest równie poruszony jak ona, chociaż wątpiła, by ktoś inny to dostrzegł. Jego uwagę zaprzętał odziany na pomarańczowo gildianin o utkwionym przed siebie nieruchomym spojrzeniu metalowych oczu. Szedł z przodu, na prawej flance świty ambasadora, niczym członek wojskowej eskorty. Nieco płaska twarz, czarne, kręcone włosy, sylwetka rysująca się pod pomarańczowym płaszczem, każdy ruch – wszystko to wskazywało na jedną osobę.

Na Duncana Idaho.

To nie mógł być Duncan Idaho, a jednak był.

Cudze wspomnienia wchłonięte w łonie matki przemieniającej Wodę Życia pozwoliły Alii rozpoznać tego człowieka za pomocą identyfikacji rihani, która przenika wszelkie kamuflaże. Wiedziała, że Paul rozpoznaje go, mając w pamięci niezliczone własne wspomnienia, długi wdzięczności i spędzoną z nim młodość.

To był Duncan.

Alię przeszedł dreszcz. Istniało tylko jedno wyjaśnienie: tleilaxański ghola, istota odtworzona z martwego ciała. Prawdziwy Duncan zginął, ratując życie Paulowi. Ten mógł się narodzić wyłącznie w kadziach aksolotlowych.

Ghola stapał z kocią czujnością mistrza miecza. Przystanął równocześnie ze zbiornikiem ambasadora w odległości dziesięciu kroków od stopni podwyższenia.

Metodą Bene Gesserit, co było silniejsze od niej, Alia wyczytała niepokój Paula. Nie patrzył już na postać ze swej przeszłości. Nie patrząc, wpatrywał się w nią jednak całym swoim jestestwem. Pokonawszy opór napiętych mięśni, skinął głową ambasadorowi.

– Powiedziano mi, że jesteś Edryk. Witamy cię na naszym dworze w nadziei nowego wzajemnego zrozumienia.

Sternik przyjął wygodną, półleżącą pozycję w swojej pomarańczowej toni, wrzucił pigułkę melanżu do ust i wreszcie podniósł wzrok.

Z maleńkiego przetwornika krążącego w narożniku jego schronienia dobiegło kasznięcie, a po nim zgrzytliwy, obojętny głos:

– Korzę się przed moim Imperatorem i pokornie proszę o przyjęcie moich listów uwierzytelniających wraz ze skromnym podarunkiem.

Sekretarz przekazał Stilgarowi dokument, który Fremen przejrzał z uwagą, chmurząc czoło, po czym skinął głową Paulowi. Obaj zwrócili się w stronę gholi tkwiącego nieruchomo u stóp podwyższenia.

– Mój Imperator dobrze rozpoznaje podarunek – rzekł Edryk.

– Chętnie przyjmujemy twoje listy uwierzytelniające – oznajmił Paul. – Powiedz coś więcej o tym podarunku.

Sternik przekreślił się w zbiorniku, żeby mieć gholę na oku.

– Ten człowiek nazywa się Hayt. – Przeliterował. – Według naszych badaczy ma nader ciekawy życiorys. Został zabity tutaj, na Arrakis... ciężka rana głowy sprawiła, że proces odrostu wymagał wielu miesięcy. Zwłoki sprzedano Bene Tleilax z informacją, że to ciało mistrza miecza ze szkoły Ginazów. Doszło do naszych uszu, że to zapewne Duncan Idaho, zaufany sługa waszego rodu. Kupiliśmy go z myślą o podarunku godnym Imperatora.

– Wbił wzrok w Paula. – Czy to nie Idaho, Najjaśniejszy Panie?

Powściągliwość z ostrożnością pospołu wyważyły głos Paula.

– Wygląda jak Idaho.

„Czy Paul widzi coś, czego ja nie widzę? – zastanawiała się Alia. – Nie! To jest Duncan!”

Mężczyzna zwany Haytem stał swobodnie, patrząc metalowymi oczami w dal. Niczym nie dał po sobie poznać, czy wie, że jest przedmiotem tej rozmowy.

– O ile wiemy, to właśnie on – powiedział Edryk.

– Teraz mówią na niego Hayt – rzekł Paul. – Dziwne imię.

– Nieodgadnione są motywy nadawania imion przez Tleilaxan, Najjaśniejszy Panie – stwierdził Edryk. – Ale imiona można zmieniać. Tleilaxańskie imię jest mało ważne.

„To twój Tleilaxan – pomyślał Paul. – W tym sęk”. Bene Tleilax nie byli szczególnie przywiązani do istoty zjawiska. Pojęcia dobra i zła w ich filozofii zawierały przedziwne treści. Co zawarto w ciele Idaho – dla jakiegoś celu bądź kaprysu?

Zerknąwszy na Stilgara, zauważył u niego zabobonny strach. Ta sama bojaźń malowała się na twarzach całej jego fremeńskiej gwardii. Stilgar zapewne rozmyślał o wstrętnych zwyczajach gildian, Tleilaxan i ghol.

Paul zwrócił się do gholi.

– Hayt, czy to twoje jedyne imię? – spytał.

Spokojny uśmiech rozjaśnił śniade oblicze Hayta. Podniósł metalowe oczy i utkwiał je w Paulu, ale ich spojrzenie pozostało martwe.

– Tak mam na imię, mój panie. Hayt.

Alia wzdrygnęła się w swojej ciemnej dziupli. To był głos Idaho, jego barwa zaś tak idealna, że wyczuła jej odbitkę w swoich komórkach.

– Chyba nie urażę cię, mój panie – dodał ghola – jeśli powiem, że twój głos sprawia mi przyjemność. To znak, zdaniem Bene Tleilax, że słyszałem go już... w przeszłości.

– Ale nie wiesz tego na pewno – rzekł Paul.

– Niczego z mojej przeszłości nie wiem na pewno, mój panie. Wyjaśniono mi, że nie mogę mieć żadnych wspomnień z poprzedniego życia. Z przeszłości pozostaje tylko profil genetyczny. Jednak istnieją nisze, do których mogą pasować znajome niegdyś rzeczy. Głosy, miejsca, potrawy, twarze, dźwięki, czynności: miecz w dłoni, stery ornitoptera...

Zauważywszy, jak pilnie gildianie śledzą tę wymianę zdań, Paul spytał:

– Wiesz, że jesteś podarunkiem?

– Wyjaśniono mi to, mój panie.

Paul wyprostował się i złożył dłonie na poręczach tronu.

„Jaki mam dług wobec ciała Duncana? – myślał. – Idaho zginął, ratując mi życie. Ale to nie jest Idaho, to ghola”. Niemniej to ciało i ten umysł nauczyły go tak pilotować ornitopter, jakby skrzydła maszyny wyrastały mu z ramion. Wiedział, że nie potrafiłby dobyć miecza bez twardej szkoły szermierki, jaką dał mu Idaho. „Ghola”. Ciało pełne wygenerowanych wrażeń, które łatwo odczytać na opak. Dawne więzi nie puszcza. „Duncan Idaho”. To nie tyle maska noszona przez gholę, ile luźny, maskujący strój osobowości funkcjonującej poniekąd inaczej niż wszelkie lichy ukryte w niej przez Tleilaxan.

– Jak mógłbyś nam służyć? – zapytał Paul.

– Zgodnie z wolą mojego pana i w miarę moich możliwości.

Alię, która śledziła wydarzenia ze swego punktu obserwacyjnego, uderzyła nieśmiałość gholi. Nie wychwyciła żadnego udawania. Jakaś najczystsza niewinność biła od nowego Duncana Idaho. Dawny był kuty na cztery nogi i zuchwały do szaleństwa. Tymczasem to ciało wyprano z tego wszystkiego. Było czystą kartą, na której Tleilaxanie zapisali... Właśnie, co?

Dopiero teraz wyczuła zagrożenia kryjące się w tym podarunku. Był tleilaxańskim tworem. W swych dziełach Tleilaxanie przejawiali niepokojący brak zahamowań. Potrafili się kierować nieposkromioną ciekawością. Chętni się, że z odpowiedniego surowca ludzkiego mogą zrobić wszystko – diabłów lub świętych. Sprzedawali mentatów asasynów. Stworzyli lekarza zabójcę, przełamawszy uwarunkowanie Akademii Suk przeciwko odbieraniu ludzkiego życia. Ich oferta zawierała gorliwe usługi, uległe lalki na każdą seksualną zachciankę, żołnierzy, generałów, filozofów, nawet przypadkowego moralistę.

Paul drgnął i spojrzał na Edryka.

– Jak wyszkolono ten *podarunek*? – zapytał.

– Za pozwoleniem, mój panie – rzekł sternik – Tleilaxanie zabawili się, wyszkoliwszy tego gholę na mentata i zensunnickiego filozofa. Chcieli w ten sposób udoskonalić jego sztukę władania mieczem.

– Udało im się?

– Nie wiem, mój panie.

Paul rozważył odpowiedź Edryka. Zmysł prawdy mówił mu, że gildianin święcie wierzy, iż ghola jest Duncanem Idaho. Ale było coś więcej. Jasnowidzący sternik żeglował po oceanie czasu, który wieszczył niebezpieczeństwa, nie odkrywając ich. „Hayt”. Tleilaxańskie imię nie zapowiadało nic dobrego. Paula kusilo, żeby nie przyjąć podarunku. Równocześnie miał świadomość, że tak nie postąpi. To ciało było wierzycielem rodu Atrydów – jego wrogowie wiedzieli o tym aż za dobrze.

– Zensunnicki filozof – głośno myślał Paul, raz jeszcze przyglądając się gholi. – Przeanalizowałeś swoją rolę i pobudki?

– Do służby podchodzę z pokorą, Najjaśniejszy Panie. Mam czysty umysł, pozbawiony imperatywów mojej ludzkiej przeszłości.

– Wolisz, żebyśmy nazywali cię Hayt czy Duncan Idaho?

– Mój pan może mnie nazywać, jak sobie życzy, ponieważ nie jestem ani imieniem, ani nazwiskiem.

– Ale *podoba* ci się imię i nazwisko „Duncan Idaho”?

– Chyba tak się nazywałem, Najjaśniejszy Panie. Pasuje to do mnie jak ulał. Jednak... budzi dziwne echa. Nazwisko, moim zdaniem, musi dźwigać mnóstwo rzeczy, tak niemiłych, jak miłych.

– Co sprawia ci największą przyjemność?

Nieoczekiwanie ghola parsknął śmiechem.

– Szukanie w ludziach śladów mojego dawnego ja.

– Widzisz je tutaj?

– Och, tak, mój panie. Twój człowiek, Stilgar, jest rozdarty między nieufnością a podziwem. Był przyjacielem tego, kim byłem w przeszłości, ale mierzi go takie ciało gholi. Ty, mój panie, podziwiałeś człowieka, jakim byłem... i darzyłeś go zaufaniem.

– Czysty umysł – powtórzył Paul. – Jak czysty umysł może się nam oddać w niewolę?

– Niewolę, mój panie? Czysty umysł podejmuje decyzje w świecie niewiadomych, bez przyczyny i skutku. Czy to niewola?

Paul zmarszczył brwi. To było zensunnickie gadanie, mętny, choć zgrabny aforyzm mający źródło w poglądzie, że wszelkie czynności umysłowe są pozbawione obiektywizmu. „Bez przyczyny i skutku!” Takie myśli porażały umysł. „Niewiadome?” Niewiadome występują w każdej decyzji, nawet w proroczych wizjach.

– Wolisz, żebyśmy nazywali cię Duncan Idaho? – zapytał.

– Różnice decydują o życiu, mój panie. Daj mi imię.

– Zachowaj imię z Tleilaxa – rzekł Paul. – Hayt: imię, które budzi czujność.

Ghola złożył ukłon i cofnął się o krok.

„Skąd on wiedział, że to koniec posłuchania? – zastanawiała się Alia. – Ja wiedziałam, ponieważ znam brata. Nie było jednak żadnego znaku czytelnego dla obcych. Czy poznał to tkwiący w nim Duncan Idaho?”

Paul zwrócił się do ambasadora.

– Wybrana została rezydencja na waszą ambasadę. Jest naszym życzeniem odbycie prywatnej rozmowy z tobą przy najbliższej okazji. Wezwiemy cię. Ponadto informujemy cię, zanim się o tym dowiesz z nieodpowiednich źródeł, że Matka Wielebna zgromadzenia żeńskiego, Gaius Helena Mohiam, została usunięta z liniowca, którym przybyliście. Zrobiono to z naszego rozkazu. Jej obecność na waszym statku będzie przedmiotem dalszych rozmów. – Skinieniem lewej ręki odprawił gildianina. – Hayt, zostań – polecił.

Świta ambasadora oddaliła się, holując zbiornik. Edryk przybrał postać pomarańczowej turbulencji w pomarańczowym obłoku – oczy, usta, łagodnie falujące członki.

Paul odprowadzał orszak wzrokiem, dopóki wielkie drzwi nie zamknęły się za ostatnim gildianinem. „Klamka zapadła – pomyślał. – Przyjąłem gholę”.

Twór Tleilaxan ponad wszelką wątpliwość był przynętą. Stara czarownica Matka Wielebna najprawdopodobniej odgrywała tę samą rolę. Ale nastał czas tarota przewidziany w jednej z jego wczesnych wizji. Przeklęty tarot! Tak zmętnił toń czasu, że prorok z wysiłkiem odkrywał chwile odległe zaledwie o godzinę. „Wiele ryb ucieka, połknąwszy przynętę” – pocieszył się. A tarot działał zarówno na jego korzyść, jak i przeciw niemu. Czego on nie widział, inni też nie mogli zobaczyć.

Ghola czekał, przechyliwszy na bok głowę. Stilgar przeszedł w poprzek schodów i zasłonił go Paulowi. W języku łowieckim chakobsa, jak za siczowych dni, powiedział:

– Tamten odmieniec w zbiorniku przejmuje mnie zimnym dreszczem, Najjaśniejszy Panie, a co dopiero ten *podarunek*. Odeślij go!

– Nie mogę – odparł Paul w tym samym języku.

– Idaho nie żyje – nalegał Stilgar. – To nie jest Idaho. Pozwól mi wziąć wodę tego czegoś dla plemienia.

– Ghola to mój problem, Stil. Twoim problemem jest nasza więźniarka. Chcę, żeby Matka Wielebna była pod najściślejszym nadzorem strażników, których uodporniłem na sztuczki Głosu.

– Nie podoba mi się to, Najjaśniejszy Panie.

– Będę miał oczy otwarte, Stil. Ty też się postaraj.

– Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

Stilgar zszedł z podwyższenia. Mijając Hayta, pociągnął nosem, i wymaszerował z sali.

„Zło poznasz po złym zapachu” – przypomniało się Paulowi. Stilgar zatknął zielono-czarny sztandar Atrydów na tuzinie planet, lecz pozostał zabobonnym Fremenem, uodpornionym na całe wyrafinowanie świata.

Paul utkwiał wzrok w swoim podarunku.

– Duncan, Duncan – wyszeptał. – Co oni ci zrobili?

– Dali mi życie, mój panie – powiedział Hayt.

– Ale po co cię wyszkolili i dali nam?

Ghola na chwilę zacisnął usta.

– Żeby cię zniszczył – rzekł wreszcie.

Szczerłość stwierdzenia wstrząsnęła Paulem. Ale z drugiej strony, jakże inaczej mógł odpowiedzieć zensunnita mentat? Nawet jako ghola, mentat musi mówić prawdę, zwłaszcza gdy stoi za tym zensunnicki spokój ducha. To ludzki komputer, umysł i układ nerwowy przystosowane do zadań, które dawno temu powierzano znienawidzonym urządzeniom mechanicznym.

Dodatkowe uwarunkowanie zensunnizmem oznacza podwojenie w nim miary uczciwości... chyba że Tleilaxanie wbudowali w to ciało coś jeszcze bardziej niezwykłego.

Dlaczego, na przykład, mechaniczne oczy? Tleilaxanie puszą się, że ich metalowe oczy przewyższają naturalne. Dziwne w takim razie, że większość nie nosi takich z wyboru.

Paul zerknął do góry, ku kryjówce Alii, tęskniąc do jej obecności i rady, spojrzenia nie zmałowanego poczuciem odpowiedzialności i długiem wdzięczności.

Ponownie spojrzał na gholę. Nie był błahym podarunkiem. Udzielał uczciwych odpowiedzi na niebezpieczne pytania.

„Niczego nie zmienia tu fakt, że wiem, iż to broń zwrócona przeciwko mnie” – pomyślał Paul.

– Co mam zrobić, żeby się obronić przed tobą? – spytał wprost, odrzucając *pluralis maiestatis*, jak zapytałby dawnego Duncana Idaho.

– Odeślij mnie, mój panie.

Paul pokręcił głową.

– Jak masz mnie zniszczyć?

Hayt popatrzył na gwardzistów, którzy po odejściu Stilgara zwarli szeregi wokół władcy. Obejrzał się, omiótł wzrokiem salę, zwrócił metalowe oczy z powrotem na Paula i kiwnął głową.

– To miejsce, w którym człowiek oddala się od ludzi – rzekł. – Świadczy o władzy tak wielkiej, że nie sposób pomyśleć o niej bez drżenia, nie mając w pamięci, że wszystko ma swój kres. Czy prorocze zdolności mojego pana wytyczyły mu kurs do tego miejsca?

Paul zabębnił palcami o poręcz tronu. Pytanie zdenerwowało go, jednak mentat potrzebował danych.

– Doszedłem tutaj dzięki twardym decyzjom... nie zawsze pod wpływem moich innych... zdolności.

– Twarde decyzje – rzekł Hayt. – Za ich sprawą człowiek ma twarde życie. Twardy metal można jednak zmiękczyć, rozgrzewając go i dając mu ostygnąć bez hartowania.

– Zabawiasz mnie zensunnicką paplaniną? – spytał Paul.

– Zensunnita znajduje inne ścieżki poznania niż zabawy i popisy, Najjaśniejszy Panie.

Paul zwilżył wargi językiem, wziął głęboki wdech i wprowadził swój umysł w mentacki trans odciążonej równowagi. Znalazł się pośród negatywnych

odpowiedzi. Nie oczekiwano, że pogoni za gholą, zaniedbując inne obowiązki. Nie, to nie to. Dlaczego mentat *zensunnita*? Filozofia... słowa... kontemplacja... medytacja... Odczuwał mizerność swoich danych.

– Potrzebujemy więcej danych – zamruczał.

– Potrzebne mentatowi fakty nie osypują się na niego jak kwiatowy pyłek, który można zebrać połą płaszcza, krocząc przez rabatkę – powiedział Hayt.

– Pyłek zbiera się starannie i bada pod potężnym mikroskopem.

– Musisz nauczyć mnie tej zensunnickiej retoryki – rzekł Paul.

Zwrócone na niego metalowe oczy zabłyśły.

– Najjaśniejszy Panie, być może to właśnie zaplanowano.

„Osłabić moją wolę za pomocą słów i idei?” – zdziwił się Paul.

– Idei trzeba się bać najbardziej, gdy wprowadzone są w czyn – odparł.

– Odeślij mnie, Najjaśniejszy Panie – rzekł Hayt głosem Duncana Idaho, pełnym troski o „panicza”.

Paula usidlił ten głos. Nie potrafiłby się go pozbyć, mimo że pochodził od gholi.

– Zostaniesz – oznajmił – i obaj będziemy się mieć na baczności.

Hayt schylił głowę w pokłonie.

Paul wzniosł oczy ku szpiegowskiemu wziernikowi, prosząc Alię wzrokiem, żeby zabrała ten podarunek i wytropiła jego sekrety. Ghole byli duchami do straszenia dzieci. Nigdy nie przypuszczał, że jakiegoś pozna. Aby poznać akurat tego, musi się wzniesć ponad wszelkie współczucie... a nie był pewny, czy stać go na to. „Duncan... Duncan...” Gdzie jest Idaho w tym skrojonym na miarę ciele? To zresztą nie ciało... to całun w kształcie ciała! Idaho leży w arrakańskiej jaskini, martwy na wieki. Przez oczy z metalu spoziera jego duch. Dwie istoty stoją ramię w ramię w tym zmartwychwstałym ciele. A jedna z nich, o sile i naturze ukrytej za niezwyklejmi zasłonami, stanowi zagrożenie.

Zamknawszy oczy, Paul przesiewał w świadomości dawne wizje. Wyczuwał duchy miłości i nienawiści harcujące na falach morza, nad którego chaosem nie sterczy żadna skała. Żadnego skrawka lądu, skąd ogarnąłby wzrokiem ten zamęt.

„Dlaczego żadna wizja nie ukazała mi tego nowego Duncana Idaho? Co skrywa czas przed jasnowidzącym? Oczywiście innych jasnowidzów”.

Otworzył oczy.

– Hayt, masz zdolność jasnowidzenia? – spytał.

– Nie, Najjaśniejszy Panie.

W jego głosie brzmiała szczerłość. Nie można było, oczywiście, wykluczyć, że ghola nie wie, iż ma taki dar. Ale to ograniczałoby go jako mentata. Jaki więc jest ukryty cel?

Fale dawnych wizji zalewały Paula. Czy pisana mu jest straszliwa droga? Wykoślawiony czas ukazał mu gholę w przebłyску owej okropnej przyszłości. Czy ta straszliwa droga powiedzie go bez względu na to, co zrobi?

„Zawracaj... zawracaj... zawracaj...” Ta myśl huczała mu w głowie.

Oparłszy brodę na lewej dłoni, Alia spoglądała z góry na gholę. Ten Hayt rzucał na nią jakiś hipnotyczny czar. Tleilaxańscy wskrzesiciele dali mu młodość, niewinną pierwotność, której trudno było się oprzeć. Alia zrozumiała nie wypowiedziany apel brata. Kiedy zawodzą prorocy, wzywa się prawdziwych szpiegów i fizyczne środki. Jednak zastanawiał ją zapal, z jakim gotowa była podjąć to wyzwanie. Najwyraźniej pragnęła znaleźć się blisko tego nowo narodzonego mężczyzny, może nawet go dotknąć.

„On jest niebezpieczny dla nas obojga” – pomyślała.



Zbytńia dociekliwość szkodzi prawdzie.

– stare przysłowie fremeńskie

– Matko Wielebna, boleję, widząc cię w takim położeniu – powiedziała Irulana.

Przystanęła tuż za progiem celi, lustrując metodą Bene Gesserit wątpliwe uroki pomieszczenia. Sześcian o trzymetrowym boku został wycięty lancami laserowymi w pożyłkowanej brunatnej skale pod twierdzą Paula. Wyposażenie było skąpe i surowe. Liche plecione krzesło, obecnie zajęte przez Matkę Wielebną Gaius Helenę Mohiam, nakryta brązową narzutą prycza, z rozłożoną na niej nową talią Tarota Diuny, kurek dozownika wody nad miską regeneracyjną oraz fremeńska latryna z uszczelnieniami chroniącymi przed utratą wilgoci. Cztery zakratowane lumisfery w rogach pod sufitem dawały żółte światło.

– Zawiadomiłaś lady Jessikę? – spytała Matka Wielebna.

– Tak, ale nie sędzę, żeby kiwnęła palcem przeciwko swemu pierworodnemu.

Irulana zerknęła, co mówią karty. Zdecydowanie odwróciły się od pytających. Karta Wielkiego Czerwia leżała pod Pustynnym Piaskiem. Zalecana była cierpliwość. „Czy trzeba tarota, żeby to dostrzec?” – przemknęło jej przez głowę.

Strażnik pod drzwiami zaglądał przez metaszkło judasza. Księżna wiedziała, że nie tylko on śledzi to spotkanie. Długo się zastanawiała, nim odważyła się złożyć tę wizytę. Ale unikanie jej również było niebezpieczne.

Matka Wielebna oddawała się medytacji prądna na przemian ze studiowaniem tarota. Osiągnęła dzięki temu jako taki spokój, mimo przeczucia, że żywa nigdy nie opuści Arrakis. Nie trzeba wielkich proroczych zdolności, by zauważyć, że mętna woda to mętna woda. No i zawsze jest też *Litania przeciw strachowi*.

Musiała jeszcze przetrwać sens wydarzeń, które zawiodły ją do tej celi. Mroczne podejrzenia wylęgły się w jej umyśle, a tarot jakby je potwierdzał. Czy było możliwe, żeby Gildia to ukartowała?

Kwizar w żółtych szatach – ogolona głowa pod turbanem, świdrujące, całkowicie błękitne oczy w dobrotliwej, krągłej twarzy, cera ogorzała od wiatru i słońca Arrakis – czekał na nią na pomoście recepcyjnym liniowca. Podniósł oczy znad czarnej przyprawowej kawy podanej przez służącego stewarda, utkwiał na chwilę wzrok w Matce Wielebnej, po czym odstawił czarkę.

– Matka Wielebna Gaius Helena Mohiam?

Powtórzywszy w pamięci jego słowa, raz jeszcze przeżyła tamtą chwilę. Nieopanowany skurcz strachu ścisnął ją za gardło. Skąd jakiś pacholek Imperatora dowiedział się o jej obecności na liniowcu?

– Doszły nas wieści, że jesteście na tym statku – powiedział kwizar. – Zapomnieliście, że macie zakaz przebywania na świętej planecie?

– Nie przebywam na Arrakis – odparła Matka Wielebna. – Jestem pasażerką liniowca Gildii pozostającego w wolnej przestrzeni.

– Nie ma czegoś takiego jak wolna przestrzeń, szanowna pani. – W jego głosie słyszała chorobliwą podejrzliwość zmieszaną z nienawiścią. – Muad'Dib panuje wszędzie – rzekł.

– Arrakis nie jest moim miejscem przeznaczenia – nie poddawała się.

– Arrakis jest miejscem przeznaczenia każdego – stwierdził, a ona przez moment obawiała się, że rozpoczął deklamację mistycznego przewodnika

pielgrzymów. (Liniowiec przewoził ich tysiące.)

Jednak kwizar wydobyl spod szaty złoty amulet, ucałował go, przytknął do czoła, a następnie przyłożył do prawego ucha i słuchał. Po chwili schował amulet.

– Macie zabrać bagaż i towarzyszyć mi na Arrakis.

– Ale mam coś do załatwienia gdzie indziej!

W owym momencie podejrzewała perfidię Gildii... albo działanie nadprzyrodzonej mocy Imperatora lub jego siostry. Być może sternik mimo wszystko nie osłaniał spisku. Zły Duch, Alia, z pewnością ma zdolności Matki Wielebnej Bene Gesserit. Co się stanie, gdy zostaną sprzężone z siłami, którymi włada jej brat?

– Natychmiast! – rzucił kwizar.

Wszystko się w niej burzyło na myśl o kolejnym pobycie na tej przeklętej pustynnej planecie. To tutaj lady Jessika zwróciła się przeciwko zgromadzeniu. To tutaj Bene Gesserit utraciły Paula Atrydę, Kwisatz Haderach, którego poszukiwały wśród wielu pokoleń planu eugenicznego.

– Natychmiast – zgodziła się.

– Mamy mało czasu – powiedział kwizar. – Gdy Imperator wydaje rozkazy, poddani co żywo je wykonują.

„Zatem rozkaz wyszedł od Paula!” – skonstatowała Mohiam. Przemknęło jej przez myśl, czy nie wystąpić z protestem do nawigatora, komandora liniowca, lecz powstrzymała ją daremność tego kroku. Co Gildia mogła zrobić?

– Imperator zapowiedział, że zginę, jeśli postawię nogę na Diunie – podjęła ostatnią, rozpaczliwą próbę obrony. – Sam o tym wspomniałeś. Zabierając mnie tam, skazujesz mnie na śmierć.

– Ani słowa – nakazał kwizar. – Rzecz jest przesądzona.

Wiedziała, że zawsze w ten sposób mówili o imperatorskich rozkazach. „Rzecz jest przesądzona!” Święty władca, który przenika wzrokiem przyszłość, przemówił. Co musi być, to będzie. W końcu on to widział, nieprawdaż?

Z mdlącym uczuciem, że wpadła we własne sidła, ruszyła po bagaż.

A sidła przybrały postać celi, w której mogła ją odwiedzić Irulana. Księżna postarzała się nieco od spotkania na Wallach IX. Troski przysporzyły jej kurzych łapek w kącikach oczu. Cóż... pora się przekonać, czy ta Bene Gesserit potrafi dotrzymać ślubów posłuszeństwa.

– Miewałam gorsze kwatery – oznajmiła Matka Wielebna. – Przysyła cię Imperator? – Szybko ruszała palcami, jakby w zdenerwowaniu.

Odczytawszy jej znaki, Irulana zamigała, mówiąc równocześnie:

– Nie. Przybyłam, jak tylko się dowiedziałam, że tu jesteś.

– Imperator nie będzie się gniewał? – spytała Mohiam. Jej palce znowu się poruszały: rozkazując, ponaglać, zapytując.

– Niech się gniewa. Byłaś moją nauczycielką w zgromadzeniu, podobnie jak jego matki. Czy on sobie wyobraża, że odwrócę się od ciebie tak jak ona? – A w języku migowym to wykręcała się, to prosiła.

Matka Wielebna westchnęła. Na pozór było to ubolewanie więźniarki nad swoim losem, lecz w duchu tym westchnieniem skwitowała Irulanę. Trzeba porzucić płonną nadzieję, że cenny genom Imperatora Atrydy uda się zachować za pomocą tego instrumentu. Choć piękna, księżna pełna była wad. W ponętym ciele tkwiła marudna sekutnica, bardziej zajęta słowami niż czynami. Niemniej była Bene Gesserit, a zgromadzenie miało techniki dyscyplinowania co słabszych owieczek, by zapewnić wykonanie ważkich instrukcji.

Pod przykrywką narzekań na twardą pryczę i marny wikt Matka Wielebna sięgnęła do swego arsenału argumentów i wydała polecenie: trzeba doprowadzić do skrzyżowania brata z siostrą. (Odebrawszy je, Irulana omal się nie załamała.)

– *Dajcie mi szansę!* – zamigała.

– *Miałaś swoją szansę* – odpowiedziała Mohiam. Wydając instrukcje, niczego nie owijała w bawełnę. – *Czy Imperator kiedykolwiek pogniewał się na swoją konkubinę? Z takimi wyjątkowymi zdolnościami musi się czuć samotny. Komu mógłby się wyżalić, licząc, że znajdzie zrozumienie? Siostrze, rzecz jasna. Siostra podziela tę samotność. Należy wykorzystać siłę ich duchowej więzi. Stwarzać im okazje do przebywania sam na sam. Aranżować intymne spotkania. Trzeba szukać sposobności wyeliminowania konkubiny. W smutku puszczają zwyczajowe hamulce.*

Irulana protestowała. Gdyby Chani została zabita, podejrzenia natychmiast padłyby na księżną małżonkę. Poza tym, są inne problemy. Chani uciekła się do starej fremeńskiej diety, która rzekomo wzmacnia płodność, a ta wykluczyła możliwość podawania środków antykoncepcyjnych. Po ich odstawieniu Chani będzie nadpłodna.

Z wysiłkiem kryjąc gniew, Matka Wielebna zamigała:

– *Dlaczego nie otrzymałam tej informacji na początku rozmowy? Jak mogłaś być aż taką idiotką? Jeśli Chani zajdzie w ciążę i urodzi syna, Imperator ogłosi go swym następcą!*

– *Nie jestem ślepa na zagrożenia, ale geny bynajmniej nie zostałyby bezpowrotnie utracone* – sprzeciwiła się Irulana.

„Co za głupota!” – Matka Wielebna wściekła się w duchu.

– *Kto wie, jakie zahamowania i powikłania struktury genów mogłaby wprowadzić Chani swoim dzikim, fremieńskim materiałem genetycznym? Zgromadzenie musi mieć zupełnie czystą linię genealogiczną! W dodatku następca odrodzi ambicje Paula, zachęci go do nowych prób utrwalenia Imperium. Spiskowi z pewnością się to nie przysłuży.*

– *Niby jak miałam zakazać Chani tej cholernej diety?* – broniła się Irulana.

Ale Matka Wielebna nie miała nastroju na usprawiedliwienie. Księżna otrzymała jasne rozkazy w sprawie zażegnania nowego niebezpieczeństwa.

– *Jeśli Chani zajdzie w ciążę, ma otrzymać środek poronny w jedzeniu lub napoju. Albo to, albo musi zostać zabita. Trzeba za wszelką cenę zapobiec narodzinom następcy tronu takiego pochodzenia.*

– *Środek poronny jest równie niebezpieczny jak bezpośredni atak na konkubinę* – zaprotestowała Irulana. Na samą myśl o próbie zgładzenia Chani dostawała gęsiej skórki.

– *Cofasz się w obliczu niebezpieczeństwa?* – Matka Wielebna zdołała wyrazić w języku migowym głęboką pogardę.

– *Znam swą wartość agentki na imperialnym dworze* – zamigła Irulana ze złością. – *Czy spiskowcy chcą zmarnować tak cennego szpiega? Wyrzucić mnie niczym odpad? Jak inaczej będziecie stale mieć oko na Imperatora? A może macie już drugiego agenta wśród dworzan? Jest ktoś taki? Zostanę teraz po raz ostatni użyta do samobójczej misji?*

– *Na wojnie wszelkie wartości wymagają powtórnego oszacowania* – odparła Matka Wielebna. – *Najgroźniejsze jest to, że ród Atrydów mógłby zapewnić dla siebie ciągłość dziedziczenia. Zgromadzenie nie może sobie pozwolić na takie ryzyko. To coś znacznie niebezpieczniejszego niż groźba utraty atrydzkiego genomu. Niech tylko Paul zakotwiczy swój ród na tronie, a czekają nas wieki przerwy w realizacji naszych programów.*

Irulana rozumiała argumenty, ale nie mogła się oprzeć myśli, że podjęto już decyzję o poświęceniu księżnej małżonki dla czegoś o wielkiej wartości.

– *Powinnam wiedzieć coś więcej o gholi?* – spytała.

– *Uważasz, że zgromadzenie tworzą idiotki?* – Matka Wielebna odparła pytaniem na pytanie. – *Czy kiedykolwiek nie powiedziałyśmy ci wszystkiego, co powinnaś wiedzieć?*

To nie była odpowiedź, lecz przyznanie się do przemilczenia. Księżna zrozumiała, że nie dowie się niczego ponad to, co musi wiedzieć.

– *Skąd pewność, że ghola jest w stanie zniszczyć Imperatora?* – rzuciła.

– *Równie dobrze mogłaś spytać, czy melanż jest w stanie kogoś zniszczyć* – odparła Matka Wielebna.

Irulana uświadomiła sobie, że reprimenda zawierała subtelny przekaz. „Nauczycielka dyscyplina” Bene Gesserit dała jej do zrozumienia, że już dawno powinna zauważyć podobieństwo przyprawy i gholi. Melanż ma wielką wartość, ale i wielką cenę: uzależnienie. Przedłuża życie o lata – niektórym o dziesiątki lat – lecz jest po prostu jeszcze jedną drogą do śmierci.

Ghola to coś, co ma śmiertelną wartość.

– *Oczywistą metodą zapobieżenia niechcianym narodzinom jest zabicie potencjalnej matki, nim zajdzie w ciążę* – zamigła Matka Wielebna, wznawiając atak.

„Naturalnie – pomyślała Irulana. – Jeśli się zdecydujesz wydać jakieś pieniądze, to kupuj za nie, ile się da”.

Oczy Matki Wielebnej, błękitne w błękicie uzależnienia od melanzu, wpatrywały się w nią, oceniając, czekając, łowią najdrobniejsze szczegóły.

„Czyta we mnie jak w otwartej księdze – spłoszyła się Irulana. – Szkoliła mnie i obserwowała w trakcie szkolenia. Wie, że zdaję sobie sprawę, jaka decyzja tu zapadła. Teraz tylko siedzi i patrzy, jak to przyjmę. Otóż przyjmę to jak Bene Gesserit i jak księżna”.

Prostując się z wymuszonym uśmiechem, przywołała w pamięci początkowe wersy *Litanii przeciw strachowi*: „Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło”.

Kiedy już się uspokoiła, pomyślała: „Niech mnie poświęcą. Pokażę im, ile jest warta księżna. Być może kupię im więcej, niż się spodziewają”.

Wymieniwszy z Mohiam jeszcze kilka pustych zdań wieńczących rozmowę, Irulana opuściła celę.

Po jej odejściu Matka Wielebna powróciła do tarota i ułożyła karty w Spiralę Ognia. Pierwszą odkryła kartę Kwisatz Haderach z Wielkich Arkanów, przy niej zaś odsłoniła Ósemkę Statków z Małych Arkanów:

wieszczka oszukana i zdradzona. Te karty nie przyniosły dobrej wróżby – mówiły o utajonych możliwościach jej wrogów.

Odwróciwszy się od talii, siedziała, zastanawiając się, czy Irulana może jeszcze zgubić ich wszystkich.



Fremenom jawi się jako symbol Ziemi, półbogini, obdarzona niszczącą siłą opiekunka plemion. Jest Matką Wielebną ich Matek Wielebnych. Wierząc w jej moc przywracania męskości bądź płodności, pielgrzymi widzą w niej wcielenie antymentata. Karmi się odwiecznym ludzkim pragnieniem tajemnicy. Jest żywym dowodem istnienia granicy „pojmowalnego”. Ucieleśnia szczytowe napięcie. To wszeteczna dziewczica – dowcipna, wulgarna i okrutna, a przy tym kapryśna i niszczycielska jak kurzawa Coriolisa.

– św. Alia od Noża według *Raportu Irulany*

Alia w czarnej abie stała niczym posąg strażnika na południowym tarasie swojej świątyni, Wyroczni Wieszczki, którą fremeńskie zastępy Paula wzniosły dla niej pod murem twierdzy.

Nienawidziła tej strony swego życia, lecz nie wiedziała, jak mogłaby uciec od świątyni, nie niszcząc ich wszystkich. Przeklętych pielgrzymów przybywało z każdym dniem. Zapchali cały dolny portyk. W tłumie kręcili się uliczni sprzedawcy, a także drobni nekromanci, haruspikowie i inni wróżbici – czereda imających się wieszczczenia żalosnych naśladowców Paula Muad'Diba i jego siostry.

Wśród obnoszonych towarów, zauważyła, wyróżniały się czerwono-zielone pudełka nowego Tarota Diuny. Zastanawiała ją ten tarot. Kto zarzuca arrakiński rynek tymi kartami? Dlaczego w takiej masie i dlaczego tu i teraz? Czyżby dla zamętnienia czasu? Przyprawowy nałóg zawsze niósł ze sobą pewną wrażliwość na obrazy przyszłości. Fremeni często mieli ich przebłyski. Czy to przypadek, że tak wielu z nich właśnie teraz zajmuje się znakami i wróżbami? Postanowiła poszukać odpowiedzi przy najbliższej okazji.

Południowo-wschodni wiatr dmuchał resztką sił wytracanych na bastionie Muru Zaporowego, piętrzącym się wysoko na tych północnych szerokościach. Skalne krawędzie w ukośnych promieniach chylącego się ku zachodowi słońca płonęły pomarańczowym ogniem w tumanie pyłu. Gorący

wiatr owiewał jej policzki, budząc nostalgię za piaskami, za bezpieczeństwem otwartych przestrzeni.

Ostatki tłumów opuszczały już dolny portyk szerokimi schodami z zieleńca, pojedynczo i w grupkach, nieliczni przystawali jeszcze, aby się pogapić na pamiątki i święte amulety wyłożone przez kramarzy czy zasięgnąć rady ostatniego nekromanty z bożej łaski. Pielgrzymi, suplikanci, arrakińczycy, Fremeni, kończący dzień sprzedawcy – wyciągnięci w długi rząd odchodzili palmową aleją wiodącą do serca miasta.

Oczy Alii wyławiała Fremenów, dostrzegając zastygły na ich twarzach wyraz zabobonnego podziwu, półdziki nawyk trzymania wszystkich na dystans. Widziała w nich swoją siłę i zagrożenie dla siebie. Nadal łapali olbrzymie czerwie do jazdy przez pustynię, dla sportu, na potrzeby ofiarnego obrzędu. Patrzyli wrogo na obcoświatowych pielgrzymów, ledwie tolerowali miejską ludność grabenu i panwi, nienawidzili cynizmu dostrzeganego u ulicznych sprzedawców. Nikt nie potrafił dzikiego Fremena, nawet w takiej cizbie, jaka tłoczyła się do wyroczni Alii. W Świętym Kwartale nie błyskały noże, ale trupy znajdowano... później.

Rozchodzący się tłum wzbijał tuman pyłu. Krzemieny zapach doleciał Alii, wywołując kolejne ukłucie tęsknoty za otwartym blechem. Uświadomiła sobie, że przybycie gholi wyczuliło ją na głosy przeszłości. Jakże szczęśliwe były dawne, beztroskie dni, zanim jej brat wstąpił na tron – był czas na żarty, czas na głupstwa, czas na rozkoszowanie się chłodnym porankiem albo zachodem słońca, czas... czas... czas... Wtedy nawet niebezpieczeństwa były lepsze – klarowne niebezpieczeństwa z wiadomych kierunków. Widoczne bez naciągania granic jasnowidzenia, bez wypatrywania frustrujących ułamków przyszłości skrytej za woalami mroku.

Dzicy Fremeni dobrze wyrazili to w porzekadle: „Cztery rzeczy są nie do ukrycia: miłość, dym, słup ognia i piechur na blechu”.

Ogarnięta nagłym wstrętem czmychnęła z tarasu w półmrok świątyni i pomaszerowała galerią nad opalizującym blaskiem Auli Przepowiedni. Piasek na posadzce chrząścił jej pod stopami. „Pielgrzymi zawsze niosą piasku do Świętych Kwater!” – pomyślała. Nie zwracając uwagi na dworzan, strażników, postulantów i wszechobecnych służalczych kapłanów kwizaratu, zniknęła w wejściu na kręte schody prowadzące w górę, do jej komnat mieszkalnych. U siebie – pośród otoman, puszystych kobierców, namiotowych draperii i pamiątek z pustyni – odprawiła fremeńskie amazonki, które Stilgar przydzielił jej jako straż przyboczną. „Raczej

przyboczną sforę!” – stwierdziła. Kiedy odeszły, szemrając i protestując, ale bojąc się jej bardziej niż Stilgara, skierowała kroki prosto do łaźni. Po drodze rzucała za siebie części garderoby, pozostawiając jedynie krysnóż w pochwie przypiętej do rzemyka na szyi.

Wiedziała, że on jest blisko – cień mężczyzny, którego wyczuwała w swojej przyszłości, lecz nie potrafiła zobaczyć. Złościło ją, że nie jest w stanie ucieleśnić jego sylwetki mocą jasnowidzenia. Stawał się wyczuwalny w najmniej spodziewanych momentach, kiedy przeglądała przyszłość innych. Albo natykała się na mglistą sylwetkę w samotnej ciemności, kiedy niewinność oddawała się pożądaniu. Majaczył tuż za nieustalonym horyzontem, a ona miała wrażenie, że jeśli wyteży swoje siły, być może go zobaczy. Tkwił tam jak nieusuwalny cień w jej świadomości: dziki, niebezpieczny, niemoralny.

Otuliło ją wilgotne, ciepłe tchnienie kąpeli. Dowiedziała się o tym zwyczaju od niezliczonych Matek Wielebnych, których długi rząd rozciągał się w jej jaźni niczym błyszczący sznur pereł. Woda, ciepła woda we wpuszczonej w posadzkę wannie, przyjęła i otoczyła skórę Alii. Woda była zamknięta w morskiej toni mozaiki z zielonych kafelków ozdobionych czerwonymi rybkami. Wypełniała tę przestrzeń w takiej obfitości, że dawny Fremen poczułby się znieważony wykorzystaniem jej tylko do obmycia ludzkiego ciała.

Mężczyzna był blisko.

„To walka cnoty z chucią” – przemknęło Alii przez głowę. Jej ciało pragnęło mężczyzny. Seks nie miał żadnych tajemnic dla Matki Wielebnej przewodniczącej siczowym orgiom. Świadomość tau – jedności z jaźniami innych Matek Wielebnych – dostarczyła wszelkich szczegółów, których domagała się jej ciekawość. Wrażenie czyjejś bliskości nie mogło być niczym innym jak sięganiem ciała po ciało.

Nagle potrzeba ruchu wzięła górę nad rozleniwieniem w ciepłej wodzie.

Alia wygramoliła się z wanny, po czym mokra i goła przemaszerowała do sali treningowej za sypialnią. W podłużnej komnacie ze świetlikami znajdowały się – od najprostszych po najbardziej wyrafinowane – przyrządy do wyrabiania w Bene Gesserit szczytowej fizycznej i mentalnej świadomogotowości. Były tam wzmacniacze mnemotechniczne, młynki z Ixa do rozwijania i uwrażliwiania palców rąk i nóg, syntezatory zapachu, wyczulacze dotyku, pola gradientu temperatury, detektory modeli chroniące przed nabraniem wykrywalnych nawyków, trenażery reakcji na fale alfa,

synchronizatory błyskowe do rozwijania zdolności analitycznych w spektrum światła–ciemności...

Na jednej ze ścian, literami dziesięciocentymetrowej wysokości, osobiście wymalowała mnemotechniczną farbą sztandarową ewokację z *Manifestu Bene Gesserit*:

„Przed nami wszelkie metody zdobywania wiedzy zasadały się na intuicji. My nauczyłyśmy się, jak się uczyć. Przed nami uwaga wiedzionych intuicją badaczy zamknięta była w ciasnych ramach – często nie większych niż długość jednego życia. Projekty trwające pięćdziesiąt i więcej żywotów nawet nie przyszły im do głowy. Idea maksymalnego treningu nerwów i mięśni nie dotarła do ich świadomości”.

Wszedłszy do sali treningowej, Alia ujrzała swoje odbicie powielone tysiące razy w kryształowych pryzmatach szermierczego lustra, które kołysało się w sercu ćwiczebnego manekina. Obrzuciła wzrokiem spoczywający na wspornikach rapier. „Tak! – pomyślała. – Będę ćwiczyć do upadłego: wyczerpię ciało i oczyszczę umysł”.

Rapier był jakby stworzony do jej dłoni. Trąciła sztychem włącznik, lewą ręką wysuwając krysnoż z pochwy zawieszanej na szyi. Narastający opór powoli, lecz zdecydowanie wypchnął głównię z pola tarczy.

Pryzmaty zamigotały. Manekin zaszedł ją z lewej.

Podążyła za nim rapierem, nie po raz pierwszy mając wrażenie, że to coś żyje. Ale to był jedynie układ siłowników i złożonych obwodów mających odwracać uwagę od zagrożenia, dezorientować i uczyć. Przyrząd reagujący na jej reakcje, druga Alia odpowiadająca ruchem na jej ruch, pulsująca światłami w swoich pryzmatach, przemieszczająca manekin i krzyżująca z nią głównię.

Wydawało się, że z pryzmatów mierzy w nią wiele ostrzy, ale prawdziwe było tylko jedno. Sparowała je, zwiodła opór tarczy spowolnionym pchnięciem i trafiła obiekt. Zapaliła się czerwona lampka licznika... żywy ognik pośród pryzmatów, który dodatkowo rozpraszał uwagę.

Manekin ponowił natarcie, poruszając się z prędkością jednego punktu, nieco szybciej niż na początku.

Alia wykonała zasłonę i – wbrew wszelkiej ostrożności – wkroczywszy w pole rażenia, zaliczyła trafienie krysnożem.

Dwie lampki zapłonęły wśród pryzmatów.

Zwiększywszy kolejny raz prędkość, manekin pomykał na rolkach, przyciągany niczym magnesem ruchami jej ciała i sztychu rapiera.

Natarcie – zasłona – odpowiedź.

Natarcie – zasłona – odpowiedź...

Zapaliła na nim już cztery lampki i manekin stawał się coraz groźniejszy. Z każdym światelkiem poruszał się szybciej i wzbogacał arsenał zwodów.

Pięć lampek.

Jej nagie ciało lśniło od potu. Istniała teraz w świetle, którego wymiary wyznaczały zabójcze ostrze, obiekt, bosa stopy na parkiecie treningowym oraz zmysły, nerwy i mięśnie decydujące o ruchu przeciwko ruchowi!

Natarcie – zasłona – odpowiedź.

Sześć lampek... siedem...

Osiem!

Nigdy dotąd nie zaryzykowała ośmiu.

W jakimś zakamarku jej umysłu budził się rozsądek, podnosił krzyk przeciw takiemu szaleństwu. Wyposażony w pryzmaty manekin nie myślał, nie zachowywał ostrożności, nie miał skrupułów. A władał ostrą bronią. Walka na niby podważałaby celowość takiego treningu. Nacierające żelazo mogło okaleczyć i mogło zabić. Jednak najbieglejsi szermierze Imperium nigdy nie stawiali przeciwko ćwiczebnemu manekinowi o więcej niż siedmiu zapalonych lampkach.

Dziewięć!

Ogarnęło ją najwyższe uniesienie. Nacierające ostrze i manekin zmieniły się w rozmażane plamy wśród plam. Czuła, że rapier ożył w jej dłoni. Stała się przeciwieństwem manekina. To rapier władał nią, nie ona rapierem.

Dziesięć!

Jedenaście!

Coś przeleciało jej koło ramienia, zwolniło w polu tarczy manekina, przeszło tarczę i przyszpiliło wyłącznik. Lampki zgasły. Pryzmaty zatańczyły i znieruchomiały razem z manekinem.

Alia obróciła się błyskawicznie w kierunku intruza, jednak stłumiła gniew, zdając sobie sprawę, z jaką maestrią został ciśnięty nóż. Prędkość rzutu określono niezwykle precyzyjnie – była na tyle duża, żeby nóż pokonał pole tarczy, na tyle jednak mała, żeby się od niej nie odbił.

A do tego jeszcze trafienie w milimetrową kropkę na manekinie z jedenastoma zapalonymi lampkami!

Poczuła, że podobnie jak życie z manekina, tak z niej uchodzą emocje i napięcie. Wcale nie była zaskoczona, gdy spostrzegła, kto cisnął nożem.

W progu sali treningowej stał Paul, Stilgar trzy kroki za nim. Jej brat gniewnie mrużył oczy.

Uprzytomniwszy sobie swą nagość, w pierwszym odruchu Alia chciała się zasłonić, ale potem pomysł wydał jej się śmieszny. Co oczy widziały, tego nie wymażesz. Powoli wsunęła krysnóż do pochwy.

– Mogłam się domyślić – powiedziała.

– Chyba wiesz, jak bardzo się narażałaś. – Paul niespiesznie odczytywał reakcje z jej twarzy i ciała: rumieńce po wysiłku, nabrzmiałe, wilgotne wargi. Biła od niej niepokojąca kobiecość, o jaką nigdy nie podejrzewałby swej siostry. Dziwna rzecz, ale widok tak bliskiej osoby nagle nie pasował mu do, zdawało się, ustalonych i znanych ram jej tożsamości.

– To było szaleństwo – rzekł Stilgar chrapliwym głosem, podchodząc i stając obok Paula. Słowa były gniewne, ale Alia usłyszała w nich podziw i dostrzegła go też w oczach Fremena.

– Jedenaście lampek. – Paul pokręcił głową.

– Miałabym dwanaście, gdybyś się nie wtrącił. – Zaczynała blednąć pod jego uważnym spojrzeniem. – I po co te diabelstwa mają tyle lampek, skoro nie wolno próbować ich zapalić?

– Bene Gesserit pyta o sens otwartego systemu? – odparł Paul.

– Przypuszczam, że nigdy nie odważyłeś się na więcej niż siedem! – Ponownie ogarniała ją złość. Troskliwość brata wyraźnie działała jej na nerwy.

– Tylko raz – rzekł. – Gurney Halleck przyłapał mnie na dziesiątce. Kara była na tyle zawstydzająca, że nie powiem ci, co zrobił. A mówiąc o wstydzie...

– Następnym razem zechciejcie się łaskawie zapowiedzieć. – Potrąciwszy Paula, czmychnęła do sypialni, narzuciła luźną, szarą suknię i zaczęła rozczesywać włosy przed wiszącym lustrem. Była spocona, pełna nieokreślonego smutku, jaki się zdarza po spółkowaniu, i pragnęła tylko raz jeszcze się wykąpać i pójść spać.

– Co was sprowadza? – spytała.

– Mój panie – odezwał się Stilgar tak osobliwie, że Alia obróciła się i wpatrzyła w niego.

– Przychodzimy, o dziwo, za podszeptem Irulany – oznajmił Paul. – Jest przekonana, a informacje Stila zdają się to potwierdzać, że nasi wrogowie chcą podjąć poważną próbę...

– Mój panie! – Głos Stilgara zabrzmiał ostrzej.

Gdy Paul spojrzał na niego pytająco, jego siostra nie spuszczała oczu z naiba. Miał teraz w sobie coś, co dobitnie uświadomiło jej, że nadal tkwi

w nim dawny Fremen. Stilgar wierzył w świat nadprzyrodzony, który znajduje się na wyciągnięcie ręki. Ten świat przemawiał do niego prostym, pogańskim językiem rozwiewającym wszelkie wątpliwości. Naturalny świat Stilgara był dziki, niepohamowany i pozbawiony zwykłej moralności Imperium.

– Słucham, Stil – powiedział Paul. – Chcesz jej wyjaśnić, co nas sprowadza?

– Nie czas teraz na to – rzekł Fremen.

– Co się stało, Stil?

Stilgar nie odrywał wzroku od Alii.

– Najjaśniejszy Panie, jesteś ślepy?

Paul zwrócił się ponownie w stronę siostry, mając coraz gorsze przeczucia. Ze wszystkich przybocznych tylko Stilgar śmiał przemawiać do niego takim tonem, jednak nawet on musiał zważać na okoliczności.

– Ta mała potrzebuje męża – wyrzucił z siebie Fremen. – Będą kłopoty, jeśli się jej nie wyda za męża, i to szybko.

Alia odwróciła się od nich, poczuwszy nagle, że palą ją policzki. „Jak on zdołał mnie tak dotknąć?” – nie mogła pojąć. Samokontrola Bene Gesserit nie zapobiegła jej reakcji. Zastanawiała się, jak Stilgar to zrobił. Nie władał przecież Głosem. Była zaniepokojona i zła.

– Słuchajcie wielkiego Stilgara! – powiedziała, nadal odwrócona do nich plecami. Była świadoma swego zjadliwego tonu, ale nie potrafiła go ukryć. – Dziewice tego świata, słuchajcie Stilgara Swata!

– Mówię to z miłości do was – rzekł Stilgar z niewzruszoną powagą. – Nie zostałem przywódcą Fremenów, gdybym był ślepy na siłę, z jaką ciąży ku sobie kobiety i mężczyźni. Do tego nie trzeba żadnej tajemnej wiedzy.

Paul przetrawił w myślach znaczenie słów Stilgara, wspomniał też to, co tutaj zobaczyli, i swoją bezspornie męską reakcję na nagość siostry. Tak – od Alii buchała cielesność, jakaś wyuzdana chuć. „Co ją napadło, że wyszła goła na parkiet treningowy? – myślał. – I ryzykowała życie w tak głupi sposób! Jedenaście szermierczych lampek!” Bezrozumny automat wyrósł w jego wyobraźni na istnego potwora z antycznego leksykonu grozy. Posiadanie go było znakiem obecnych czasów, ale również echem dawnej amoralności. Niegdyś automatami sterowała sztuczna inteligencja, mózgi elektronowe. Dżihad Butleriański położył temu kres, jednak atmosfera arystokratycznego występku wokół automatów przetrwała.

Stilgar miał, oczywiście, rację. Muszą znaleźć Alii męża.

– Zajmę się tym – oznajmił Paul. – Później porozmawiam z Alią w cztery oczy.

Obróciwszy się, Alia popatrzyła na brata. Wiedząc, jak pracuje jego umysł, miała świadomość, że była przedmiotem mentackiej decyzji, przypominającej komputerową analizę korygującą nieprzeliczone bity informacji. Zdawała sobie sprawę, że ruch ten jest nieodwracalny – niczym ruch planet. Przenikała go jakaś siła ładu wszechświata, nieuchronna i straszna.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł Stilgar – może byśmy...

– Nie teraz! – uciął Paul. – W tej chwili mamy inne problemy.

Nie paląc się do starcia z bratem na polu logiki, Alia zwyczajem Bene Gesserit puściła te kilka ostatnich chwil w niepamięć.

– Irulana was przysłała? – Ogarnęło ją jakieś złe przeczucie.

– Pośrednio – odparł Paul. – Jej informacje potwierdzają nasze podejrzenia, że Gildia zamierza schwycić czerwia.

– Spróbują złowić małego osobnika i rozpocząć cykl przyprawowy na jakiejś innej planecie – powiedział Stilgar. – To znaczy, że znaleźli planetę, która ich zdaniem jest odpowiednia.

– Znaczy to również, że mają współników Fremenów! – zauważyła Alia.

– Żaden obcoświatowiec nie złapie czerwia!

– To oczywiste – rzekł Stilgar.

– Nic nie jest oczywiste – zaprotestowała Alia. Brak wyobraźni zawsze wyprowadzał ją z równowagi. – Paul, ty z pewnością...

– Gangrena postępuje – stwierdził Paul. – Wiemy o tym od dłuższego czasu. Jednak nigdy nie *widziałem* tej innej planety i to mnie martwi. Jeśli oni...

– *To* cię martwi? – rzuciła Alia. – To tylko świadczy o tym, że ukryli jej położenie przy pomocy sternika, tak jak ukrywają swoje azyle.

Stilgar otworzył usta, po czym zamknął je bez słowa. Przytłaczało go wrażenie, że jego półbogowie przyznali się właśnie do obrazoburczej niemocy.

– Mamy palący problem! – rzekł szybko Paul, widząc jego niepokój. – Potrzebuję twojej rady, Alia. Stilgar proponuje, byśmy objęli patrolami otwarty blech i wzmocnili siczowe stráže. Istnieje jakaś szansa, że zlokalizujemy oddział desantowy i zapobiegniemy...

– Mimo że prowadzi ich sternik? – spytała.

– Idą na całość, prawda? – przyznał Paul. – Dlatego tu jestem.

– Co zobaczyli, czego my nie widzieliśmy?

– Właśnie.

Alia pokiwała głową, wspomniawszy swe rozważania nad nowym Tarotem Diuny. Pokrótce podzieliła się swoimi obawami.

– Przykrywają nas płaszczem – rzekł Paul.

– Przy dostatecznej liczbie patroli – ośmielił się zaoponować Stilgar – moglibyśmy zapobiec...

– Niczemu nie zapobiegniemy... już nigdy. – Alii nie podobał się obecny, prawie namacalny tok jego rozumowania. Stilgar zawęził swoje pole myślenia, okroił je z rzeczy zasadniczych. Pamiętała innego Stilgara.

– Musimy się liczyć z tym, że schwytają czerwia – powiedział Paul. – Czy są w stanie zapoczątkować cykl przyprawowy na jakiejś planecie, to już inna sprawa. Sam czerw do tego nie wystarczy.

Stilgar patrzył to na brata, to na siostrę. Z siczowych czasów wyniósł ekologiczną wiedzę, dlatego rozumiał, o czym mówią. Pojmany czerw przeżyje jedynie na skrawku Arrakis – wśród planktonu piaskowego, małych stworzycieli i tak dalej. Gildia porywa się na zadanie trudne, ale wykonalne. Gdzie indziej było źródło nurtujących go wątpliwości.

– Zatem wasze wizje nie pokazują Gildii w akcji? – spytał.

– Czerw z nią tańczył! – nie wytrzymał Paul.

Alia wpatrywała się w Stilgara, odgadując szaloną gonitwę myśli w jego głowie. Fremen nie mógł się wyrwać z zakłętego kręgu magii. Czary-mary! Hokus-pokus! Wypatrzeć chwilę przyszłości to jakby wykraść straszny płomień ze świętego ognia. Śmiałków pociąga smak krańcowego niebezpieczeństwa, podejmują ryzyko i giną. Najdzielniejszy przynosi z bezkształtnych, groźnych dali coś, co ma kształt i moc. Jednak Stilgar zaczynał wyczuwać inne siły, być może większe moce ukryte za owym nieznany horyzontem. Jego Królowa Czarodziejka i Przyjaciel Czarnoksiężnik zdradzili niebezpieczne słabości.

– Stilgar – powiedziała Alia, chcąc powstrzymać nawał jego myśli – stoisz w kotlinie pośród wydmy. Ja stoję na grzbiecie wydmy. Widzę rzeczy, których ty nie widzisz. Między innymi widzę góry, które przesłaniają mi dal.

– Są rzeczy ukryte przed tobą – przyznał Stilgar. – Zawsze tak mówiłaś.

– Wszelka moc jest ograniczona.

– A niebezpieczeństwo może nadejść zza gór – rzekł Fremen.

– Coś w tym rodzaju – potwierdziła.

Stilgar skinął głową. Wzrok miał utkwiony w twarzy Paula.

– Ale cokolwiek nadejdzie zza gór, musi pokonać wydmy.



Sprawowanie władzy z pozycji jasnowidza to najniebezpieczniejsza z gier we wszechświecie. Nie uważamy się ani za dostatecznie mądrych, ani za dostatecznie odważnych, żeby uprawiać tę grę. Wyszczególnione tutaj środki regulujące sprawy pomniejszej wagi są tak blisko granicy systemu rządzenia, jak ośmielamy się do niej zbliżyć. Na nasz użytek zapożyczamy definicję od Bene Gesserit i traktujemy poszczególne planety jako pule genów, źródła nauk i nauczycieli, źródła możliwości. Naszym celem nie jest władza. Chcemy tylko czerpać z owych genetycznych rezerwuarów, zdobywać wiedzę i uwalniać się od wszelkich ograniczeń zarówno podległości, jak i panowania.

– *Orgia jako instrument sprawowania władzy, rozdział trzeci Vademecum sternika*

– Czy tam zginął wasz ojciec, Najjaśniejszy Panie? – Edryk ze swojego zbiornika oświetlił laserowym wskaźnikiem szlachetny kamień na jednej z map plastycznych zdobiących ściany recepcyjnego salonu Paula.

– Tam jest świątynia jego czaszki – odparł Atryda. – Mój ojciec zginął na równinie nieopodal, jako jeniec na harkonneńskiej lichtudze.

– Ach, tak, teraz sobie przypominam tę historię – rzekł Edryk. – Zabił swojego śmiertelnego wroga, starego barona Harkonnena. – Z nadzieją, że nie widać zbyt wielkiej trwogi, jaką budziły w nim niewielkie, zamknięte pomieszczenia w rodzaju tego salonu, Edryk obrócił się w pomarańczowej gazowej toni, kierując wzrok na Paula, który siedział sam na długiej sofie w szare i czarne pasy.

– Barona zabiła moja siostra Alia – z głosu i zachowania Paula przebijała oschłość – tuż przed bitwą pod Arrakin. – „Po co – zastanawiał się – ten rybolud z Gildii rozdrapuje tu i teraz stare rany?”

Sternik sprawiał wrażenie, że próbuje wygrać przegraną bitwę z rozpierającą go energią. Zniknęły leniwe rybie ruchy z ich pierwszego spotkania. Małe oczy Edryka biegały to tu, to tam, myszkując i oceniając. Jedyne towarzyszący mu sekretarz stał z boku, przy szeregu gwardzistów pod szczytową ścianą z lewej strony. Osobnik ten niepokoił Paula – zwalista sylwetka, gruby kark, tępe, bezmyślne oblicze. Do salonu wszedł krokiem obcego, trzymając się pod boki i popychając łokciem dryfowy zbiornik Edryka.

„Scytale. – Paul przypomniał sobie, że tak nazwał go Edryk. – Sekretarz Scytale”.

Mężczyzna miał wypisaną na twarzy głupotę, ale zdradzały go oczy. Śmiały się ze wszystkiego, co zobaczyły.

– Wydaje się, że waszej konkubinie podobały się występy maskaradników, Najjaśniejszy Panie – powiedział Edryk. – Miło mi, że mogłem dostarczyć tę odrobinę rozrywki. Ubawiła mnie zwłaszcza jej reakcja na widok własnych rysów powielonych równocześnie przez całą trupe.

– Czyż nie należy obawiać się gildian, nawet gdy przynoszą dary? – spytał Paul.

Przypomniał sobie występy w Wielkiej Sali. Maskaradnicy weszli w kostiumach jako postaci z kart Tarota Diuny, po czym przetasowali się, tworząc bezładną układankę, z której powstały Spirale Ognia i wzory ze starożytnych systemów wróżenia. Następnie pojawili się władcy – parada królów i imperatorów niczym twarze z awersów monet, dostojne i sztywne, lecz osobliwie płynne. I żarty: kopia twarzy i ciała Paula, Chani powielona w każdym zakątku Wielkiej Sali, nawet Stilgar, który wzdrygnął się i wymamrotał coś pod nosem, gdy inni parsknęli śmiechem.

– Ależ my dajemy je w jak najlepszej intencji – oburzył się Edryk.

– Najlepszej? – spytał Paul. – Wasz podarunek, ghola, uważa, że został stworzony, by nas zniszczyć.

– Zniszczyć was, Najjaśniejszy Panie? – rzekł gildianin obojętnym tonem.

– Czy można zniszczyć boga?

Usłyszawszy to, wchodzący Stilgar zatrzymał się gwałtownie i spiorunował strażników wzrokiem. Jak na jego gust stali o wiele za daleko od Paula. Przywołał ich gniewnym gestem.

– Wszystko w porządku, Stil. – Paul uniósł dłoń. – To zwykła przyjacielska rozmowa. Przysuń, proszę, zbiornik ambasadora do mojej sofy.

Stilgar zawahał się, widząc, że wówczas sternik znajdzie się między Paulem a zwalistym sekretarzem, o wiele za blisko władcy, jednak...

– Wszystko w porządku, Stil – powtórzył Atryda, sekretnym ruchem dłoni zmieniając polecenie w rozkaz.

Stilgar z wyraźną niechęcią przepchnął zbiornik na wskazane miejsce. Dla niego był obrzydliwy, a na dodatek spowity w ciężkiej woni melanzu. Sam zajął pozycję przy narożniku, pod krążącą kulą foniczną sternika.

– Zniszczyć boga – powtórzył Paul. – To bardzo interesujące. Ale kto mówi, że jestem bogiem?

– Ci, którzy was ubóstwiają. – Edryk niedwuznacznie zerknął na Stilgara.

– Wierzysz w to? – zapytał Atryda.

– W co ja wierzę, nie ma znaczenia, Najjaśniejszy Panie – rzekł gildianin.

– Jednak większość obserwatorów jest zdania, że spiskujecie, by zostać bogiem. I można by zapytać, czy jakikolwiek śmiertelnik może zrobić coś takiego... bezpiecznie.

Paul uważnie przyglądał się sternikowi. Pomyślał, że to paskudny typ, lecz nie w ciemię bity. Sam wiele razy zadawał sobie to pytanie. Ale widział wystarczająco dużo alternatywnych dróg czasu, by poznać gorsze ewentualności niż pogodzenie się z własną boskością. O wiele gorsze. Jednak zwykle sternik nie zajmował się tym. Dziwne. Po co więc zadał to pytanie? Co Edryk ma nadzieję osiągnąć takim zuchwalstwem? Klikały myśli – *klik* (za posunięciem tym stoi unia Tleilaxan) – *klik* (postępowanie gildianina może się wiązać z niedawnym zwycięstwem dżihadu na Sembou) – *klik* (wyziera z tego kilka reguł Bene Gesserit) – *klik*...

Proces ogarnął tysiące informacji, które przepłynęły przez binarną świadomość. Trwał góra trzy sekundy.

– Sternik podaje w wątpliwość wytyczne jasnowidzenia?

Pytanie postawiło sternika w niezręcznej sytuacji. Nieco zbity z tropu, pokrył zmieszanie czymś w rodzaju długiego aforyzmu:

– Żaden inteligentny człowiek nie podaje w wątpliwość zjawiska jasnowidzenia, Najjaśniejszy Panie. Prorocza wizja jest znana ludziom od zamierzchłych czasów. Potrafi wciągnąć nas w pułapkę, kiedy się tego najmniej spodziewamy. Na szczęście są też inne siły we wszechświecie.

– Potężniejsze niż widzenie przyszłości? – naciskał Paul.

– Widzenie przyszłości jako jedyna siła sprawcza samo by się unicestwiło, Najjaśniejszy Panie. Nic oprócz jasnowidzenia? Do czego można by je wykorzystać, jeśli nie tylko do jego własnych, wyrodniejących celów?

– Zawsze pozostaje jeszcze sytuacja człowieka – odparł Paul.

– Ta w najlepszym razie jest niepewna – powiedział Edryk – i to bez gmatwania jej halucynacjami.

– Czy moje wizje to nic więcej jak tylko halucynacje? – spytał Paul z udawanym smutkiem. – A może sugerujesz, że moi wyznawcy mają halucynacje?

Czując narastające napięcie, Stilgar przysunął się o krok do Paula i skupił uwagę na polegającym w zbiorniku gildianinie.

– Przeinaczacie moją wypowiedź, Najjaśniejszy Panie – zaprotestował Edryk. W jego słowach czaiła się dziwna zapowiedź przemocy.

„Przemoc tutaj? – pomyślał Paul. – Nie ośmielą się! Chyba że – zerknął na swoją gwardię – siły, które mnie strzegą, dadzą się wykorzystać do zmiany chronionego obiektu na inny”.

– Niemniej jednak zarzucasz mi, że spiskuję, by zostać bogiem – rzekł Paul ściszonego głosem, który docierał tylko do Edryka i Stilgara. – Spiskuję?

– To niefortunne, być może, dobór słów, Najjaśniejszy Panie.

– Za to wiele mówiący. Oznacza, że spodziewasz się po mnie najgorszego.

Wyciągając szyję, ambasador z ukosa zmierzył Stilgara pełnym lęku spojrzeniem.

– Ludzie zawsze spodziewają się najgorszego po możliwych i wielkich, Najjaśniejszy Panie. Mówi się, że prawdziwego arystokratę poznajemy po tym, że zdradza tylko te ze swych wad, które przysporzą mu popularności.

Twarz Stilgara przebiegł dreszcz.

Dostrzegłszy ów grymas, Paul wyczuł myśli i podszepty demonów gniewu w umyśle Fremena. Jak ten gildianin śmie odzywać się tak do Muad'Diba?

– To nie żarty, ma się rozumieć – powiedział.

– Żarty, Najjaśniejszy Panie?

Paul spostrzegł, że ma sucho w ustach. Poczuł, że w pomieszczeniu jest za dużo ludzi, że oddycha powietrzem, które przeszło przez zbyt wiele płuc. Docierająca od zbiornika woń melanzu tchnęła groźbą.

– Kto miałby należeć do mojego spisku? – zapytał po chwili. – Podejrzewasz kwizarat?

Edryk wzruszył ramionami, mącąc pomarańczowe opary wokół swej głowy. Wyglądało na to, że przestał się przejmować Stilgarem, choć ten nadal pożerał go wzrokiem.

– Sugerujesz, że moi misjonarze z Konsekracji Kapłańskich, *co do jednego*, głoszą fałszywą prawdę?

– To kwestia interesowności albo szczerości – odparł Edryk.

Stilgar położył dłoń na rękojeści ukrytego pod szatą krysnoża.

Paul pokręcił głową.

– Zatem oskarżasz mnie o brak szczerości?

– Nie wydaje mi się, żeby „oskarżasz” było odpowiednim słowem, Najjaśniejszy Panie.

„Gnidzie nie zbywa na czelności!” – pomyślał Paul.

– Tak czy owak, twierdzisz, że ja i moi biskupi nie jesteśmy lepsi niż chciwi władzy rozbójnicy.

– Chciwi władzy, Najjaśniejszy Panie? – Edryk ponownie spojrzał na Stilgara. – Władza prowadzi do izolacji tych, którzy mają jej w nadmiarze. W końcu tracą poczucie rzeczywistości... i upadają.

– Mój panie – warknął Stilgar – skazywałeś ludzi na śmierć za mniejsze przewinienia!

– Tak, ludzi – przyznał Paul. – Ale to jest ambasador Gildii.

– Pomawia cię o potworne oszustwo!

– Interesuje mnie jego punkt widzenia, Stil. Pohamuj gniew i zachowaj czujność.

– Jak Muad’Dib rozkaże.

– Wyjaśnij no mi, sterniku – rzekł Paul – jak mimo ogromnych odległości i upływu czasu mielibyśmy utrzymywać tę domniemaną mistyfikację bez środków pozwalających mieć oko na każdego misjonarza i sprawdzać każdą subtelność w każdym klasztorze i świątyni kwizaratu?

– Czymże jest dla was czas? – spytał Edryk.

Stilgar zmarszczył brwi, wyraźnie zdezorientowany. „Muad’Dib często mawiał, że zagłada za zasłony czasu – myślał. – O czym właściwie gada ten gildianin?”

– Czy gmach tak wielkiej mistyfikacji nie zacząłby się sypać? – zapytał Paul. – Zasadnicze sprzeczności, schizmy, wątplenia, wyznania winy... z pewnością nie dałoby się utrzymać tego wszystkiego kłamstwem.

– Władza może ukryć to, czego nie mogą interesowność i religia – odparł Edryk.

– Sprawdzasz granice mojej wyrozumiałości?

– Moje argumenty nie wytrzymują krytyki? – spytał ambasador.

„Czy on chce, żebyśmy go zabili? – pomyślał Paul. – Składa siebie w ofierze?”

– Podejdę do tego cynicznie – oznajmił, wystawiając Edryka na próbę. – Widać jak na dłoni, że jesteś biegły w dyplomatycznej sztuce kłamstwa, dwuznaczności i szermierki słownej. Dla ciebie język to nic innego jak broń, więc szukasz dziury w moim pancerzu.

– Cyniczne podejście. – Usta gildianina rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. – Władcy z reguły podchodzą cynicznie do religii. Religia też jest bronią. Pytanie, jakiego rodzaju bronią jest religia sprawująca władzę?

Paul poczuł przenikający go do szpiku kości wewnętrzny chłód ostrzeżenia. Do kogo Edryk mówił? Diabło chytre słowa, pełna paleta manipulacji – ta nuta swobodnego humoru, ten podtekst wspólnych sekretów. Edryk swoją pozą oznajmiał, że on i Paul są parą ludzi o szerokich horyzontach, obytych we wszechświecie, którzy pojmują rzeczy niedostępne umysłom maluczkich. Doznając wstrząsu, Paul zdał sobie sprawę, że nie jest głównym celem całego tego krasomówstwa. Nasłany na dwór utrapieniec przemawiał na użytek innych – Stilgara, gwardzistów ze straży przybocznej... może nawet zwalistego sekretarza.

– Narzucono mi religijną manę – powiedział Paul. – Nie zabiegałem o nią. – „Proszę, ryboludzie – dodał w duchu. – Niech ci się wydaje, żeś wygrał ten słowny pojedynek”.

– Dlaczego więc jej nie odrzuciłeś, Najjaśniejszy Panie? – zapytał Edryk.

– Z powodu mojej siostry Alii. – Paul pilnie obserwował ambasadora. – Ona jest boginią. Bądź łaskaw bardzo uważać, żeby nie zabiła cię jednym spojrzeniem.

Triumfalny uśmieszek wypływający na wargi Edryka ustąpił miejsca osłupieniu.

– Mówię śmiertelnie poważnie. – Paul spostrzegł, że szok się pogłębia i że Stilgar skinął głową.

– Poderwaliście moje zaufanie do was, Najjaśniejszy Panie – rzekł gildianin martwym głosem. – I bez wątpienia taki mieliście zamiar.

– Nie bądź pewny moich zamiarów. – Atryda dał znak Stilgarowi, że posłuchanie dobiegło końca.

Na pytający gest Fremena, czy zamordować Edryka, odpowiedział przecząco ruchem dłoni i dołożył znak rozkazu, żeby Stilgar nie wziął sprawy we własne ręce.

Scytale, sekretarz Edryka, podszedł i pchnąwszy od tyłu zbiornik, ruszył z nim w stronę wyjścia. Gdy znalazł się na wysokości Paula, przystanął i obrócił na niego swoje roześmiane oczy.

– Za pozwoleniem, mój panie.

– O co chodzi? – Paul zauważył, że Stilgar przysuwa się, reagując na utajone zagrożenie ze strony tego człowieka.

– Zdaniem niektórych – powiedział Scytale – ludzie garną się pod imperialne przywództwo z powodu nieskończoności przestrzeni wszechświata. Bez jednoczącego symbolu czują się samotni. Dla samotnych ludzi Imperator jest punktem odniesienia. Zwracając się w jego kierunku, mogą powiedzieć: „On tam jest. On nas jednoczy”. Być może religia spełnia tę samą funkcję, mój panie. – Ukłonił się grzecznie i raz jeszcze trącił zbiornik Edryka łokciem. Opuścili salon – ambasador z zamkniętymi oczami, nieruchomy w swoim akwariom. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, pozbawionego całej niedawno kipiącej energii.

Paul odprowadził wzrokiem powłóczącego nogami sekretarza, dumając nad jego tyradą. „Przedziwny typ z tego Scytale’a – pomyślał. – Kiedy mówił, emanował emocjami wielu ludzi, jak gdyby całe swoje genetyczne dziedzictwo miał na powierzchni skóry”.

– Dziwnie było – powiedział Stilgar, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Paul wstał z sofy, kiedy strażnik zamknął drzwi za Edrykiem i jego eskortą.

– Dziwnie – powtórzył Stilgar. Żyłka pulsowała mu na skroni.

Paul przygasił światła w salonie i zbliżył się do okna wychodzącego na załom skalnej ściany twierdzy. W dole błyskały światełka mrówczej krzątaczki. Brygada robotników zwoziła wielkie bloki plastopu do naprawy fasady świątyni Alii, uszkodzonej przez zabłąkany podmuch kurzawy Coriolisa.

– To było niemądre, Usul, zaprosić tę paskudę w swoje progi – rzekł Stilgar.

„Usul – powtórzył Paul w duchu. – Moje siczowe imię. Stilgar przypomina mi, że kiedyś miał nade mną władzę, że ocalił mnie na pustyni”.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Fremen, stanąwszy tuż za nim.

– Dane – odparł Paul. – Potrzebuję więcej danych.

– Czy nie jest niebezpiecznie stawiać czoło zagrożeniu wyłącznie z pozycji mentata?

„Oto pytanie” – pomyślał Paul.

Kalkulacje mentata są zbiorem skończonym. W granicach żadnego języka nie da się wyrazić czegoś nieograniczonego. Jednak zdolności mentata są przydatne. Tyle powiedział właśnie Stilgarowi, ośmielając go do polemiki.

– Zawsze jest coś na zewnątrz – rzekł Fremen. – Pewne rzeczy najlepiej trzymać na zewnątrz.

– Albo wewnątrz. – Paul na chwilę zatopił się w swoim proroczo-mentackim podsumowaniu. Na zewnątrz, tak. I wewnątrz: tutaj jest istny koszmar. Jak ma się ochronić przed samym sobą? Niewątpliwie wystawiają go na samozniszczenie, ale jeszcze straszniejsze ewentualności oblegają wyjścia z tej sytuacji.

Odgłos szybkich kroków wyrwał Paula z rozmyślań. W wejściu, na tle rześcisie oświetlonego korytarza, zarysowała się sylwetka kwizara Korby. Wpadł z impetem pocisku i zatrzymał się gwałtownie, napotkawszy mrok w salonie. Garście miał pełne czegoś, co wyglądało na rolki szigastruny. Jarzyły się w świetle z korytarza niczym jakieś dziwne, krągłe klejnoty, dopóki nie zgasiła ich ręka gwardzisty, która pokazała się i zamknęła drzwi.

– Czy to wy, mój panie? – zapytał Korba, wytężając wzrok.

– O co chodzi? – odezwał się Stilgar.

– Stilgar?

– Obaj tu jesteśmy. O co chodzi?

– Denerwuje mnie przyjęcie wydane na cześć tego gildianina.

– Denerwuje? – zapytał Paul.

– Ludzie gadają, mój panie, że honorujesz naszych wrogów.

– I to wszystko? – rzucił Paul. – Czy to filmy, które kazałem ci przynieść?

– Wskazał szigastrunowe rolki w dłoniach Korby.

– Filmy... och! Tak, mój panie. To te starożytne historie. Tutaj je obejrzycie?

– Widziałem je już. Są mi potrzebne dla Stilgara.

– Dla mnie? – zapytał Fremen. Poczul się dotknięty tym – jak to odbierał – kaprysem władcy. Historie! Wcześniej odszukał Paula, żeby przedstawić logistyczne kalkulacje dotyczące podboju Zabulonu. Na przeszkodzie stanęła mu obecność ambasadora Gildii. A teraz Korba z lekcjami historii!

– Jak u ciebie ze znajomością historii? – Głośno myśląc, Paul spozierał na majaczącą przed nim postać.

– Mój panie, potrafię wymienić każdą z planet, na którą dotarł nasz lud w swoich wędrówkach. Znam przebieg imperialnego...

– Złoty wiek Ziemi. Zajmowałeś się tym kiedyś?

– Ziemia? Złoty wiek? – Stilgar zirytował się, nic nie rozumiejąc. Dlaczego Paulowi zachciało się roztrząsać mity z zarania czasu? Uwagę Stilgara wciąż zaprzętały szczegóły operacji zabulońskiej – kalkulacje sztabowych mentatów: dwieście pięć fregat uderzeniowych z trzydziestoma legionami, bataliony wsparcia, korpusy pacyfikacyjne, misjonarze

kwizaratu... zaopatrzenie w prowiant (miał wszystkie liczby w pamięci) i melanz... uzbrojenie, mundury, medale... urny na prochy poległych... liczba specjalistów: członków korpusów propagandy, urzędników, księgowych... szpiegów... i szpiegów do kontrolowania szpiegów...

– Przyniosłem również przystawkę synchronizatora impulsów, mój panie – odezwał się Korba. Najwyraźniej wyczuł napięcie między Stilgarem a Paulem i był nim zaniepokojony.

Stilgar pokręcił głową. „Synchronizator impulsów?” Dlaczego Paul chce, by z projektorem szigastrunowym użył migawkowego systemu mnemotechnicznego? Po co odsiewać z historii jakieś konkretne informacje? To robota mentata! Ilekcó przychodziło mu używać projektora z przystawką, miał opory. Urządzenie zawsze powodowało przykre doznania, przygniatając go lawiną danych, które uporządkowane później przez umysł, zaskakiwały Stilgara zasobem wiadomości, o jakich posiadanie sam siebie nie podejrzewał.

– Ale ja przyszedłem w sprawie Zabulonu, Najjaśniejszy Panie – rzekł Stilgar.

– Dehydrolic Zabulon! – uciął Paul, sięgnąwszy po fremeski wulgaryzm, który oznaczał, że nikt nie poniży się sięgnięciem po wilgoć czegoś takiego.

– Mój panie!

– Stilgar – rzekł Paul – na gwałt potrzebujesz zmysłu krytycznego, który bierze się jedynie ze świadomości długofalowych skutków. Korba przyniósł ci wszystko, co mamy: trochę informacji o dawnych czasach i okrucy wiadomości pozostałe po Butlerianach. Zaczynj od Czyngis-chana.

– Czyngis... chana? Był sardaukarem, mój panie?

– Och, żył na długo przed nimi. Zabił... ze cztery miliony.

– Musiał mieć potężną broń, żeby zabić aż tylu. Pewnie rusznice laserowe albo...

– Nie zabił ich własnoręcznie, Stil. Zabił, tak jak ja zabijam, wysyłając swoje legiony. Chciałbym, żebyś zwrócił uwagę na jeszcze jednego Imperatora... niejakiego Hitlera. Zgładził ponad sześć milionów. Nieźle, jak na owe czasy.

– Zabił... posługując się swoimi legionami?

– Tak.

– Niezbyt to imponująca statystyka, mój panie.

– Brawo, Stil. – Paul zerknął na rolki w dłoniach Korby. Kwizar wyglądał, jakby miał ochotę cisnąć je i uciec. – Statystyka: skromnie licząc, zabiłem

sześćdziesiąt jeden miliardów, spustoszyłem dziewięćdziesiąt planet, całkowicie zdemoralizowałem pięćset innych, wytrzebiłem wyznawców czterdziestu religii, które istniały od...

– Niewierni! – zaprotestował Korba. – To byli niewierni!

– Wręcz przeciwnie – powiedział Paul. – To byli wierzący.

– Mój pan raczy żartować. – Korbie drżał głos. – Dżihad przyniósł dziesięciu tysiącom planet jasne światło jedynej...

– Przyniósł im wielką ciemność – rzekł Atryda. – Przez następne sto pokoleń będziemy stawać na nogi po Dżihadzie Muad'Diba. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek poszedł kiedyś dalej. – Wybuchnął gardłowym śmiechem.

– Co śmiesz Muad'Diba? – zapytał Stilgar.

– Nie jest mi do śmiechu. Po prostu nieoczekiwanie wyobraziłem sobie Imperatora Hitlera mówiącego coś takiego. Jak nic to powiedział.

– Żaden władca nie miał nigdy twoich mocy – upierał się Korba. – Kto śmiałby rzucić ci wyzwanie? Twoje legiony władają poznanym wszechświatem i wszystkimi...

– Legiony władają – rzekł Paul. – Ciekawe, czy wiedzą o tym?

– Ty władasz legionami – odezwał się Stilgar, a jego ton nie pozostawiał wątpliwości, że Fremen nagle ujrzał swoje miejsce w tej służbowej hierarchii, własną rękę kierującą całą tą potęgą.

Pchnąwszy myśli Stilgara na pożądane tory, Paul zwrócił się do Korby.

– Połóż te rolki na sofie – rzekł, a gdy kwizar to zrobił, spytał: – Jak idzie przyjęcie, Korba? Czy moja siostra panuje nad wszystkim?

– Tak, mój panie – odparł Korba ostrożnie. – I Chani siedzi z okiem przy wzierniku. Podejrzewa, że w świetle gildianina są sardaukarzy.

– Z pewnością ma rację – stwierdził Paul. – Zlatują się sępy.

– Bannerdzi – Stilgar wymienił dowódcę straży przybocznej Paula – od początku obawiał się, że niektórzy z nich spróbują przeniknąć do zamkniętych sektorów twierdzy.

– Spróbowali?

– Jeszcze nie.

– Ale były drobne incydenty w reprezentacyjnych ogrodach – powiedział Korba.

– Jakie incydenty? – zapytał Stilgar.

Paul z aprobatą skinął głową.

– Obcy chodzący tam i z powrotem – odparł Korba – zdeptane rośliny, szeptane rozmowy. Doniesiono mi o kilku nieprzyjemnych uwagach.

– Na przykład? – spytał Paul.

– „Czy na to idą nasze podatki?” Powiedziano mi, że sam ambasador zadał to pytanie.

– To mnie akurat nie dziwi – stwierdził Paul. – Dużo było obcych w ogrodach?

– Dziesiątki, mój panie.

– Bannerdzi rozmieścił doborowych ludzi przy słabiej zabezpieczonych wejściach. – Stilgar obrócił się tak, że światło z jedynej nie zgaszonej lampy w salonie padało mu na połowę twarzy.

To szczególne oświetlenie, ta twarz, wszystko to poruszyło jakąś strunę w pamięci Paula – jakieś echa pustyni. Nawet nie próbując odgrzebać wspomnienia, w skupieniu śledził, jak Stilgar zamyka się w sobie. Na gładkim czole Fremena odbijała się niemal każda myśl, jaka przemknęła mu przez głowę. Teraz miał tam wypisaną nieufność, głęboką nieufność, którą budziło w nim dziwne zachowanie Imperatora.

– Nie życzę sobie intruzów w ogrodach – oznajmił Paul. – Co innego kurtuazja wobec gości, jak również wymogi oficjalnego przyjęcia ambasadora, co innego zaś...

– Dopilnuję, żeby ich usunięto – wyrwał się Korba. – Natychmiast.

– Stój! – Paul zatrzymał go w pół kroku.

W chwili nagłego bezruchu Stilgar przesunął się nieznacznie, by widzieć twarz władcy. Zrobione to zostało po mistrzowsku. Paul podziwiał styl manewru, śmiały gest pozbawiony nachalności. Jak na Fremena przystało, ukradkowość brała się z szacunku dla cudzej prywatności, ruch – z wyższej konieczności.

– Która godzina? – zapytał Paul.

– Zbliża się północ, Najjaśniejszy Panie – rzekł Korba.

– Wydaje mi się, Korba, że jesteś moim najlepszym dziełem.

– Najjaśniejszy Panie! – W głosie Korby zabrzmiała uraza.

– Przejmuję cię zabobonnym lękiem?

– Tyś jest Paul Muad'Dib zwany w naszej siczy Usulem. Znasz moje oddanie dla...

– Czy kiedykolwiek czułeś się apostołem?

Widać było, że Korba opacznie pojął słowa, ale prawidłowo odczytał ton.

– Mój Imperator wie, że mam czyste sumienie!

– Niech Szej-hulud ma nas w swojej opiece! – wyszeptał Paul.

Dręczącą ciszę przerwał pogwizdywaniem ktoś nadchodzący z głębi korytarza. Gwizdanie umilkło pod drzwiami na wywarczany rozkaz stojącego przy nich gwardzisty.

– Wydaje mi się, Korba, że możesz wyjść cało z tego wszystkiego – powiedział Paul. I zobaczył, jak zrozumienie rozjaśnia twarz Stilgara.

– Obcy w ogrodach, Najjaśniejszy Panie? – przypomniał Stilgar.

– Ach, tak. Każ Bannerdziemu ich wyrzucić, Stil. Korba mu pomoże.

– Ja, mój panie? – Kwizar wyraźnie się zaniepokoił.

– Niektórzy moi przyjaciele zapomnieli, że kiedyś byli Fremenami. – Paul zwracał się do Korby, ale słowa przeznaczone były dla Stilgara. – Namierzcie tych rozpoznanych przez Chani sardaukarów i zabijcie ich. Załatwcie to sami. Trzeba to zrobić po cichu i bez zbędnego zamieszania. Musimy pamiętać, że religia i władza nie sprowadzają się wyłącznie do zawierania układów i prawienia kazań.

– Jestem na rozkazy Muad'Diba – wyszeptał Korba.

– Wyliczenia dotyczące Zabulonu? – spytał Stilgar.

– Jutro – odparł Paul. – A po usunięciu obcych z ogrodów ogłóście zakończenie przyjęcia. Koniec zabawy, Stil.

– Rozumiem, mój panie.

– To mógłbym przysiąc – rzekł Paul.



*Tu leży obalony bóg,
Upadek miał głęboki.
My tylko wznieśliśmy piedestał,
Wąziutki a wysoki.*

– epigram z Tleilaxa

Przykucnąwszy z brodą wspartą na łokciach, Alia wpatrywała się w szczątki na wydmie – parę kości i trochę strzępów tkanki młodej kobiety. Nie było dłoni, głowy i górnej części tułowia – strawiła je kurzawa Coriolisa. Śledczy i medycy brata pozostawili wszędzie dookoła ślady stóp. Odlecieli już i jedynie ghola Hayt oraz drużyna z kostnicy czekali nieopodal, aż ona zakończy swe tajemnicze misterium odczytywania zapisanych tu

znaków. Płowe niebo spowijało całą scenę zielonkawoniebieskim światłem, typowym dla południa na tych szerokościach.

Zwłoki kilka godzin wcześniej odkrył przelatujący na małej wysokości kurier, któremu przyrządy pokładowe wskazały śladową obecność wody w miejscu, gdzie w ogóle nie powinno jej być. Na jego radiowe wezwanie przylecieli specjaliści. Ustalili oni, że była to kobieta, lat około dwudziestu, Fremenka, uzależniona od semuty... i że w tym pustynnym tyglu zmarła na skutek działania wyrafinowanej tleilaxańskiej trucizny.

Śmierć na pustyni to fakt dość powszedni. Ale uzależnienie od semuty u Fremenek to już coś tak niesłychanego, że Paul wysłał ją, aby zbadała miejsce tragedii metodą, której nauczyła ich matka.

Odniosła wrażenie, że niczego nie zwojowawszy, tylko przydaje już i tak tajemniczej scenie cienia własnej tajemnicy. Spojrzała na gholę, słysząc, że porusza piasek stopami. Akurat obserwował ornitoptery eskorty krążące w górze niczym stado kruków.

„Obawiaj się gildian, nawet gdy przynoszą dary” – pomyślała.

Ornitopter kostnicy i jej maszyna tkwiły za gholą na piasku przy skalnej wychodni. Patrząc na nie, zapragnęła znaleźć się w powietrzu, i to daleko stąd.

Jednak, zdaniem Paula, mogła tu zauważyć coś, co inni przeoczą. Skręciła się pod filtrakiem. Wszystko ją gryzło po długich miesiącach obywatelstwa bez niego w mieście. Spojrzała na gholę, zastanawiając się, czy wie może coś ważnego o tej dziwnej śmierci. Kosmyk włosów jak futro czarnego kozła, zauważyła, wymykał mu się spod naczółka filtraka. Aż zaswędziały ją dłonie, żeby wsunąć mu go na miejsce.

Jak gdyby przyciągnięte tą myślą, obróciły się na nią metalowe, roziskrzane szare oczy. Wzdrygnęła się i uciekła wzrokiem.

Fremenka zginęła tutaj od trucizny zwanej „paszczą piekła”.

Fremenka uzależniona od semuty.

Alii udzieliło się zaniepokojenie Paula takim zbiegiem okoliczności.

Drużyna z kostnicy czekała bez szemrania. W zwłokach było za mało wody do odzyskania. Nie potrzebowali się spieszyć. Poza tym wierzyli, że Alia za pomocą jakiejś hieroglificznej sztuki doczytuje się w tych szczątkach niezwyklej prawdy.

Żadna niezwykła prawda nie przychodziła jej jednak do głowy.

Za to łatwe do odczytania myśli członków drużyny budziły w niej głęboko skrywaną złość. Wszystko przez to cholerne religijne misterium.

Ona i jej brat nie mogli być *ludźmi*. Musieli być kimś więcej. Zadbały o to Bene Gesserit, manipulując rodowodem Atrydów. Matka przyłożyła się do tego, spychając ich na ścieżkę magii.

A Paul unieśmiertelnił tę odmienność.

Zamknięte w jej pamięci Matki Wielebne poruszyły się niespokojnie, wyzwalając myślowy przekaz adabu:

– *Spokojnie, mała! Jesteś, jaka jesteś. Wszystko ma swoje blaski i cienie.*

Też mi blaski!

Przywołała gholę gestem. Stał przy niej, skupiony i opanowany.

– Jak ty to widzisz? – spytała.

– Możemy nigdy się nie dowiedzieć, kto tu zginął – rzekł. – Brak głowy i zębów. Dłoni... Nie będzie z czym porównać jej komórek, bo mało prawdopodobne, by taka osoba zostawiła gdzieś swój kod genetyczny.

– Tleilaxańska trucizna – powiedziała. – Mówi ci to coś?

– Wielu ludzi kupuje ich trucizny.

– To prawda. A rozkład jest zbyt zaawansowany, żeby można skorzystać odrostu, jak to uczyniono z twoimi zwłokami.

– Gdyby nawet zawierzyć Tleilaxanom, że to zrobią.

Skinęła głową i wstała z piasku.

– Wracamy do miasta. – W powietrzu, kiedy już wzięli kurs na północ, zagadnęła: – Pilotujesz zupełnie jak Duncan Idaho.

Ghola obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

– Inni też mi to mówili.

– O czym myślisz? – spytała.

– O wielu rzeczach.

– Odpowiedz mi, psiakrew, na pytanie!

– Na jakie?

Spojrzała na niego ze złością. Hayt zauważył tę złość w jej oczach i wzruszył ramionami.

„Wykapany Duncan Idaho, to jego gest” – pomyślała.

– Chciałam tylko wysłuchać twoich wrażeń i skonfrontować z nimi własne myśli – podpuściła go pełnym wyrzutu, stłumionym głosem. – Dręczy mnie śmierć tej młodej dziewczyny.

– Nie myślałem o tym.

– A o czym?

– O dziwnych emocjach, jakich doznaję, gdy wspomina się człowieka, którym być może byłem.

– Być może?

– Tleilaxanie są bardzo przewrotni.

– Nie do tego stopnia. Byłeś Duncanem Idaho.

– Zapewne. To prymarna kalkulacja.

– Zatem ulegasz emocjom?

– W jakiejś mierze. Czuję zapał. Odczuwam niepokój. Nieraz chwyta mnie drżenie, którego opanowanie kosztuje trochę wysiłku. Miewam... przebłycki obrazów.

– Co widzisz?

– Są zbyt szybkie, żeby coś rozpoznać. To przebłycki, przyplwy... niemal wspomnienia.

– Budzą w tobie ciekawość?

– Oczywiście. Ciekawość popycha mnie naprzód, ale muszę pokonywać wewnętrzny opór. Myślę sobie: „A jeśli nie jestem tym, za kogo mnie biorą?” Nie podoba mi się ta myśl.

– I to wszystko, co ci chodziło po głowie?

– Nie udawaj naiwnej, Alia.

„Jak on śmie mówić mi po imieniu?” – pomyślała. Gniew jednak zgasł w niej szybko pod wpływem echa głosu gholi: miękkiego, rozedrganego tembru, z nutą niedbałej, męskiej pewności siebie. Poczula nerwowy tik na zuchwie. Zaciśnęła zęby.

– Czy to nie El Kuds pod nami? – Hayt pochylił maszynę na skrzydło, wywołując zamieszanie w szyku eskorty.

Spojrzała na cienie ornitopterów sunące po skalnym cyplu nad przełęczą Harga, na urwisko i kamienną piramidę kryjącą czaszkę ojca. „El Kuds – Święte Miejsce”.

– To Święte Miejsce – powiedziała.

– Muszę się tam wybrać któregoś dnia – rzekł. – Może przy szczątkach twego ojca uda mi się pochwycić jakieś wspomnienie.

Nagle zrozumiała, jak silna musi być ta potrzeba poznania, kim był. Wręcz obsesyjna. Obejrzała się na skały, na urwisko przechodzące u podnóża w kamienistą plażę nad brzegiem morza piasku – cynamonowa skała wznosiła się nad wydmami niczym statek pokonujący fale.

– Zawracaj – rozkazała.

– Eskorta...

– Nie zgubią się. Zejdź pod nimi.

Wykonał manewr.

– Wiernie służysz mojemu bratu?

Lecieli nowym kursem z eskortą na ogonie.

– Służę Atrydom – odpowiedział uroczystym tonem.

Zobaczyła, jak unosi i opuszcza prawą dłoń – niemalże jak w dawnym salucie na Kaladanie. Na jego twarzy odmalował się dziwnie rzewny wyraz. Spoglądał w dół, na kamienną piramidę.

– Co cię trapi? – spytała.

Poruszył wargami. Mówił łamiącym się głosem.

– On był... on był... – Łza stoczyła mu się po policzku.

Alia zastygła we fremieńskim podziwiewie. Ofiarowywał wilgoć umarłym! Jak urzeczona dotknęła palcem łyzy na jego policzku.

– Duncan – szepnęła.

Sprawiał wrażenie skamieniałego za sterami ornitoptera, ze wzrokiem utkwionym w grobowcu pod nimi.

– Duncan! – powiedziała głośnie.

Przełknął ślinę, potrząsnął głową i spojrzał na Alię lśniącymi oczami z metalu.

– Poczułem... ramię... Otoczył mnie ramieniem – wyszeptał. – Poczułem! Ramię. – Słowa więzły mu w gardle. – To był... przyjaciel. To był... mój przyjaciel.

– Kto?

– Nie wiem. Myślę, że to był... Nie wiem.

Zamrugła przed nią lampka wywoławcza. Dowódca eskorty chciał się dowiedzieć, dlaczego zawrócili nad pustynię. Chwyciwszy mikrofon, wyjaśniła, że oddali krótki hołd szczątkom jej ojca. Kapitan przypomniał, że jest późno.

– Lecimy do Arrakin – powiedziała i wyłączyła mikrofon.

Hayt wziął głęboki wdech i położył ornitopter w wirażu, skręcając na północ.

– Poczuleś, jak otoczył cię ramieniem. To był mój ojciec, prawda? – spytała Alia.

– Być może.

Zauważyła, że miał już głos mentata obliczającego prawdopodobieństwa, że doszedł już do siebie.

– Wiesz, jak dobrze znam mojego ojca?

– Mam niejake pojęcie.

– Wyjaśnię to dokładniej.

I pokrótce opowiedziała, jak przed narodzeniem rozbudziła się w niej świadomość Matki Wielebnej, obarczając przerażony płód wiedzą niezliczonych istnień wtopionych w jego komórki nerwowe – a wszystko to już po śmierci ojca.

– Znam ojca tak, jak знаła go moja matka. Po najdrobniejszy szczegół każdego jej dzielonego z nim przeżycia. Poniekąd jestem moją matką. Mam wszystkie jej wspomnienia aż do chwili, gdy po wypiciu Wody Życia wpadła w trans metempsychiczny.

– Twój brat wytłumaczył mi już co nieco.

– Tak? Dlaczego?

– Zapytałem o to.

– Po co?

– Mentat potrzebuje danych.

– Aha. – Popatrzyła w dół na rozległy masyw Muru Zaporowego: zerodowane skały, dziury i szczeliny.

– To bardzo odsłonięte miejsce, tam pod nami – rzekł Hayt, podążywszy za jej wzrokiem.

– Ale łatwo tam o kryjówkę. – Spojrzała na niego. – Przypomina mi ludzki umysł z wszystkimi jego zakamarkami.

– Aaach.

– Aaach? Co znaczy to „Aaach”? – Nagle czymś ją rozzłościł, choć sama nie wiedziała czym.

– Chciałabyś wiedzieć, co się chowa w moim umyśle. – To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

– Skąd wiesz, że mocą jasnowidzenia nie odkryłam, kim naprawdę jesteś?

– A odkryłaś? – Był chyba szczerze zaintrygowany.

– Nie!

– Wieszczki mają swoje ograniczenia. – Wyglądał na ubawionego i uśmierzył tym gniew Alii.

– To cię bawi? Nie traktujesz poważnie moich mocy? – Pytanie nawet w jej uszach zabrzmiało jak dziecinna zaczepka.

– Traktuję twoje wróżby i przepowiednie poważniej, niż ci się wydaje – rzekł. – Wziąłem udział w twym porannym misterium.

– I co z tego?

– Masz wielki dar czytania znaków. – Mówiąc, nie odrywał oczu od sterów. – Rzekłbym, że to domena Bene Gesserit. Ale podobnie jak wiele czarownic, rozmieniasz swój dar na drobne.

– Jak śmiesz?! – krzyknęła, poczuwszy skurcz strachu.

– Śmiem znacznie więcej, niż się spodziewali moi twórcy – odparł. – Z racji tej rzadkiej cechy zostaje przy twoim bracie.

Zajrzała w jego stalowe oczy i nie znalazła w nich żadnego ludzkiego wyrazu. Kaptur filtraka skrywał linię jego szczęki. Usta jednak zachowały wyraz stanowczości. A także wielkiej siły... i zdecydowania. A słowa – krzepiącą moc. „Śmiem znacznie więcej...” Coś takiego powiedziałby Duncan Idaho. Albo więc ghola wyszedł Tleilaxanom lepiej, niż myśleli, albo to zwykłe mydlenie oczu, element jego uwarunkowania.

– Wy tłumacz się, ghola – poleciła.

– „Poznaj samego siebie” to twoje przykazanie? – spytał.

Czuła, że znowu coś go rozbawiło.

– Przestań pogrywać sobie ze mną, ty... ty nie wiadomo co! – Położyła dłoń na zawieszonym u szyi krysnożu. – Po co dali cię memu bratu?

– Twój brat nie ukrywa, że obserwowałaś całe spotkanie. Wiesz, jak mu na to odpowiedziałem.

– Odpowiedz raz jeszcze... mi!

– Mam go zniszczyć.

– To mówi mentat?

– Po co pytasz, skoro znasz odpowiedź? – skarcił ją. – I dobrze wiesz, że taki upominek wcale nie jest mu potrzebny. Twój brat sam całkiem dobrze się niszczy.

Ważyla te słowa, nie zdejmując dłoni z rękojeści krysnoża. Mimo wykrętniej odpowiedzi słyszała szczerość w jego głosie.

– To na co taki upominek? – nie ustępowała.

– Być może bawiło to Tleilaxan. A tak naprawdę, Gildia zażądała tego od nich.

– Dlaczego?

– Z tego samego powodu.

– Niby jak rozmieniam moją moc na drobne?

– A jak jej używasz? – odparł pytaniem.

Wypowiedział głośno jej obawy. Zdjęła dłoń z noża.

– Dlaczego sądzisz, że mój brat sam się niszczy?

– Daj spokój, dziecino! Gdzie twoje sławetne moce? Nie potrafisz wyciągać wniosków?

Stłumiła w sobie gniew.

– Wyciągnij je za mnie, mentacie.

– Proszę bardzo. – Rozejrzał się za eskortą, po czym wrócił spojrzeniem na kurs. Zza północnej rubieży Muru Zaporowego zaczynała się wylaniać równina pod Arrakin. Układ osad niecki i grabenu ginał pod całunem pyłu, ale łuna nad Arrakin przeświecała w oddali.

– Symptomy – rzekł. – Twój brat trzyma nadwornego panegirystę, który...

– Który jest prezentem od fremieńskich naibów!

– Dziwny prezent jak na przyjaciół – zauważył. – Dlaczego chcą omotać go służalstwem i pochlebstwami? Czyżbyś nie słyszała tego panegirysty? „Muad’Dib jest światłem ludzkości. Regent Ummy, nasz Imperator, wyłonił się z mroku, by opromieniać wszystkich ludzi swoim blaskiem. On jest naszym Najjaśniejszym Panem. On jest wodą bezcenną z niewyczerpanej krynicy. On poi cały wszechświat weselem”. Ha!

– Wystarczy, bym powtórzyła twoje słowa naszej fremieńskiej eskorcie, a poćwiartują cię i rzucą ptakom na żer – powiedziała Alia słodkim głosem.

– To im powtórz!

– Mój brat panuje z mocy naturalnego prawa niebios!

– Po co mówisz coś, w co nie wierzysz?

– Skąd wiesz, w co wierzę? – odparła, lecz pomimo całego kunsztu Bene Gesserit nie zdołała opanować drżenia. Ghola wywierał na nią wpływ, jakiego nie podejrzewała.

– Kazałaś mentatowi wyciągnąć wnioski – przypomniał.

– Żaden mentat nie wie, w co wierzę! – Wzięła dwa głębokie, spazmatyczne wdechy. – Jak śmiesz nas osądzać?

– Osądzać was? Nikogo nie osądzam.

– Nie masz pojęcia, do czego nas przygotowano!

– Oboje was przygotowano do rządzenia. Uwarunkowano do aroganckiej żądzy władzy. Zaszczepiono bystry rozum polityczny i biegłość w posługiwaniu się wojną i rytuałem. Prawo naturalne? Jakie prawo naturalne? Ten mit straszy w historii ludzkości. Straszy! Jest upiorem. Urojonym, nierzeczywistym. Czy wasz dżihad jest prawem naturalnym?

– Mentackie opowiadki – skwitowała z szyderczym uśmiechem.

– Jestem sługą Atrydów i mówię szczerze.

– Sługą? My nie mamy sług, tylko wyznawców.

– A ja jestem wyznawcą świadomości. Zrozum to, dziecino, i...

– Nie nazywaj mnie dzieciną! – warknęła i wysunęła krysnóż do połowy z pochwy.

– Przyznaję się do winy. – Zerknął na nią, uśmiechnął się i ponownie skupił na pilotowaniu ornitoptera. Zaczynały już majaczyć urwiste ściany twierdzy Atrydów, górujące nad północnymi przedmieściami Arrakin. – Jesteś czymś odwiecznym zaklętym w ciele, które ledwie co przestało być ciałem dziecka – powiedział. – I ciało to przeżywa niepokoję świeżej dojrzałości.

– Nie wiem, dlaczego cię słucham – burknęła, ale wsadziła nóż do pochwy i wytarła dłoń w szatę. Mokra od potu dłoń drażniła jej fremeniński zmysł oszczędności. Co za marnotrawstwo wilgoci ciała!

– Słuchasz, bo wiesz, że jestem wierny twojemu bratu – odparł. – A moje czyny są jasne i zrozumiałe.

– W tobie nic nie jest jasne i zrozumiałe. W życiu nie widziałam tak skomplikowanej istoty. Skąd mam wiedzieć, co Tleilaxanie w ciebie wsadzili?

– Przez pomyłkę albo celowo dali mi wolność kształtowania siebie.

– Uciekasz w zensunnickie porzekadła – zarzuciła mu. – „Mędrzec kształtuje siebie, głupiec żyje tylko po to, by umrzeć” – przedrzeźniała go. – Ładny mi „wyznawca świadomości”!

– Ludzie nie potrafią oddzielić „mieć” od „być” – rzekł.

– Mówisz zagadkami!

– Rozmawiam z otwartym umysłem.

– Wszystko powtórzę Paulowi.

– Prawie wszystko to już słyszał.

Ciekawość zwyciężyła w Alii.

– Jakim cudem jesteś jeszcze żywy... i wolny? Co ci powiedział?

– Śmiał się. A potem powiedział: „Poddani nie potrzebują Imperatora księgowego. Oni potrzebują pana, kogoś, kto ochroni ich przed zmianami”. Ale przyznał, że początkiem końca jego Imperium jest on sam.

– Dlaczego miałby wygadywać takie rzeczy?

– Ponieważ przekonałem go, że rozumiem jego problem i że mu pomogę.

– A czym go przekonałeś?

Hayt bez słowa przechylił ornitopter, rozpoczynając podchodzenie do lądowania z wiatrem, żeby usiąść przy strażnicy na dachu twierdzy.

– Masz mi powtórzyć, co mu powiedziałeś!

– Nie jestem pewny, czy to zrozumiesz.

– Nie twoja sprawa! Gadaj natychmiast!

– Pozwól, że najpierw nas posadzę – rzekł i nie czekając na jej zgodę, skręcił na ostatnią prostą, ustawił skrzydła na optymalną siłę nośną i siadł na jaskrawopomarańczowym kręgu lądowiska.

– No – ponagliła go Alia. – Mów.

– Powiedziałem mu, że sprostać sobie to chyba najcięższe zadanie we wszechświecie.

Pokręciła głową.

– To jest... To jest...

– Gorzka pigułka – stwierdził ghola, patrząc, jak gwardziści biegną ku nim przez dach i zajmują pozycje w miejsce eskorty.

– Gorzka bzdura!

– Najmożniejszy lord i najnędzniejszy pacholek mają ten sam problem. Nie rozwiąże go za ciebie żaden wynajęty mentat czy inny wielki umysł. Żaden nakaz sądowy ani wezwani świadkowie nie dostarczą ci odpowiedzi. Żaden sługa, ani wyznawca, nie opatrzy tej rany. Opatrujesz ją sama albo dalej broczysz krwią na oczach wszystkich.

Gwałtownie odwróciła się od niego, w tej samej chwili uświadamiając sobie, jak bardzo zdradza w ten sposób swe uczucia. Bez sideł Głosu czy magicznych sztuczek ponownie zamieształ jej w duszy. Jak on to zrobił?

– Powiedziałeś mu, co ma robić? – wyszeptała.

– Powiedziałem, że ma osądzać i zaprowadzać porządek.

Zapatrzywszy się na gwardzistów, spostrzegła, jak cierpliwie czekają – w jakim porządku.

– Wymierzać sprawiedliwość – mruknęła pod nosem.

– Tylko nie to! – rzucił. – Osądzać i kropka, kierując się może jedną tylko zasadą...

– Jaką?

– Zachować przyjaciół i zniszczyć wrogów.

– Zatem osądzać niesprawiedliwie.

– Co to jest sprawiedliwość? Ścierają się dwie siły. Każda może mieć prawo po swojej stronie. Imperator jest władny rozwiązywać takie właśnie sytuacje. Konflikty, którym nie może zapobiec, rozwiązuje.

– Jak?

– W najprostszy sposób: rozstrzyga.

– Zachowując swoich przyjaciół, a zabijając wrogów.

– Czyż nie tak stanowi się ład? Ludzie potrzebują takiego czy innego porządku. Są więźniami swych pragnień i zaczyna im świtać w głowach, że

wojna stała się rozrywką możliwych. To niebezpieczne oświecenie. To zakłócanie porządku.

– Powiem bratu, że jesteś zbyt niebezpieczny i że trzeba cię zabić. – Obróciła się do niego.

– Już podpowiedziałem mu to rozwiązanie.

– Właśnie dlatego jesteś niebezpieczny – powiedziała, cedząc słowa. – Panujesz nad emocjami.

– *Nie dlatego* jestem niebezpieczny.

Zanim się spostrzegła, ujął ją pod brodę, pochylił się i wargami dotknął jej warg.

Pocałunek był delikatny, krótki. Ghola wyprostował się na fotelu, a ona wpatrywała się w niego zszokowana tym bardziej, że kątem oka dostrzegła, jak stojący w szyku gwardziści szczerzą zęby od ucha do ucha.

Położyła palec na ustach. Miała wrażenie, że dobrze zna ten pocałunek. Ucieleśniał przyszłość, jaką ujrzała na którymś z rozdroży proroczej wizji.

– Powinnam kazać obedrzeć cię ze skóry! – powiedziała, ciężko oddychając.

– Bo jestem niebezpieczny?

– Bo za dużo sobie wyobrażasz!

– Niczego sobie nie wyobrażam. Nie biorę tego, czego mi najpierw nie ofiarują. A ty ciesz się, że nie wziąłem wszystkiego, co mi ofiarowano. – Otworzył drzwi po swojej stronie i wysliznął się z kabiny. – Chodź. Za długo się bawiliśmy w szukanie wczorajszego dnia – rzekł, po czym pospieszył do kopuły wejściowej na skraju lądowiska.

Alia wyskoczyła i zrównała się z nim.

– Doniosę mu o wszystkim, co powiedziałeś, i o wszystkim, co zrobiłeś.

– Dobrze. – Przytrzymał dla niej drzwi.

– Każe cię stracić – rzuciła, przestępując próg.

– Za co? Za kradzież całusa, którego pragnąłem?

Nie mogła przystanąć, bo deptał jej po piętach. Drzwi zasunęły się za nim.

– Całusa, którego *ty* pragnęłaś! – zakipiała oburzeniem.

– No dobrze, Alia. Zatem całusa, którego *ty* pragnęłaś! – Wyprzedził ją, zmierzając do dryfowej windy.

Jak gdyby swoim przejściem wtrącił ją w stan wyższej świadomości, uprzytomniła sobie jego szczerłość – jego absolutną prawdomówność. „Całus, którego ja pragnęłam – powiedziała w myśli. – To prawda”.

– To twoja prawdomówność jest niebezpieczna – stwierdziła, podążając za nim.

– Wracasz pod skrzydła mądrości. – Nawet nie zwolnił kroku. – Mentat nie ująłby tego trafniej. A teraz powiedz, co takiego zobaczyłaś na pustyni.

Chwyciła go za ramię, zmuszając, żeby przystanął. Zrobił to ponownie: wstrząsnął jej umysłem, wyostrając świadomość.

– Nie umiem tego wyjaśnić – odezwała się – ale wciąż przychodzą mi na myśl maskaradnicy. Dlaczego?

– Właśnie dlatego brat wysłał cię na pustynię. – Pokiwał głową. – Powiedz mu o tej natrętnej myśli.

– Ale dlaczego? – Nie mogła się otrząsnąć. – Skąd maskaradnicy?

– Tam, na pustyni, jest trup młodej Fremenki. Być może żaden Fremen nie zgłosił zaginięcia młodej dziewczyny.



Myślę sobie, jak pięknie jest żyć, i zastanawiam się, czy kiedykolwiek zanurkuję w głąb, do korzeni tego ciała, i poznam siebie, jakim byłem niegdyś. Korzenie tam są. Czy mój czyn sprawi, że je odnajdę, pozostaje ukryte w przyszłości. A mogę wszystko, co może człowiek. Jakikolwiek mój czyn może to sprawić.

– *Głos gholi z Komentarzy Alii*

Nurzając się w ciężkiej woni przyprawy i spoglądając w proroczym transie w głąb siebie, Paul zobaczył, jak księżyc wyciągnął się na kształt jajka. Toczył się i koziółkował z sykiem – z przeraźliwym sykiem gwiazdy gaszonej w bezkresnym oceanie – w dół... w dół... w dół... jak piłeczka rzucona ręką dziecka.

I zniknął.

Nie zaszedł. To była porażająca świadomość. Księżyc zniknął: nie ma go. Świat zadygotał niczym pies otrząsający sierść. Strach ścisnął mu gardło.

Gwałtownie usiadł na posłaniu, szeroko otwierając oczy. Częściowo patrzył na świat zewnętrzny, częściowo zaś – wewnętrzny. Na zewnątrz ujrzał plastopowe kraty i poznał, że jest w swojej komnacie nad skałopodobnym urwiskiem twierdzy. Wewnątrz wciąż widział upadek księżyca.

„Zgasł! Zgasł!”

Za plastopową kratą leżało Arrakin skąpane w oślepiającym blasku południa. W świecie wewnętrznym panowała czarna noc. Powódź słodkich zapachów z dachowego ogrodu pobudzała zmysły, ale żadne kwietne wonie nie mogły wytoczyć upadłego księżyca na niebo.

Opuściwszy stopy na chłodną posadzkę, wyrztał przez kratę. Na wprost widział delikatny łuk mostu dla pieszych, zbudowanego z platyny i złota stabilizowanych w procesie krystalizacji i wysadzanego ogniopazami z dalekiego Cedona. Przerzucony nad fontanną i sadzawką pełną wodnych kwiatów, prowadził do galerii wewnętrznego miasta. Paul wiedział, że jeśli wstanie, zobaczy w dole płatki kwiatów kołujące na wodzie, czerwone niczym świeża krew – cekiny koloru życia ciśnięte w szmaragdowy nurt.

Oczy odbierały obraz, nie wybijając Paula z przyprawowego transu.

„Ta okropna wizja utraconego księżyca”.

Straszyła utratą osobistego bezpieczeństwa. Być może oglądał upadek cywilizacji, która runęła pod ciężarem własnych ambicji.

„Księżyc... księżyc... spadający księżyc”.

Pokonanie warstw naniesionego przez tarota mułu wymagało potężnej dawki przyprawowej esencji, tymczasem objawiła jedynie spadający księżyc i od początku mu znaną, znienawidzoną drogę. Kres dżihadu i kosmicznej rzezi musi okupić własnym upadkiem.

„Zawracaj... zawracaj... zawracaj...”

Zapachy kwiatów z dachowego ogrodu przypomniały mu o Chani. Zatęsknił do jej ramion, do objęć miłości i zapomnienia. Ale nawet Chani nie uwolniłaby go od tej wizji. Co by powiedziała, gdyby nagle wyznał jej, jaki rodzaj śmierci sobie wykombinował? Wiedząc, że jest nieunikniona, dlaczego nie wybrać śmierci arystokratycznej, nie skończyć życia przy sekretnych fanfarach, nie plunąć na niedoszłe lata? Umrzeć, nim umrze siła woli, czy to nie arystokratyczny wybór?

Wstał, podszedł do zamaskowanego przejścia w kracie i wymknął się na balkon, ponad którym kwitły kwiaty i płożły się pnącza. W ustach zaschło mu niczym piechurowi piasku w marszu.

„Księżyc... księżyc... Gdzie jest ten księżyc?”

Wspomniał relację Alii o zwłokach dziewczyny znalezionych pośród wydm. Fremenka uzależniona od semuty! Wszystko pasowało do tej znienawidzonej układanki.

„Od tego wszechświata się nie bierze – pomyślał. – Od tego wszechświata się dostaje”.

Na niskim stoliku przy balustradzie leżał fragment spiralnej muszli ślimaka z mórz Matki Ziemi. Ujawszy połyskliwą gładź, próbował cofnąć się w czasie. Migotliwe księżycy światła odbijały się w macicy perłowej. Oderwał od nich wzrok i spojrzał ponad ogrodem, na ogarnięte pożogą niebo – tęczowe smugi pyłu jarzyły się w srebrnym blasku słońca.

„Moi Fremeni nazywają siebie Dziećmi Księżyca” – przemknęło mu przez głowę.

Odłożył konchę i ruszył przed siebie wzdłuż balustrady. Czy ów przerażający księżyc zwiastuje nadzieję ratunku? Szukał odpowiedzi w obszarach mistycznego objawienia. Czuł się bezsilny, wstrząśnięty i nadal zdominowany przez przyprawę.

Doszedł do północnej krawędzi swej plastopowej przepaści, skąd otwierał się widok na niższe budynki dzielnicy rządowej. Ciągami pieszymi na dachach płynął potok ludzi. Przewijał się niczym fryz na tle bram, murów i płyt dekoracyjnych. „Ludzie są dekoracjami!” Mrugając, mógł ich zatrzymać w bezruchu pod powieką. Fryz.

„Księżyc spada i znika”.

Ogarnęło go wrażenie, że leżące w dole miasto zostało przekształcone w dziwny symbol jego wszechświata. Spoglądał na budynki wzniesione w miejscu, gdzie jego Fremeni rozbili w puch legiony sardaukarów. Dawne pole krwawej bitwy dziś tętniło urzędowym życiem.

Trzymając się zewnętrznej strony balkonu, skręcił za róg. Roztoczyła się przed nim panorama przedmieścia, aż po budynki ginące wśród skał i lotnych piasków pustyni. Na pierwszym planie królowała świątynia Alii, rozłożywszy długie na dwa tysiące metrów skrzydła, których zielono-czarne osłony zdobił wizerunek księżycy – symbol Muad’Diba.

„Spadający księżyc”.

Paul przesunął dłonią po czole i oczach. Symbolika metropolii strasznie mu ciążyła. Gardził sobą za własne myśli. Takie wątpliwości u kogoś innego wzbudziłyby w nim gniew.

Nienawidził swego miasta!

Zrodzona z nudy wściekłość gotowała się w nim i wzbierała, podsycana nieuchronnością czekających go decyzji. Znał ścieżkę, którą musi obrać. Czyż nie widział jej tyle razy? *Widział!* Kiedyś... dawno temu, uważał się za nowatora władzy. Jednak nowatorstwo weszło w stare koleiny. Przypominało jakiś ohydny twór z pamięcią kształtu. Modelujesz go, jak ci

się podoba, odkładasz na chwilę, a on wraca do pierwotnej postaci. Siły poruszające serca w ludzkich piersiach wymykały mu się i stawiały opór.

Ogarnął wzrokiem połacie dachów. Jakie skarby nieskrępowanego życia kryją się pod nimi? Wśród jaskrawej czerwieni i złota tu i ówdzie dostrzegał plamy zielonego listowia na otwartym powietrzu. Zieleń roślin – dar Muad’Diba i jego wody. Sady i zagajniki zieleniły się w polu jego widzenia – drzewa pod gołym niebem szły o lepsze z roślinnością mitycznego Libanu.

„Muad’Dib szasta wodą jak szaleniec” – mówili jego Fremeni.

Zakrył oczy dłońmi.

„Księżyc spadł”.

Opuściwszy ręce, patrzył na swoją stolicę, jak gdyby bielmo zeszło mu z oczu. Budowle jawiły się w całym ich spotworniałym, imperialnym barbarzyństwie. Stały ogromne i jaskrawe w promieniach słońca północy. Olbrzymy! Wzrok ogarniał wszystkie architektoniczne szaleństwa rodem z obłąkanej historii: tarasy rozmiarów płaskowzgórza, place wielkości niejednego miasta, areny, posesje, akcenty cywilizacyjnej dziczy.

Wspaniała sztuka sąsiadowała z niepojętymi szczytami żałosnego kiczu. Oko wyławiało architektoniczne detale: boczna brama ze starożytnego Bagdadu... kopuła wyśniona w mitycznym Damaszku... łuk ze znanego z małej grawitacji Ataru... harmonijne fasady i przedziwne czeluści. Wszystko razem tworzyło wrażenie bajecznego przepychu.

„Księżyc! Księżyc! Księżyc!”

Popadał we frustrację. Czuł napór stadnej podświadomości, owej lawinowej szarży rasy ludzkiej przez wszechświat. Czuł, jak uderza w niego z siłą gwałtownej fali przypływu. Wyczuwał ogromny pęd migracyjny w oceanie ludzkości: wiry, prądy, przepływy genów. Nie do zatrzymania jakąkolwiek tamą – ani abstynencją, ani impotencją, ani klątwą.

Dżihad Muad’Diba to mniej niż okamgnienie w rozleglejszym żywiole ruchu. Nawet płynąca na tej fali, frymarcząca genami zbiorowa istota Bene Gesserit jest pospół z nim uwięziona w owym nurcie. Wizje upadku księżycy trzeba mierzyć miarą innych legend, innych wizji we wszechświecie, w którym nawet z pozoru wieczne gwiazdy bledną, migocą i gasną...

Cóż znaczy jeden księżyc w takim wszechświecie?

Gdzieś w głębi warownej twierdzy, z takiej odległości, że dźwięk niekiedy tonął w powodzi miejskich hałasów, dziesięciostrunowy rebab odzywał się trenem dżihadu, lamentem za kobietą pozostawioną na Arrakis:

*Krągle są wydmy jej bioder,
Żarem lata błyszczą jej oczy.
Srebrne taliony wody
Ma wplecione w warkocze.
Dotyk jej skóry pomnę
I kwiatów, i ambry wonie.
Powieki mi drżą od wspomnień...
Wciąż w ogniu miłości płonę!*

Pieśń przyprawiała go o mdłości. Trele dla sentymentalnych osłów! Równie dobrze mogliby przygrywać z mumifikowanym w piasku zwłokom, które badała Alia.

Wśród cieni okratowania zamajaczyła jakaś postać. Paul obrócił się gwałtownie. Na skąpany w słońcu balkon wkroczył ghola. Jego metalowe oczy lśniły.

– Czy to Duncan Idaho, czy niejaki Hayt? – spytał Paul.

Ghola przystanął dwa kroki od niego.

– Którego mój pan woli? – W głosie była ledwo słyszalna nuta przygany.

– Odgrywaj zensunnitę – rzekł Paul z goryczą. „Znaczenia ukryte w znaczeniach!” – pomyślał. Co zensunnicki filozof może powiedzieć lub zrobić, by choć o jotę zmienić odsłaniającą się właśnie przed nimi rzeczywistość?

– Mój pan czymś się gryzie.

Paul odwrócił się i zapatrzył na daleką skarpę Muru Zaporowego, na wyrzeźbione przez wiatry łuki i przypory, upiorną imitację swego miasta. Natura naigrawa się z niego! „Popatrz, co potrafię zbudować!” Po ławicy piasku wchodzącego przez otwartą szczelinę rozpoznał wyłom w odległym masywie. „Tam! To tam pobiliśmy sardaukarów!” – przemknęło mu przez głowę.

– Co gryzie mojego pana? – zapytał ghola.

– Wizja – wyszeptał Paul.

– Aaach, kiedy Tleilaxanie mnie obudzili, miałem wizje. Byłem niespokojny, samotny... bynajmniej nie wiedząc, że jestem samotny. Nie wtedy. Wizje niczego mi nie objawiły! Tleilaxanie powiedzieli, że to napór ciała, na który cierpią i ludzie, i ghole, choroba, nic więcej.

Paul obrócił się i spojrzał mu w oczy – drobniutko puncowane, stalowe gałki bez wyrazu. Jakie wizje ukazały się tym oczom?

– Duncan... Duncan... – wyszeptał.

– Na imię mam Hayt.

– Widziałem, jak spadł księżyc. Zniknął, zginął. Słyszałem przeraźliwy syk. Wszystko się zatrzęsło.

– Trunek czasu uderzył ci do głowy – rzekł ghola.

– Chciałem zensunnitę, a mam mentata! – skwitował Paul. – Niech będzie! Przepuść moją wizję przez swą maszynkę logiczną. Poddaj analizie i sprowadź do prostych słów mowy pogrzebowej.

– Z pogrzebem coś jest na rzeczy – odparł ghola. – Uciekasz przed śmiercią. Gonisz za przyszłą chwilą, odmawiając życia tu i teraz. Wróżbiarstwo! Też mi oparcie dla Imperatora.

Paul jak urzeczony wpatrywał się w dobrze mu znane znamię na brodzie mężczyzny.

– Dążąc do życia w obranej przyszłości – ciągnął ghola – materializujesz ją sobie? Urzeczywistniasz?

– Jeśli podążę drogą mojej wizji jutra, to będę żył *jutro* – wymamrotał Paul. – Skąd ci przyszło do głowy, że tam chcę żyć?

Ghola wzruszył ramionami.

– Prosiłeś o rzeczową odpowiedź.

– Gdzie we wszechświecie jest substancja zdarzeń? – spytał Paul. – Czy istnieje ostateczna odpowiedź? Czy każde rozstrzygnięcie nie rodzi nowych pytań?

– Przetrawiłeś takie mnóstwo czasu, że zwiduje ci się nieśmiertelność – rzekł ghola. – Imperium, nawet *twoje*, mój panie, musi dożyć swego czasu i umrzeć.

– Nie wyjeżdżaj mi tu ze zgłiszczami ołtarzy! – warknął Paul. – Słyszałem wystarczająco dużo smętnych opowieści o bogach i mesjaszach. Nie potrzebuję nadzwyczajnych mocy, żeby śladem wszystkich poprzednich, przewidzieć upadek własnego Imperium. To potrafi wywróżyć moja pomoc kuchenna. – Potrząsnął głową. – Księżyc spadł!

– Nie zatrzymałeś się myślą na jego początkach.

– To tak mnie niszczysz? – spytał ostro Paul. – Nie dając mi zebrać myśli?

– Czy można zebrać chaos? – odparł pytaniem ghola. – My, zensunnici, mawiamy: „Najwięcej zbierasz, nie zbierając”. Co możesz zebrać, nie zbierając siebie?

– Dręczy mnie wizja, a ty mi opowiadasz bzdury! – rozeźlił się Paul. – Co ty wiesz o jasnowidzeniu?

– Widziałem wieszczącą prorokinię – odparł ghola. – Widziałem tych, którzy przychodzą po znaki i przepowiednie dotyczące ich przyszłości. Boją się tego, po co przychodzą.

– Mój spadający księżyc jest prawdziwy – wyszeptał Paul. Spazmatycznie zaczerpnął powietrza. – Porusza się. On się porusza.

– Ludzie zawsze boją się rzeczy, które samoistnie się poruszają. Boisz się własnych mocy. Rzeczy przychodzą ci znikąd do głowy. A dokąd z niej odchodzą?

– Ładnie mnie pocieszasz! – warknął Paul.

Jakieś olśnienie przemknęło po twarzy gholi. Na chwilę stał się prawdziwym Duncanem Idaho.

– Najlepiej, jak tylko potrafię – rzekł Hayt.

Ten przeblysłk emocji zdziwił Paula. Czyżby ghola odczuwał żal, którego nie dopuszczał do świadomości? Czy tłumił jakąś własną wizję?

– Mój księżyc nie jest bezimienny – szepnął.

I popłynął z wizją przyszłości. Nie wyrwał mu się żaden krzyk, chociaż przenikał całe jego jestestwo. Bał się odezwać, żeby głos go nie zdradził. Powietrze w tej upiornej wizji gęste było od nieobecności Chani. Jej ciało i krzyki rozkoszy, jej oczy palące go pożądaniem, głos, który go urzekał, ponieważ obce mu były sztuczki subtelnej kontroli – wszystko zniknęło, wróciło do wody i piasku.

Odwracając się powoli, objął wzrokiem teraźniejszość placu przed świątynią Alii. Trzej pielgrzymi z ogolonymi głowami odchodzili aleją procesyjną. W zakurzonych żółtych szatach, szli spiesźnie, chyląc głowy pod naporem popołudniowego wiatru. Jeden powłóczył lewą nogą. Zmagając się z podmuchami, skręcili za róg i zniknęli Paulowi z oczu.

Odeszli tak, jak odejdzie jego księżyc. Wizja jednak pozostała. Jej straszliwe przeznaczenie nie dało mu wyboru.

„Ciało się poddaje – pomyślał. – Wieczność odbiera, co do niej należy. Nasze ciała igrały krótko na falach, w upojeniu tańczyły przed miłością życia i miłością własną, zajmowały się kilkoma dziwnymi pomysłami, po czym poddały narzędziom czasu. Cóż możemy o tym powiedzieć? Zdarzyłem się. Nie jestem... ale się zdarzyłem”.



Nie błaga się słońca o litość.

– *Znój Muad'Diba za Komentarzami Stilgara*

„Małe potknięcie można przypłacić śmiertelnym upadkiem” – powiedziała sobie Matka Wielebna Gaius Helena Mohiam, z pozorną beztroską drepcząc w kręgu fremieńskich strażników.

Odkryła, że wśród kroczących za jej plecami jest jeden głuchoniemy, niewrażliwy na sztuczki Głosu. Bez wątpienia miał rozkaz zabić ją przy najmniejszej próbie prowokacji.

Zastanawiała się, po co Paul ją wezwał. Czy zamierza wydać wyrok? Przypomniiał jej się dzień, w którym – dawno temu – poddała go próbie... tego małego Kwisatz Haderach. Były w nim niewątpliwe głębie.

Niech jego matka będzie przeklęta na całą wieczność! To przez nią Bene Gesserit utraciły wpływ na tę linię genetyczną.

Fala ciszy szła przed ich orszakami w sklepionych korytarzach. Znak, że poprzedza go przekazywana wiadomość – Paul usłyszy milknięcie ścian. Dowie się o jej nadejściu, nim zostanie zapowiedziana. Nie żywiła złudzeń, że dysponuje większymi mocami niż on.

Niech go piekło pochłonie!

Przeklinała też dolegliwości wieku: bóle stawów, reakcje nie tak szybkie jak dawniej, mięśnie nie tak sprężyste jak cięciwy tkanek w młodości. Miała za sobą długi dzień i długie życie. Dzień spędziła nad Tarotem Diuny, bezowocnie szukając przepowiedni własnego losu. Ale karty były jakoś niemrawe.

Strażnicy skęcili z nią za róg, w kolejny – zdawało się – nie mający końca sklepiony korytarz. Trójkątne okna z metaszkła po lewej dawały widok na wspinającą się po kratownicach winorośl i kwitnące indygo wśród głębokich, przedwieczornych cieni. Mozaika pod jej stopami przedstawiała wodne stworzenia z egzotycznych planet. Wszechobecny pierwiastek wody. Bogactwo... bogactwa.

Postacie we fremieńskich szatach przecięły im drogę przez salę, obrzucając Matkę Wielebną ukradkowymi spojrzeniami. Ich zachowanie i napięcie świadczyło, że ją rozpoznali.

Utkwiła wzrok w wyraźnej linii włosów strażnika przed sobą: młody, różowy kark nad kołnierzem munduru.

Ogrom tej cyklopowej twierdzy zaczynał robić na niej wrażenie. Pasaże... korytarze... Minęli otwarte drzwi, z których dolatywały przyciszone dźwięki dawnej muzyki fletu z towarzyszeniem tamburynu. Zerknąwszy do środka, napotkała spojrzenie błękitnych w błękicie fremeńskich oczu. Dostrzegła w nich zaczyn mitycznych buntów fermentujący w dzikich genach.

Wiedziała, że to miara jej brzemienia. Bene Gesserit nie mogła zlekceważyć genów i zawartych w nich możliwości. Ogarnęło ją poczucie straty: uparty atrydski osioł! Jak on może odmawiać skarbu potomstwa swych lędźwi? Kwisatz Haderach! Nie trafił w swój czas, to fakt, ale był prawdziwy, równie prawdziwy jak jego siostra Zły Duch – niebezpieczna niewiadoma. Zrodzona bez hamulców Bene Gesserit dzika Matka Wielebna, która za nic ma porządek genetycznego rozwoju. Niewątpliwie ma moce brata... i coś więcej.

Twierdza coraz bardziej ją przytłaczała. Czy korytarze nigdy się nie skończą? Potworna fizyczna siła zionęła z tego miejsca. Żadna planeta, żadna cywilizacja w historii ludzkości nie widziała takiego ogromu stworzonego rękami człowieka. Tuzin starożytnych miast mogłoby się schować za tymi murami!

Minęli kilka owalnych drzwi z mrugającymi światłkami. Poznała ixańską robotę: stacje kolejki pneumatycznej. Dlaczego więc prowadzą ją taki szmat drogi? Odpowiedź nasunęła się sama: żeby ją pognębić, zanim stanie przed Imperatorem.

Skąpa to wskazówka, jednak były też inne, subtelne sygnały – pewna powściągliwość i dobór słów jej strażników, ślady prymitywnego onieśmienia w ich oczach, gdy nazywali ją Matką Wielebną, chłodna i nijaka, jakby bezwonna natura tych wnętrz – a wszystko to razem dawało Bene Gesserit wiele do myślenia.

Paul chce czegoś od niej!

Ukryła ogarniające ją uniesienie. Istnieje więc dźwignia przetargowa. Pozostaje tylko określić jej rodzaj i sprawdzić wytrzymałość. Niemal dźwigni poruszyło rzeczy większe od tej twierdzy. Znane są upadki cywilizacji od lekkiego muśnięcia.

Natychmiast przypomniała sobie opinię Scytale'a: „Osobnik, który strawił życie, budując swój wizerunek, prędzej umrze, niż stanie się jego antytezą”.

Korytarze, którymi ją wiedziono, stopniowo ogromniały w oczach za sprawą ledwo uchwytnych zabiegów: sztuczek z łukami sklepienia, masywniejących podpór kolumnowych, większych prostokątnych okien w miejsce trójkątnych. Wreszcie daleko przed nią ukazały się dwuskrzydłowe drzwi osadzone pośrodku wysokiej ściany westybulu. Wyczuwała, że drzwi są bardzo, bardzo duże, i aż stłumiła westchnienie, kiedy jej wyćwiczony umysł ocenił ich rzeczywiste rozmiary. Drzwi miały co najmniej osiemdziesiąt metrów wysokości i połowę tego szerokości.

Gdy dochodziła do nich ze swoją eskortą, rozwarły się do środka – ogromnym, bezgłośnym ruchem ukrytego mechanizmu. Rozpoznała kolejne dzieło ixańskich rąk. Przez te niebotyczne wrota wkroczyła pośród straży do wielkiej sali audiencyjnej Imperatora Paula Atrydy – Muad’Diba, przed którym wszyscy ludzie „stają się maluczcy”.

Teraz na własnej skórze poczuła sens popularnego powiedzonka. Idąc w kierunku Paula siedzącego na odległym tronie, Matka Wielebna była bardziej pod wrażeniem architektonicznych cudów otoczenia niż jego ogromu. W tej wielkiej sali zmieściłaby się całutka twierdza dowolnego władcy w historii ludzkości. Otwartość przestrzeni wiele mówiła o precyzyjnej równowadze wewnętrznych sił konstrukcji. Wiązary i dźwigary tych ścian oraz odległego kopulastego sklepienia musiały przewyższać wszystko, na co się kiedykolwiek porwano. Całość świadczyła o geniuszu budowniczych.

Sala niepostrzeżenie kurczyła się w drugim końcu, unikając optycznego zmniejszania Paula siedzącego na tronie pośrodku podwyższenia. Oszłomionym geometrią wnętrza, niewyszkolonym oczom Imperator wydawałby się początkowo znacznie większy niż w istocie. Na bezbronną psychikę oddziaływano też kolorami: zielony tron Paula został wyrzeźbiony z jednego kawałka hagalskiego szmaragdu. Symbolizował roślinność oraz – we fremieńskiej mitologii – barwę żałoby. Sugerował dyskretnie, że zasiada na nim ten, który może okryć człowieka żałobą – życie i śmierć w jednym symbolu, chytra presja przeciwnieństw. Za tronem spływały kaskady draperii koloru palonego oranżu, złotego piasku Diuny i w rdzawobrazowych niczym melanż cętkach. Symbolika była oczywista, ale niewtajemniczonych waliła jak obuchem.

Czas też odgrywał rolę.

Matka Wielebna oceniła, że dodreptanie przed imperatorskie oblicze zajmie jej kilka minut. Człowiek miał czas, żeby dusza poszła mu w pięty.

Skupiająca się na nim nieokiełznana moc tłumiała w zarodku wszelkie próby zachowania godności. Choćby zaczął długi marsz w kierunku tego tronu jako dumna istota, kończył go jako robak.

Służba i świta Imperatora stały w przedziwnym porządku: gwardziści na baczność pod udrapowaną ścianą za tronem, Alia, Zły Duch, dwa stopnie niżej po lewej ręce Paula, imperialny lokaj Stilgar stopień niżej niż Alia, z prawej strony władcy zaś, na pierwszym stopniu nad posadzką, samotna postać zmartwychwstałego Duncana Idaho – ghola. Wśród gwardzistów dostrzegła starszych Fremenów – brodatych naibów ze śladami po wtykach nosowych, krysznożami u pasów, kilkoma pistoletami maula, gdzieś tam nawet rusznicą laserową. „To muszą być zaufani ludzie – pomyślała – skoro noszą rusznice laserowe przy Imperatorze, który nie kryje się z generatorem tarczy”. Widziała wokół niego migotanie jej pola. Jedno trafienie wiązki z rusznicy w pole tarczy i z całej twierdzy pozostałby tylko lej w ziemi.

Strażnicy zatrzymali się dziesięć kroków od stóp podwyższenia i rozdzielili, żeby nie przesłaniać jej Imperatora. Dopiero teraz zauważyła nieobecność Irulany i Chani i zdziwiło ją to. Mówiono, że bez nich nie udziela żadnej ważnej audiencji.

Paul skinął jej głową, kalkulując.

Natychmiast postanowiła przejąć inicjatywę.

– Zatem wielki Paul Atryda raczył przyjąć tę, którą onegdaj skazał na banicję.

Paul uśmiechnął się ponuro. „Wie, że czegoś od niej chcę” – pomyślał. Przyjął to jako rzecz oczywistą, mając świadomość, kim ona jest. Doceniał jej talenty. Bene Gesserit nie zostają Matkami Wielebnymi dla pięknych oczu.

– Może darujemy sobie tę szermierkę słowną? – zaproponował.

„Czyżby miało być aż tak łatwo?” Nie wierzyła własnym uszom.

– Mów, czego chcesz – odparła.

Stilgar drgnął i spojrzał ostro na Paula. Imperialnemu lokajowi nie spodobał się jej ton.

– Stilgar chce, żebym cię odprawił – rzekł Paul.

– A nie zabił? – spytała. – Po fremeńskim naibie spodziewałam się większej szczerości.

Fremen popatrzył na nią spode łba.

– Często muszę mówić co innego, niż myślę. To się nazywa dyplomacja.

– No to darujmy sobie również dyplomację – powiedziała. – Czy musiałam pokonać taki szmat drogi na piechotę? Jestem starą kobietą.

– Trzeba ci było pokazać, jaki potrafię być okrutny – odrzekł Paul. – Dzięki temu docenisz moją wielkoduszość.

– Dopuszczasz się takich prostackich zagrywek wobec Bene Gesserit?

– Prostackie zagrywki niosą własne przesłanie – stwierdził.

Zawahała się, rozważając jego słowa. Zatem... jeszcze może jej się pozbyć... po prostacku, najwyraźniej, jeśli ona... jeśli ona co?

– Powiedz, czego ode mnie chcesz – burknęła.

Alia spojrzała na brata, ruchem głowy wskazując draperie za tronem. Znała tok rozumowania Paula, co nie znaczyło, że je pochwała. Powiedzmy, że była to „zbłąkana przepowiednia”: wszystko w Alii buntowało się przeciwko udziałowi w tych targach.

– Musisz uważać, jak się do mnie odzywasz, starucho – rzekł Paul.

„Nazwał mnie staruchą, kiedy był wyrostkiem – pomyślała Matka Wielebna. – Czy teraz przypomina mi o mej roli w jego przeszłości? Czy muszę tutaj odczynić to, co wtedy zrobiłam?” Poczuła wagę decyzji, wręcz fizyczny ciężar, pod którym ugięły jej się kolana. Zmęczone mięśnie jawnie odmawiały posłuszeństwa.

– To był szmat drogi – zgodził się Paul – i widzę, że jesteś zmęczona. Przejdźmy do saloniku za tronem. Tam sobie usiądziesz. – Powstając, dał Stilgarowi znak dłonią.

Z pomocą oskrzydlających ją Stilgara i gholi weszła po stopniach, a potem w ślad za Paulem przez ukryty wśród draperii korytarz. Wtedy zrozumiała, dlaczego przyjął ją w sali audiencyjnej: było to przedstawienie dla gwardii i naibów. Zatem musi się ich obawiać. A teraz... teraz udaje łaskawą życzliwość, ośmielając się uprawiać takie gierki z Bene Gesserit. Choć może to brak śmiałości? Wyczuwszy, że ktoś idzie za nią, obejrzała się i zobaczyła Alię. W nieobecny spojrzeniu Alii było coś złowieszczonego. Matkę Wielebną przeszedł dreszcz.

Salonik znajdował się na końcu korytarza – plastopowy sześcian o dwudziestometrowym boku, żółte światło lumisfer, na ścianach ciemnopomarańczowe draperie z pustynnych filtrnamiotów. Sofy, miękkie poduszki, delikatna woń melanzu i kryształowe karafki z wodą na niskim stoliku. W porównaniu z salą audiencyjną wydawał się ciasny i zagracony.

Paul umieścił ją na sofie, a sam stanął nad nią, przyglądając się starczej twarzy – stalowym zębom, oczom, które więcej ukrywają, niż pokazują,

głębokim zmarszczkom. Wskazał karafkę z wodą. Pokręciła głową, wicherząc sobie kosmyk siwych włosów.

– Chcę się ułożyć z tobą o życie mojej ukochanej – rzekł cicho.

Stilgar odchrząknął.

Alia bawiła się rękojeścią zawieszonego na szyi krysnoża.

Ghola z nieprzeniknioną miną stał przy drzwiach. Spojrzenie metalowych oczu utkwiał w przestrzeni nad głową Matki Wielebnej.

– Widziałeś w wizji, jak przykładam rękę do jej śmierci? – Matka Wielebna zatrzymała wzrok na gholi, który budził w niej niejasny niepokój. Ale niby czemu miałyby się go obawiać? Był w końcu narzędziem spiskowców.

– Wiem, czego chcesz ode mnie – stwierdził Paul, unikając odpowiedzi na jej pytanie.

„Zatem tylko podejrzewa” – pomyślała. Popatrzyła na czubki swoich butów wystające spod rąbka szaty. Czarne... czarne... z piętnem więziennej celi: plamy na butach, zagniecenia szaty. Uniosła brodę i spojrzała prosto w płonące gniewem oczy Paula. Ogarnęło ją radosne uniesienie, ale skryła emocje, sznurując usta i mrużąc powieki.

– Co proponujesz w zamian? – zapytała.

– Moje nasienie, ale beze mnie – rzekł Paul. – Sztuczne zapłodnienie i banicja dla Irulany.

– Masz tupet! – nie wytrzymała Matka Wielebna, sztywniejąc.

Stilgar zrobił pół kroku w jej kierunku.

Hayt uśmiechnął się zażenowany. Teraz Alia utkwiała w nim wzrok.

– Nie będziemy dyskutować o rzeczach zakazanych przez twoje zgromadzenie – powiedział Paul. – Nie chcę słyszeć o grzechach, Złych Duchach czy zabobonach pozostawionych przez minione dżihady. Możecie wziąć moje nasienie na potrzeby waszych planów, ale dziecko Irulany nigdy nie wstąpi na mój tron.

– Twój tron. – Uśmiechnęła się szyderczo.

– *Mój* tron.

– Zatem kto urodzi imperialnego następcę?

– Chani.

– Ona jest bezpłodna.

– Jest w ciąży.

Zauważył, że zapało jej dech.

– Kłamiesz! – warknęła.

Uniósłszy dłoń, Paul powstrzymał Stilgara, który chciał rzucić się do przodu.

– Od dwóch dni wiemy, że nosi moje dziecko.

– Ale Irulana...

– Tylko sztuczne zapłodnienie. Tyle proponuję.

Matka Wielebna zamknęła oczy, żeby nie widzieć jego twarzy. A niech go! W taki sposób rzucać genetyczne kości! Aż zadrżała z odrazy. Nauki Bene Gesserit, lekcje Dżihadu Butleriańskiego – wszystko zakazywało takiego aktu. Nie plugawi się najwyższych aspiracji ludzkości. Żadna machina nie może naśladować funkcjonowania ludzkiego umysłu. Żadnym słowem ani uczynkiem nie wolno sprowadzać rozmnażania ludzi do poziomu hodowli zwierząt.

– Decyzja należy do ciebie – oznajmił Paul.

Pokręciła głową. Geny, cenne geny Atrydów – tylko one się liczyły. Potrzeba sięga głębiej niż zakaz. Akt zapłodnienia to dla Bene Gesserit coś więcej niż łączenie plemnika z jajem. Chodzi o przejęcie psychiki.

Matka Wielebna już przejrzała ten chytry gambit. Paul czynił Bene Gesserit współnikiem w postępku, który wywoła powszechne oburzenie... jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw. Nie mogą ogłosić ojcostwa, któremu zaprzeczy Imperator. Za tę cenę zgromadzenie kupi sobie atrydzkie geny, ale przenigdy nie kupi tronu.

Omiotła wzrokiem zebranych w saloniku: biernego i wyczekującego Stilgara, gholę z obliczem zastygłym w jakimś transie, Alię zapatrzoną w gholę... i Paula z gniewem pod maską uprzejmości na twarzy.

– To twoja jedyna propozycja?

– Tak, jedyna.

Zerknęła na gholę, dostrzegłszy przelotne drżenie, które przebiegło mu po policzkach. Nadmiar emocji?

– Hej, ghola! – zawołała. – Czy taka propozycja powinna zostać złożona? A jeśli tak, to czy powinna zostać przyjęta? Spraw się jako mentat.

Metalowe źrenice spojrzały na Imperatora.

– Odpowiedz, jeśli chcesz – rzekł Paul.

Ghola zwrócił połyskliwe oczy na Matkę Wielebną i raz jeszcze ją zadziwił, uśmiechając się.

– Propozycja jest korzystna tylko na tyle, na ile korzystna jest proponowana rzecz – stwierdził. – Zaproponowano tu wymianę w rodzaju życie za życie, interes wysokiej klasy.

Alia odgarnęła z czoła pasemko miedzianych włosów.

– A co jeszcze kryje się za tą propozycją? – spytała.

Chociaż pytanie wprost paliło ją, Matka Wielebna nawet nie zerknęła na Alię. Tak, konsekwencje tego były dużo poważniejsze. Dziewczyna, co prawda, jest Złym Duchem, ale nie można odmówić jej statusu Matki Wielebnej wraz z dobrodziejstwami tego tytułu. Gaius Helena Mohiam nie czuła się w tym momencie pojedynczą osobą, lecz tymi wszystkimi, które zaludniały jej pamięć. Wszystkie były teraz zaalarmowane – każda Matka Wielebna, którą wchłonęła, zostając kapłanką zgromadzenia żeńskiego. Alia znajdowała się w takim samym położeniu.

– Co jeszcze? – powtórzył ghola. – Można by jedynie spytać, dlaczego czarownice Bene Gesserit nie korzystają z metod Tleilaxan.

Wszystkie Matki Wielebne w Gaius Helenie Mohiam wzdrygnęły się razem z nią. Tak, Tleilaxanie robili paskudne rzeczy. Gdyby otworzyć szlabany przed sztucznym zapłodnieniem, czy następnym krokiem byłoby pójście w ślady Tleilaxan – kontrolowana mutacja?

Obserwując grę emocji wokół siebie, Paul nagle poczuł, że już nie zna tych ludzi. Widział samych obcych. Nawet Alia była obca.

– Jeśli puścimy geny Atrydów z prądem rzeki Bene Gesserit, kto wie, co z tego wyniknie? – powiedziała dziewczyna.

Gaius Helena Mohiam obróciła gwałtownie głowę i napotkała wzrok Alii. Na mgnienie oka dwie Matki Wielebne połączyły się we wspólnej myśli: „Co w ogóle kryje się za postępowaniem Tleilaxan? Ghola jest ich dziełem... Czy to on podsunął Paulowi ten pomysł? Czy Paul spróbuje bezpośrednich targów z Bene Tleilax?”

Oderwała oczy od Alii, mając poczucie wewnętrznego rozdarcia i własnych ułomności. Pułapka szkolenia Bene Gesserit, przypomniawszy sobie, kryła się w nabywaniu mocy: moce sprawiają, że człowiek staje się próżny i zarozumiały. Ale zwodzą użytkownika. Ulega on wierze, że moc pokonuje każdą przeszkodę... łącznie z jego ignorancją.

Upomniawszy się, że dla Bene Gesserit liczy się tutaj jedno. Piramida pokoleń, której wierzchołkiem jest Paul Atryda... i jego siostra, Zły Duch. Mylny dobór na szczycie i całą piramidę trzeba będzie odbudować... sięgając wiele pokoleń wstecz w równoległych liniach i krzyżując osobniki pozbawione cech w najczystszej postaci.

„Kontrolowana mutacja – pomyślała. – Czy Tleilaxanie rzeczywiście to praktykują? Kusząca rzecz!” Potrząsnęła głową – lepiej było pozbyć się

takich myśli.

– Odrzucasz propozycję? – zapytał Paul.

– Zastanawiam się nad nią.

Ponownie spojrzała na jego siostrę. Optymalny partner dla tej Atrydki przepadł na zawsze... zabity przez Paula. Jednak pozostawała inna możliwość stworzenia potomka z pożądanymi cech. Paul miał czelność zaproponować Bene Gesserit zwierzęcy rozplód! Ile naprawdę gotów jest zapłacić za życie swojej Chani? Czy zgodzi się na skrzyżowanie z własną siostrą?

– Zdradź mi, nieskazitelny ideale wszelkiej świętości, czy Irulana ma cokolwiek do powiedzenia w sprawie twojej propozycji? – spytała, grając na zwłokę.

– Irulana robi to, co jej każesz – warknął Paul.

„To prawda” – pomyślała Mohiam. Zebrawszy się w sobie, rozpoczęła nowy gambit.

– Jest dwoje Atrydów – stwierdziła.

Odgadując, o co chodzi starej czarownicy, Paul poczuł falę gorącej krwi na twarzy.

– Licz się ze słowami – rzekł.

– Chcesz się zwyczajnie *posłużyć* Irulaną do osiągnięcia własnych celów, co?

– Czyż nie została wyszkolona, żeby do czegoś posłużyć?

„A wyszkoliłyśmy ją my, to właśnie mi powiedział – pomyślała Mohiam. – Cóż... Irulana to wydany grosz. Czy można raz jeszcze wydać wydany grosz?”

– Osadzisz dziecko Chani na tronie? – zapytała.

– Na *moim* tronie – podkreślił Paul. Zerknął na Alię, zastanawiając się nagle, czy ona zna wykluczające się wzajemnie możliwości płynące z tej wymiany? Miała zamknięte oczy, zastygła w nienaturalnym bezruchu. Z jaką duchową siłą się zadała? Patrząc na siostrę, poczuł się jak patyk unoszony przez fale. Alia była na brzegu, który oddalał się od niego.

Matka Wielebna podjęła decyzję.

– To zbyt duża odpowiedzialność dla jednej osoby – powiedziała. – Muszę się skonsultować z moją radą na Wallach. Mogę przekazać wiadomość?

„Jakbyś potrzebowała mojego pozwolenia” – pomyślał Paul.

– Zgoda – odparł. – Tylko nie zwlekajcie zbyt długo. Nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy wy będziecie się naradzać.

– Chcesz się układać z Bene Tleilax? – Głos gholi zabrzmiał ostrym dysonansem.

Alia otworzyła szeroko oczy i zapatrzyła się na gholę, jak gdyby znienacka obudził ją jakiś groźny intruz.

– Nie powzięłem takiego zamiaru – odparł Paul. – Zamierzam udać się na pustynię, jak tylko da się to zorganizować. Nasze dziecko urodzi się w siczy.

– Mądra decyzja – śpiewnie pochwalił go Stilgar.

Alia unikała wzroku Stilgara. To była zła decyzja. Czuła to każdym włóknom swego ciała. Paul *musiał* to wiedzieć. Dlaczego ustawił się na takiej ścieżce?

– Czy Bene Tleilax zaproponowali swoje usługi? – spytała. Zauważyła, że Mohiam w napięciu oczekuje odpowiedzi.

Paul pokręcił głową.

– Nie. – Spojrzał na Fremena. – Stil, załatw przekazanie wiadomości na Wallach.

– Tak jest, mój panie.

Obróciwszy się, Paul stał bez słowa, kiedy Stilgar wzywał strażę i wychodził ze starą czarownicą. Wyczuwał, że Alia zastanawia się, czy nie zadać mu więcej pytań. Zamiast tego zwróciła się do gholi.

– Mentacie, czy Tleilaxanie zaoferują usługi memu bratu?

Ghola wzruszył ramionami.

Paul rozmyślał. „Tleilaxanie? Nie... przynajmniej nie tak, jak ona sądzi”. Pytanie zdradzało, że nie widziała tu możliwości wyboru. No tak... wizje zmieniają się od wieszczki do wieszczki. Czemuż by nie od brata do siostry? Rozmyślał... rozmyślał... Wracał od każdej myśli, notując strzępki pobliskiej rozmowy.

– ...musisz wiedzieć, co Tleilaxanie...

– ...kompletność danych zawsze jest...

– ...poważne wątpliwości co do...

Obrócił się i spojrzał na siostrę, przyciągając jej wzrok. Wiedział, że Alia zobaczy łyzy na jego policzkach i będzie tym zdziwiona. Niech się dziwi. Zdziwienie jest teraz łaską. Popatrzył na gholę i mimo metalowych oczu dostrzegł tylko Duncana Idaho. Co widzą te metalowe oczy?

„Jest wiele stopni zdolności widzenia i wiele stopni ślepoty” – pomyślał. Wrócił pamięcią do parafrazy wersetu z Biblii Protestancko-Katolickiej:

„Jakich brakuje nam zmysłów, że nie widzimy innego świata, który nas otacza?”

Czy te metalowe oczy są zmysłem innym niż wzrok?

Wyczuwając jego bezdenne smutek, Alia podeszła do brata. We fremieńskim gościu podziwu dotknęła łzy na jego policzku.

– Nie wolno tych, których kochamy, żałować przed ich odejściem.

– Przed ich odejściem – wyszeptał Paul. – Wyjaśnij mi, siostrzyczko, co znaczy „przed”?



Cała ta zabawa w boga i kapłana wylazi mi bokiem! Myślisz, że nie widzę własnej mitologii? Wróć po rozum do swych danych, Hayt. Wprowadziłem moje rytuały do najbardziej podstawowych czynności człowieka. Ludzie jedzą w imię Muad'Diba! Kochają się w imię moje, rodzą się w imię moje... przechodzą przez ulicę w imię moje. W najlubszej chałupie odległego Gangiszri nie dźwigną belki nośnej bez błogosławieństwa w imię Muad'Diba!

– *Księga diatryb z Kroniki Hayta*

– Sporo ryzykujesz, opuszczając swój posterunek i przychodząc do mnie o tej porze. – Edryk świdrował Scytale'a wzrokiem przez ścianę zbiornika.

– Myślisz w bardzo ograniczony sposób – powiedział maskaradnik. – Któż to składa ci wizytę?

Edryk niepewnie przyjrzał się zwalistej postaci, ciężkim powiekom i tępowym rysom. O tak wczesnej porze metabolizm gildianina jeszcze nie przestawił się z nocnego odpoczynku na pełną konsumpcję melanżu.

– To nie jest postać, w której chodziłeś po ulicach? – spytał.

– Nikt by się nie obejrzał za osobnikami, którymi dzisiaj byłem.

„Kameleonowi się wydaje, że zmieniając wygląd, robi się niewidzialny” – pomyślał Edryk z rzadką u niego przenikliwością. I zastanowił się, czy swym udziałem w spisku rzeczywiście ukrywa ich przed wszystkimi proroczymi mocami. Takiej siostry Imperatora, na przykład...

Potrząsnął głową, mącąc pomarańczowy gaz w zbiorniku.

– Co cię sprowadza?

– Trzeba zmobilizować podarunek do szybszego działania – powiedział Scytale.

– Tego się nie da zrobić.
– Musimy znaleźć jakiś sposób – nalegał maskaradnik.
– Dlaczego?
– Źle się dzieje. Imperator usiłuje wbić klin między nas... Już złożył propozycję Bene Gesserit.
– Och, o to chodzi.
– O to! Musisz popchnąć gholę do...
– Wy go zrobiliście, Tleilaxaninie – przerwał mu bezpardonowo Edryk. – Nie udawaj teraz głupiego. – Zawahał się, po czym podpłynął bliżej do ścianki zbiornika. – Chyba że nakłamałeś nam o tym podarunku?
– Nakłamałem?
– Powiedziałaś, że wystarczy wycelować tę broń i uruchomić, nic więcej. Po otrzymaniu gholi nie wolno nim manipulować.
– Każdym gholą można potrząsnąć – rzekł Scytale. – Wystarczy go wypytać o jego pierwotne istnienie.
– Co to da?
– Pobudzi go do działań służących naszym celom.
– Jest mentatem o zdolnościach logicznego myślenia i rozumowania – sprzeciwił się Edryk. – Może się domyślić, co robię... albo co robi ta siostrzyczka. Jeśli ona skupi na nas uwagę...
– Ukrywasz nas w końcu przed wieszczką, czy nie?
– Nie boję się wieszczek – odparł gildianin. – Przejmuję się logicznym rozumowaniem, żywymi szpiegami, fizycznymi siłami Imperium, kontrolą nad przyprawą i...
– Można spokojnie patrzeć na Imperatora i jego moce, jeśli się pamięta, że wszystkie rzeczy są skończone – zauważył Scytale.

Edryk wzdrygnął się niespodziewanie, wymachując kończynami niczym jakaś niesamowita traszka.

Widok ten nappełnił Scytale’a wstrętem. Nawigator Gildii miał na sobie zwyczajowy, czarny trykot, wybrzuszony w pasie od przeróżnych zasobników. Mimo to, poruszając się, sprawiał wrażenie nagiego. To przez te płynne, szerokie ruchy, uznał Scytale, raz jeszcze uderzony kruchością więzi między spiskowcami. Nie stanowią zgranego zespołu. A to jest słabość.

Sternik odzyskał równowagę. Wytrzeszczał oczy na Scytale’a, widząc wszystko na pomarańczowo za sprawą gazu, w którym pływał. „Jaki plan

ocalenia własnej skóry ma w odwodzie ten maskaradnik?” – głowił się. Tleilaxanin zachowywał się w nieprzewidywalny sposób. To zły znak.

Z głosu i ruchów gildianina Scytale wyczytał, że sternik bardziej boi się siostry niż brata. Ta nagła myśl rozbłysła niczym lampka na ekranie świadomości. Alarmowa lampka. Czy przeoczyli coś ważnego w związku z Alią? Czy ghola wystarczy do zniszczenia obojga?

– Wiesz, co się mówi o Alii? – zapytał prowokacyjnie.

– Co masz na myśli? – Rybolud był ponownie wzburzony.

– Że filozofia i kultura nigdy nie miały większej patronki – powiedział Scytale. – Ona łączy piękno i przyjemność w...

– Co trwałego jest w pięknie i przyjemności? – wściekł się Edryk. – Zniszczymy oboje Atrydów! Kultura! Szerzą kulturę jak zarazę swego panowania. Piękno! Mamią pięknem, które zniewala. Krzewią niewiedzę... nie ma nic łatwiejszego. Przewidują wszystko. Kajdany! Wszystko, co robią, zakuwa w kajdany, zniewala. Ale niewolnicy zawsze powstają.

– Siostra może mieć męża i potomstwo – zauważył Scytale.

– Dlaczego o niej mówisz?

– Imperator może wybrać dla niej męża.

– Niech wybiera. Jest już za późno.

– Nawet ty nie stworzysz chwili przyszłości – przestrzegł go Scytale. – Nie jesteś stwórcą... zresztą Atrydzi też nie. – Pokiwał głową. – Nie możemy zbyt wiele zakładać z góry.

– Szkoda języków na głędzenie o chwili stworzenia – sprzeciwił się Edryk. – Zostawmy motłochowi strojenie Muad'Diba w piórka mesjasza. Co ty pleciesz? Dlaczego podnosisz takie kwestie?

– To ta planeta – rzekł Scytale. – *Ona* podnosi kwestie.

– Planety nie mówią!

– Ta mówi.

– Co proszę?

– Mówi o chwili stworzenia. Nocą wiatr nawiewa piasek: to jest chwila stworzenia.

– Nawiewa piasek...

– Kiedy człowiek się budzi, brzask ukazuje mu nowy świat... świeży i gotowy na ślady jego stóp.

„Ponowa piasku? – rozmyślał Edryk. – Chwila stworzenia?” Zdjął go nagły lęk. Kokon zbiornika, ściany pokoju, wszystko zamknęło go w uścisku, dusiło. „Ślady na piasku”.

– Gadasz jak Fremen – rzekł w końcu.

– Bo to jest fremeńskie myślenie, w dodatku pouczające – przyznał Scytale. – Oni mówią, że Dżihad Muad’Diba zostawia ślady we wszechświecie tak, jak Fremen zostawia ślady na piasku. Odcisnęli ślady na życiu ludzi.

– I co?

– Zapada nowa noc. Wieje wiatr.

– Tak – powiedział Edryk. – Dżihad jest skończony. Muad’Dib posłużył się swoim dżihadem i...

– Nie posłużył się dżihadem – zaprzeczył Scytale. – Dżihad posłużył się nim. Wydaje mi się, że on powstrzymałby dżihad, gdyby tylko mógł.

– Gdyby mógł? Wystarczyło, żeby tylko...

– Och, przymknij się! – warknął Scytale. – Nie da się zatrzymać umysłowej epidemii. Przeskakuje z człowieka na człowieka mimo parseków przestrzeni. Jest niesłychanie zaraźliwa. Uderza od nie chronionej strony, w miejscu, gdzie ludzie zachowują prątki innych podobnych plag. Kto może powstrzymać coś takiego? Muad’Dib nie ma antidotum. To coś korzeniami tkwi w chaosie. Czy sięgają tam jakiekolwiek rozkazy?

– Więc zostałeś zarażony? – spytał Edryk.

Z wolna obrócił się w pomarańczowym obłoku, rozmyślając nad wyraźną nutą strachu w słowach Scytale’a. Czy maskaradnik odciął się od spisku? Nie sposób było zajrzeć teraz w przyszłość, żeby to sprawdzić. Przyszłość przypominała mętny strumień zawalony kłódami jasnowidzów.

– Wszyscy jesteście skażeni – rzekł Scytale, nie zapominając, że inteligencja Edryka ma nieprzekraczalne granice. Jak przedstawić gildianinowi tę sprawę, żeby wszystko zrozumiał?

– Ale kiedy go zniszczymy – powiedział sternik – skaże...

– Powinienem machnąć ręką na twoją ciemnotę – przerwał mu Tleilaxanin. – Obowiązek jednak mi nie pozwala. Poza tym jest niebezpieczna dla nas wszystkich.

Edryk zakołysał się z oburzenia, po czym odzyskał równowagę, wierzgnąwszy płetwiastą stopą. Pomarańczowe kłębowisko gazu zawirowało mu wokół nóg.

– Dziwne rzeczy wygadujesz – powiedział.

– To wszystko jest jak ładunek wybuchowy – rzekł Scytale opanowanym głosem. – Gotowe eksplodować w każdej chwili. Kiedy wybuchnie, odłamki polecą przez stulecia. Nie widzisz tego?

– Wcześniej jakoś radziliśmy sobie z religiami – odparł sternik. – Jeśli ta nowa...

– To nie jest po prostu religia! – Maskaradnik był ciekaw, co by powiedziała Matka Wielebna na to toporne doksztalcanie ich towarzysza. – Religijne rządy są czymś innym. Muad'Dib wszędzie osadził swoich kwizarów, zastępując nimi dawne struktury władzy. Jednak nie ma stałej administracji państwowej ani sieci ambasad. Ma biskupstwa, oazy władzy. Pośrodku każdej oazy jest człowiek. Ludzie uczą się, jak zdobyć i utrzymać władzę. Ludzie są zawistni.

– Dopóki są podzieleni, będziemy połykać ich jednego po drugim. – Edryk uśmiechnął się z zadowoleniem. – Odrąb głowę, a ciało upadnie...

– To ciało ma dwie głowy – rzekł Scytale.

– Siostra... która może wyjść za mąż.

– Która z pewnością wyjdzie za mąż.

– Nie podoba mi się twój ton, Scytale.

– A mnie twoja tępota.

– Co z tego, że wyjdzie za mąż? Zachwieje to naszymi planami?

– To zachwieje wszechświatem.

– Ależ oni nie są wyjątkowi. Ja sam mam zdolności, które...

– Jesteś jak niemowlę. Raczkujesz tam, gdzie oni stawiają milowe kroki.

– Nie są wyjątkowi!

– Zapominasz, gildianinie, że my już raz stworzyliśmy Kwisatz Haderach. To istota, którą wypełnia spektakl czasu. To forma bytu, której nie można zagrozić bez wystawienia się na takie samo niebezpieczeństwo. Muad'Dib wie, że uderzymy w jego Chani. Musimy działać szybciej niż dotąd. Musisz dotrzeć do gholi i zmotywować go, jak powiedziałem.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Razi nas grom.



*O, czerwiu wielozęby,
Zali przemożesz pokusę?
Ciało i dech cię wabi
Do ziemi początków wszelkich,
Aby pożerać demony we wrotach ognia!*

*Nie masz dżubby pośród strojów twoich,
Co by okryła upojności boskie
Lub ognie pożądania!*

– Psalm czerwia z Księgi Diuny

Paul zmęczył się strasznie na parkiecie treningowym, walcząc krysnożem i krótkim mieczem przeciwko gholi. Stojąc teraz przy oknie, wyglądał na plac świątynny i próbował sobie wyobrazić, co się dzieje z Chani w lecznicy. Poczula się źle nad ranem, szóstego tygodnia ciąży. Ma najlepszych lekarzy. Zawiadomiał go, gdy będą coś wiedzieli.

Ciemne chmury pyłu zamroczyły popołudniowe niebo nad placem. Fremeni nazywają taką pogodę „kurnym powietrzem”.

Czy lekarze nigdy się nie odezwą? Każda chwila nadciągała ociężale, nie kwapiąc się z wkroczeniem do jego wszechświata.

Wyczekiwanie... Wyczekiwanie... Żadnej wiadomości od Bene Gesserit z Wallach. Specjalnie zwlekają, rzecz jasna.

Prorocza wizja odnotowała te chwile, Paul jednak odciął świadomość od jasnowidzenia, wybierając rolę płotki czasu, płynącej nie tam, dokąd chce, tylko tam, dokąd niosą ją prądy. Przeznaczenie nie dopuszczało już do żadnej walki.

Słysząc było, jak ghola umieszcza broń na stojakach i przegląda sprzęt. Paul westchnął, sięgnął do pasa i wyłączył tarczę. Mrówki przebiegły mu po skórze i zanikły wraz z polem tarczy.

„Stawię czoło wydarzeniom, kiedy przyjdzie Chani” – powiedział sobie w duchu. Wtedy będzie dość czasu na pogodzenie się z faktem, że to, co ukrył przed nią, przedłużyło jej życie. „Czy to źle – myślał – że wolę mieć Chani niż potomka?” Ale jakim prawem dokonał za nią wyboru? Głupie myśli! Kto by się zawahał, jeśli alternatywą były piekło niewoli, katusze, śmiertelna rozpacz... i coś jeszcze gorszego.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i kroki Chani.

Odwrócił się.

Chani miała mord w oczach. Szeroki fremeński pas ściągający w talii złotą suknię, naszyjnik utworzony z talionów wody, jedna ręka oparta na biodrze, jak zawsze blisko noża i przenikliwe spojrzenie, jakim na powitanie lustrowała każdą komnatę – wszystko to stanowiło w niej jedynie tło dla żądzy krwi.

Otworzył ramiona i przygarnął ją mocno.

– Ktoś – powiedziała chrapliwie do jego piersi – od długiego czasu karmił mnie środkiem antykoncepcyjnym... nim rozpoczęłam tę nową dietę. Będą

przez to kłopoty z porodem.

– Ale są na to jakieś leki?

– Niebezpieczne. Wiem, kto to robił! Zabiję ją za to!

– Sihaja – wyszeptał, przyciskając ją mocno, żeby opanować nagłe drżenie. – Urodzisz nam upragnionego dziedzica. Czy to nie wystarczy?

– Moje życie szybciej się wypala. – Wtuliła się w niego. – Teraz poród określa moje życie. Lekarze powiedzieli, że to postępuje w zastraszającym tempie. Muszę jeść i jeść... i przyjmować więcej przyprawy... jeść przyprawę, pić przyprawę. Zapłaci mi za to krwią!

Pocałował ją w policzek.

– Nie, Sihaja – rzekł. – Nikogo nie zabijesz. – „Irulana przedłużyła ci życie, kochana – pomyślał. – Dla ciebie czas porodu jest czasem śmierci”.

Miał wrażenie, że tajony smutek wyssał mu właśnie szpik z kości i wylał z niego życie do jakiejś czarnej flaszki.

Chani uwolniła się z jego objęć.

– Nie można jej wybaczyć!

– Kto tu mówi o wybaczeniu?

– To dlaczego nie mam jej zabić?

Pytanie było tak naturalne, tak fremeńskie, że Paul omal nie uległ napadowi histerycznego śmiechu.

– Bo to nic nie da – uciekł w słowa.

– Ty to *widziałeś*?

Wizja przyszła ze wspomnieniem. Aż ścisnęło go w dołku.

– Co widziałem... Co widziałem... – mamrotał. Był sparaliżowany wizją zdarzeń z każdej strony wpasowujących się w teraźniejszość. Czuł się przykuty do przyszłości, która zbyt często odsłaniana, opłotła go ciasno niczym zachłanny sukub. Tak zaschło mu w gardle, że aż się dławił. „Czyżbym podążał za syrenim śpiewem własnego proroctwa – przyszło mu do głowy – aż zostałem strącony w bezlitosną teraźniejszość?”

– Powiedz mi, co widziałeś – poprosiła Chani.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie wolno mi jej zabić?

– Bo o to proszę.

Patrzył, jak ona to przyjmuje. Zrobiła to tak, jak piasek przyjmuje wodę: wchłaniając go i kryjąc w sobie. „Czy pod jej zapalczywością i gniewem ukrywa się duch pokory?” – zdziwił się. I zaraz uświadomił sobie, że życie w królewskiej twierdzy w ogóle nie zmieniło Chani. Po prostu zatrzymała

się tu na jakiś czas, czas postoju w wędrówce ze swoim mężczyzną. Nie straciła niczego z ducha pustyni.

Odsunęła się od niego, zerkając na gholę, który stał przy wewnętrznym kręgu planszy treningowej.

– Walczyłeś z nim? – zapytała.

– I dobrze mi to zrobiło.

Prześliznęła się wzrokiem po kręgu na parkiecie i wróciła do metalowych oczu gholi.

– Mnie się to nie podoba – powiedziała.

– Nie przewidziano go do zamachu na mnie.

– Widziałeś *to*?

– *Nie widziałem!*

– To skąd wiesz?

– Bo on jest więcej niż gholą. Jest Duncanem Idaho.

– Stworzonym przez Bene Tleilax.

– Stworzyli więcej, niż zamierzali.

Pokręciła głową, szorując rogiem chusty nezhoni po kołnierzu sukni.

– Chyba nie zaprzeczysz, że gholą jest gholą?

– Hayt – zawołał Paul – czy mam zginąć z twojej ręki?

– Zmieniając tkanekę tu i teraz, zmienia się przyszłość – odparł gholą.

– To żadna odpowiedź! – oburzyła się Chani.

– Jak umrę, Hayt? – spytał Paul podniesionym głosem.

Światło odbiło się w sztucznych oczach.

– Mówi się, mój panie, że umrzesz od pieniędzy i władzy.

Chani zeszywniała.

– Jak on śmie tak mówić do ciebie?

– Mentat jest szczery – stwierdził Paul.

– Czy Duncan Idaho był prawdziwym przyjacielem? – spytała.

– Oddał za mnie życie.

– Szkoda – szepnęła – że nie można przywrócić gholi jego pierwotnego jestestwa.

– Nawrócisz mnie? – Gholą skierował wzrok na Chani.

– O co mu chodzi? – zapytała.

– O nawrócenie w znaczeniu zawrócenia – rzekł Paul. – Ale nie ma drogi powrotnej.

– Każdy człowiek nosi własną przeszłość – powiedział Hayt.

– I każdy gholą? – zapytał Paul.

– Poniekąd, mój panie.

– Więc jak jest z tą przeszłością w twoim zagadkowym ciele?

Chani spostrzegła, że pytanie wzburzyło gholę. Widziała jego przyspieszone ruchy, dłonie zaciśnięte w pięści. Popatrzyła na Paula, nie rozumiejąc, po co to robi. Czyżby istniał jakiś sposób przywrócenia tej istocie człowieka, którym kiedyś była?

– Czy kiedykolwiek ghola pamiętał swą prawdziwą przeszłość?

– Było wiele prób. – Hayt utkwiał wzrok w podłodze przy swoich stopach.

– Żadnemu jednak nie przywrócono pierwotnej jaźni.

– Ale pragniesz, żeby tak się stało – stwierdził Paul.

Martwe oczy gholi wbiły się w niego z bolesnym natężeniem.

– Tak!

– Jeśli jest jakiś sposób... – rzekł Paul łagodniej.

– To ciało – Hayt dotknął czoła lewą dłonią, jakby w niezwykłym salucie – nie jest moim pierwotnym ciałem. Ono... powtórnie się narodziło. Jedyne postać jest znajoma. Maskaradnik dokonałby tego równie dobrze.

– Nie tak dobrze – powiedział Paul. – I nie jesteś maskaradnikiem.

– To prawda, mój panie.

– Skąd pochodzi twa postać?

– Z genetycznej odbitki oryginalnych komórek.

– Gdzieś – rzekł Paul – jest kształtotwórcze coś, pamiętające postać Duncana Idaho. Podobno w starożytności, przed Dżihadem Butleriańskim, badano ten obszar. Jaki jest zakres tej pamięci, Hayt? Czego się dowiedziała od pierwowzoru?

Ghola tylko wzruszył ramionami.

– A jeśli on nie był Idaho? – zapytała Chani.

– Był.

– Skąd ta pewność?

– Jest Duncanem Idaho w każdym calu. Nie wyobrażam sobie siły tak potężnej, by utrzymywała taką postać bez chwili rozluźnienia, bez najmniejszego odstępstwa...

– Mój panie! – zaprotestował Hayt. – To, że nie potrafimy czegoś sobie wyobrazić, nie wyklucza tego z rzeczywistości. Są rzeczy, które muszę robić jako ghola, a których nie zrobiłbym jako człowiek.

Paul popatrzył na Chani.

– Widzisz?

Skinęła głową.

Odwrócił się, żeby ukryć bezdenne smutek. Podeszedł do drzwi balkonowych i odsłonił kotary. W raptownym zmroku płonęły światła. Mocniej ściągnął się pasem, nasłuchując głosów za sobą.

Cisza.

Zawrócił od okna. Chani jak zaklęta stała ze wzrokiem utkwionym w gholi.

Paul zauważył, że Hayt zamknął się w jakiejś wewnętrznej komnacie istnienia – wrócił na miejsce gholi.

Chani obejrzała się, usłyszawszy kroki Paula. Nadal była pod urokiem wyłuskanej przez niego chwili. Na tę krótką chwilę ghola stał się istotą z krwi i kości. Przez tę krótką chwilę był człowiekiem, którego się nie lękała, przeciwnie – lubiła go i podziwiała. Teraz pojęła, dlaczego Paul to robił. Chciał, żeby zobaczyła tego *człowieka* w ciele gholi.

Spojrzała na Paula.

– Tamten człowiek... Czy to był Duncan Idaho?

– To był Duncan Idaho. Nadal tam jest.

– Czy on pozwoliłby, żeby Irulana dalej żyła?

„Woda nie wsiąkała zbyt głęboko” – pomyślał Paul.

– Gdybym tak rozkazał.

– Nie rozumiem – rzekła. – Czy nie powinienes być wściekły?

– Jestem.

– Nie wydajesz się... wściekły. Raczej smutny.

Zamknął oczy.

– Tak. To też.

– Jesteś moim mężczyzną. Wiem to, jednak są chwile, kiedy nagle cię nie rozumiem.

Paul znienacka odniósł wrażenie, że maszeruje w głąb długiej jaskini. Maszerowały jego nogi – stopa za stopą – ale myśli poszły gdzie indziej.

– Sam siebie nie rozumiem – wyszeptał. Kiedy otworzył oczy, spostrzegł, że odsunął się od Chani.

Fremenka odezwała się skądś z tyłu.

– Kochany, więcej nie zapytam cię, co widziałeś. Wiem tylko, że dam ci upragnione przez nas dziecko.

Skinął głową.

– Od początku to wiedziałem. – Odwrócił się i przyjrzał jej uważnie. Miał wrażenie, że została gdzieś bardzo daleko.

Wyprostowała się i położyła dłoń na brzuchu.

– Jestem głodna. Lekarze mówią, że muszę jeść trzy, cztery razy więcej, niż jadłam dotychczas. Boję się, kochany. To postępuje za szybko.
„Za szybko – przyznał w duchu. – Ten płód wie, że trzeba się spieszyć”.



Na zuchwały charakter Jego czynów wskazuje fakt, że Muad'Dib od początku wiedział, dokąd zmierza, lecz ani razu nie zboczył z obranej ścieżki. Sam jasno to wyłożył, kiedy oznajmił: „Zapewniam was, że już zbliżam się do godziny mojej próby, w której się okaże, że jestem Najniższym Sługą”. Tym sposobem splótł On wszystko w Jednym, aby zarówno przyjaciel, jak i wróg mogli oddawać Mu cześć boską. Z tego i li tylko z tego powodu Jego apostołowie prosili w modlitwie: „Panie, zbaw nas od innych dróg, które Muad'Dib przysłonił Wodami Swego Żywota”. Owych „innych dróg” nie sposób sobie wyobrazić bez najgłębszej odrazy.

– z *Yiam-el-Din* (*Księgi Sądu*)

Posłańcem była dziewczyna, której twarz, imię i rodzina były znane Chani, dzięki czemu przeniknęła kordony imperialnej straży.

Chani ograniczyła się do zidentyfikowania jej na prośbę dowódcy straży Bannerdżiego, który z kolei załatwił jej spotkanie z Muad'Dibem. Bannerdżi kierował się instynktem i poręczeniem, że ojciec dziewczyny należał przed dżihadem do fedajkinów, budzących grozę komandosów śmierci Imperatora. W przeciwnym razie zapewne nie dałby wiary jej zapewnieniom, że wiadomość jest przeznaczona wyłącznie dla Muad'Diba.

Naturalnie przed posłuchaniem w prywatnym gabinecie Paula dziewczyna została prześwietlona i poddana rewizji. Mimo to Bannerdżi wiodł ją za ramię, położywszy drugą dłoń na rękojeści noża.

Niemal w samo południe wprowadzono dziewczynę do gabinetu – wnętrza osobliwie łączącego pustynny świat Fremenów z arystokratycznym światem wysokich rodów. Na trzech ścianach wisiały tu hieręgowe zasłony: misterne kobierce ze scenami z fremeńskiej mitologii. Czwartą zajmował ekran, srebrzystoszara płaszczyzna za owalnym biurkiem, na którym tkwił jeden tylko przedmiot – fremeński zegar piaskowy w kuli armilarnej. Kula armilarna, dryfowy mechanizm z Ixa, pokazywała oba księżyce Arrakis w klasycznym Trygonie Czerwia, na jednej linii ze Słońcem.

Paul stał za biurkiem, spoglądając na Bannerdżiego. Dowódca straży, dzięki rozumowi i wypróbowanej wierności, awansował z szeregow

fremeńskiej policji mimo przemytniczego rodowodu, o którym świadczyło jego imię. Był krępy, prawie otyły. Kosmyki czarnych włosów niczym czub egzotycznego ptaka zachodziły mu na śniade, jakby wilgotne czoło. Błękitne w błękicie oczy o nieruchomym spojrzeniu mogły bez zmiany wyrazu patrzeć na radości lub okrucieństwa. Chani i Stilgar ufali mu. Paul wiedział, że jeśli każe Bannerdziemu niezwłocznie zadusić dziewczynę, ten zrobi to.

– Najjaśniejszy Panie, oto ta kurierka – rzekł Bannerdzi. – Lady Chani powiedziała, że was uprzedziła.

– Tak. – Paul skinął głową.

Co zastanawiające, dziewczyna nie patrzyła na niego. Utkwiła wzrok w kuli armilarnej. Śniada, przeciętnego wzrostu, figura ukryta pod prostą szatą z bogatej, ciemnoczerwonej tkaniny, świadczącej o zamożności. Czarne włosy związane wąską wstążką w kolorze szaty. Szata ukrywała również dłonie dziewczyny. Paul podejrzewał, że splotła je mocno. To by pasowało. Wszystko w niej pasowało do roli, również szata: ostatnie strojne okrycie chowane na taką okazję.

Dał znak Bannerdziemu, żeby odstąpił. Zawahawszy się, dowódca straży puścił dziewczynę. Ta się poruszyła – jeden krok do przodu. Zrobiła to z wdziękiem. Wciąż jednak unikała go wzrokiem.

Paul odchrząknął.

Wreszcie spojrzała na niego, rozszerzając pozbawione białek oczy z bezbłędnie utrafionym cieniem onieśmienia. Dziwnie filigranowa buzia, mały podbródek, wyraz nieufności w złożeniu drobnych ust. Oczy wydawały się nienaturalnie wielkie nad zapadłymi policzkami. Był w niej jakiś smutek, coś, co mówiło, że rzadko się uśmiecha. Miała nawet nikłe, żółtawe omglenie w kącikach oczu, równie dobrze skutek podrażnienia pyłem jak ślad semuty.

Pasowało wszystko.

– Chciałaś się ze mną spotkać – powiedział.

Nadeszła chwila ostatecznej próby dla tej dziewczęcej postaci. Scytale przybrał kształt, sposób bycia, płęć, głos – wszystko, co zdolności pozwoliły mu uchwycić i przyjąć. Ale Muad'Dib znał tę dziewczynę z siczowych czasów. Była wtedy dzieckiem, jednak mieli wspólne doświadczenia. Trzeba dyskretnie unikać pewnych obszarów wspomnień. Scytale odgrywał najtrudniejszą rolę w swoim życiu.

– Jestem Lichna, córka Otejma Berk al Diba.

Cienkim, lecz pewnym głosem podała imię swoje, ojca i ród.

Paul skinął głową. Ujrzał, jak Chani została wyprowadzona w pole. Poczynając od tembru, wszystko było dokładnie skopiowane. Gdyby nie szkolenie Bene Gesserit w używaniu Głosu i spowijająca go pajęczyna proroczej wizji *dao*, ta sztuczka maskaradnika pewnie zwiódłaby nawet jego.

Dzięki wyszkoleniu zauważał pewne zgrzyty: dziewczyna wyglądała na starszą, niżby to wynikało z jej wieku, znać było nadmierny wysiłek w napięciu strun głosowych, sposób trzymania szyi i ramion mijał się o włos z wysublimowaną hardością fremieńskiej postawy. Jednak były i perełki: bogata szata pocerowana dla ukazania sytuacji rodziny... cudownie dokładne rysy twarzy. Świadczyły o pewnym przywiązaniu maskaradnika do odgrywanej postaci.

– Ochłódź się w domu moim, córko Otejma – Paul wypowiedział słowa uroczystego powitania fremieńskiego. – Witamy cię jak wodę po długim marszu.

Drobnymi oznakami odprężenia podkreślił zaufanie, jakie przekazał w tym pozornie serdecznym przyjęciu.

– Przynoszę wiadomość – oświadczyła dziewczyna.

– Wysłannik człowieka jest jak on sam – rzekł Paul.

Scytale westchnął cichutko. Poszło dobrze, ale teraz czekało go główne zadanie: trzeba sprowadzić Atrydę na tę szczególną ścieżkę. Musi stracić fremieńską konkubinę w okolicznościach, w których nie będzie współwinnych. Wina musi leżeć wyłącznie po stronie „wszechmocnego” Muad’Diba. Trzeba przywieść go do ostatecznego uznania własnej porażki i w następstwie do przyjęcia oferty Tleilaxan.

– Jestem dymem, który odbiera sen w nocy. – Scytale posłużył się umownym zwrotem fedajkinów: „Przynoszę złe wieści”.

Paul z wysiłkiem zachował spokój. Czuł się bezbronny, po omacku, niczym ślepiec, błdził duchem w czasie niedostępnym żadnej wizji. Tego maskaradnika kryli potężni jasnowidze. Paul znał jedynie rubieże tych momentów. Wiedział tylko, czego *nie może* zrobić. Nie mógł zabić maskaradnika. To sprowadziłoby przyszłość, do której za wszelką cenę nie wolno dopuścić. Musiał znaleźć sposób, żeby sięgnąć w głąb ciemności i zmienić straszną kolej rzeczy.

– Przekaż mi tę wiadomość – rzekł.

Bannerdzi ustawił się tak, żeby dobrze widzieć twarz dziewczyny. Jakby dopiero teraz go zauważając, spojrzała na dłoń dowódcy straży

spoczywającą na rękojeści noża.

– Niewinny nie wierzy w zło – oznajmiła, spoglądając mu prosto w oczy.

„Aaach, brawo” – przyklasnął Paul w duchu. Coś takiego powiedziałyby prawdziwa Lichna. Ból ścisnął mu serce na myśl o martwej już prawdziwej córce Otejma – szczątkach w piasku. Ale nie było czasu na rozpamiętywanie. Zmarszczył brwi.

Bannerdzi nie spuszczał dziewczyny z oka.

– Wiadomość mam przekazać w tajemnicy – oświadczyła.

– Dlaczego? – zażądał chrapliwym głosem dowódca.

– Bo mój ojciec tak sobie życzy.

– To mój przyjaciel – rzekł Paul. – A ja jestem Fremenem. Mój przyjaciel może więc usłyszeć wszystko, co ja usłyszę.

Scytale zebrał się w postaci dziewczyny. Czy to rzeczywisty fremeński zwyczaj... czy może sprawdzian?

– Imperator może stanowić własne prawa – powiedział. – Oto wiadomość: Mój ojciec pragnie, żebyś go odwiedził, przyprowadzając Chani.

– Dlaczego mam przyprowadzić Chani?

– Jest twoją kobietą i Sajjadiną. To sprawa Wody według naszych plemiennych praw. Chani musi zaświadczyć, że mój ojciec przemawia w zgodzie z fremeńskim duchem.

„Wśród spiskowców rzeczywiście są Fremen” – pomyślał Paul. Ta chwila pasowała do kształtu rzeczy, które na pewno się zdarzą. A on nie miał wyboru – musiał pójść z biegiem tych wydarzeń.

– O czym opowie twój ojciec? – zapytał.

– O spisku przeciwko tobie... spisku wśród Fremenów.

– Dlaczego sam nie przynosi tej wiadomości? – zapytał Bannerdzi.

Dziewczyna patrzyła tylko na Paula.

– Mój ojciec nie może przyjść. Spiskowcy mu nie ufają. Nie dotarłby tu żywy.

– Nie mógł wyjawić ci szczegółów spisku? – nie odpuszczał Bannerdzi. – A mógł narazić córkę, wysyłając ją z taką misją?

– Szczegóły są zawarte w nośniku dystransowym, który może otworzyć tylko Muad'Dib – powiedziała. – Tyle wiem.

– Dlaczego więc nie wysłać dystransu? – zapytał Paul.

– To ludzki dystrans – odparła.

– W takim razie przyjdę – rzekł Paul. – Ale przyjdę sam.

– Chani musi przyjść z tobą!

– Chani spodziewa się dziecka.
– Od kiedy to Fremenka odmawia...
– Moi wrogowie podawali jej wyrafinowaną truciznę – oznajmił Paul. – Czeka ją ciężki poród. Z uwagi na stan zdrowia nie może mi teraz towarzyszyć.

Zanim Scytale zdołał je opanować, na twarzy dziewczyny odmalowały się dziwne w takiej chwili uczucia: zawód i złość. Przypomniawszy sobie, że każda ofiara musi mieć szansę ucieczki – nawet ktoś taki jak Muad'Dib. Spisek w końcu nie upadł. Atryda pozostawał w matni. Był osobnikiem, który strawił życie, budując swój wizerunek, i prędzej umrze, niż stanie się jego antytezą. Tak było z tleilaxańskim Kwisatz Haderach. I z tym też tak będzie. A potem... ghola.

– Pozwól, że poproszę Chani, by sama podjęła decyzję.
– Ja podjąłem decyzję – rzekł Paul. – Pójdiesz zamiast Chani.
– Do tego trzeba Sajjadiny, strażniczki rytuału!
– Czy nie jesteś przyjaciółką Chani?

„Dość! – pomyślał Scytale. – Podejrzewa coś? Nie. Jest po fremeńsku ostrożny. A środek antykoncepcyjny to fakt. W porządku... są inne sposoby”.

– Ojciec kazał mi nie wracać, szukać tu azylu – rzekł. – Powiedział, że nie narazisz mnie na niebezpieczeństwo.

Paul skinął głową. Piękne zagranie. Nie mógł jej odmówić takiego azylu. Powołała się na fremeńskie posłuszeństwo wobec ojca.

– Wezmę żonę Stilgara, Harę – oświadczył. – Powiesz nam, jak trafić do twojego ojca.

– Skąd wiadomo, że można ufać żonie Stilgara?
– Ja to wiem.
– Ale ja nie.

Paul zagryzł wargi.

– Czy twoja matka żyje? – spytał po chwili.
– Rodzona odeszła do Szej-huluda. Przybrana nadal żyje i opiekuje się ojcem. Dlaczego pytasz?

– Ona jest z siczy Tabr?
– Tak.

– Przypominam ją sobie. Zastąpi Chani. – Dał znak Bannerdziemu. – Niech nasi ludzie umieścą Lichnę Otejma w odpowiedniej kwaterze.

Bannerdzi skinął głową. „Ludzie”. To słowo-klucz oznaczało, że wysłanniczka musi się znaleźć pod szczególnym nadzorem. Ujął ją za ramię. Stawiła opór.

- Jak trafisz do mego ojca? – nie poddawała się.
- Opiszesz drogę Bannerdziemu. Jest moim przyjacielem.
- Nie! Ojciec mi zakazał! Nie mogę!
- Bannerdzi? – rzekł Paul.

Dowódca przystanął. Widać było, że szuka w swojej encyklopedycznej pamięci, która pomogła mu zdobyć tak odpowiedzialne stanowisko.

- Znam przewodnika, który może zaprowadzić do Otejma – powiedział.
- Zatem pójdę sam – oświadczył Paul.
- Najjaśniejszy Panie, jeśli was...
- Otejm tak sobie życzy. – Paul ledwo skrywał trawiącą go ironię.
- Najjaśniejszy Panie, to zbyt niebezpieczne – sprzeciwił się Bannerdzi.
- Nawet Imperator musi zakosztować odrobiny niebezpieczeństwa – odparł. – Podjąłem decyzję. Wykonaj rozkaz.

Rad nierad, Bannerdzi wyprowadził maskaradnika z gabinetu.

Paul obrócił się do wygaszonego ekranu za biurkiem. Miał wrażenie, że wyczekuje tąpnięcia głazu, który pędził na oślep gdzieś z wysoka. Czy powinien zdradzić Bannerdziemu prawdziwą naturę wysłanniczki? Nie! Takie zdarzenie nie pojawiło się na ekranie jego wizji. Tutaj najmniejsze odstępstwo groziło powodzią krwi. Musi znaleźć punkt zawieszenia, chwilę, w której mógłby się wyśliznąć z tej wizji.

„Jeśli taka chwila istnieje...”



Bez względu na to, jak egzotyczne stają się cywilizacje, bez względu na ewolucje życia i społeczności, oraz na złożoność interakcji maszyna–człowiek, zawsze pojawiają się interludia samotnej potęgi, kiedy to losy ludzkości, cała przyszłość ludzkości, zależy od relatywnie prostych działań pojedynczych osobników.

– z Bibliksięgu Tleilaxa

Na wysokim moście dla pieszych wiodącym z twierdzy do Urzędu Kwizaratu zaczął utykać. Miało się ku zachodowi i dla osłony trzymał się długich cieni, jednak bystre oczy mogły dopatrzeć się w jego chodzie

czegoś, co by go zdemaskowało. Nie włączył tarczy – doradcy byli zdania, że jej poświęta może wzbudzić podejrzenia.

Spojrzał w lewo. Wstęgi chmur piaskowych niczym listwy żaluzji szatkowały wieczorną zorzę. Powietrze docierające przez filtry filtraka przynosiło suchość hieregu.

Tak naprawdę nie był sam, ale odkąd zarzucił samotne nocne spacerory ulicami Arrakin, po raz pierwszy otaczała go tak luźna sieć ochrony. Krążące wysoko i pozornie bez celu ornitoptery towarzyszyły mu w drodze dzięki noktowizyjnym skanerom i ukrytemu pod dżubłą nadajnikowi. Ulicami spacerowali wyznaczeni ludzie. Jeszcze inni rozproszyli się po mieście, zapoznawszy się z przebraniem Imperatora – fremeńskim strojem, od pustynnych butów temag po naczółek filtraka, i przyciemnioną twarzą. Policzki miał wypchane plastinowymi wkładkami, a z lewej strony żuchwy ciągnął się wodowód.

Doszedłszy do końca mostu, obejrzał się i za kamienną kratą balustrady na balkonie swych komnat mieszkalnych spostrzegł jakiś ruch. Chani, nikt inny. „Szukanie piasku na pustyni” – skwitowała jego wyprawę.

Nie zdawała sobie sprawy z goryczy jego wyboru. Pomyślał, że wybieranie spośród katuszy sprawia, że nawet pośledniejsze z nich są niemal nie do zniesienia.

Przez wypełnioną bólem chwilę ponownie przeżywał rozstanie z Chani. Na koniec w przeblasku tau wychwyciła jego uczucia, ale źle je oceniła. Uznała, że to emocje towarzyszące pożegnaniom kochanków, kiedy przychodzi stawić czoło groźnemu niewiadomemu.

„Chciałbym, żeby to było niewiadome” – pomyślał.

Zostawił już za sobą most i ruszył górnym korytarzem przecinającym gmach urzędu. Świeciły tu lumisfery, spieszyli interesanci. Kwizarat nigdy nie spał. Paul odczytywał wywieszki nad drzwiami, jak gdyby widział je po raz pierwszy. „Faktorzy fortuny”. „Oddzielacze wiatru i alembiki”. „Profetyczne perspektywy”. „Kryteria wiary”. „Religijny sukurs”. „Oręż”. „Krzewienie wiary”...

„Uczciwszy byłby szyld »Krzewienie biurokracji«” – pomyślał.

W całym jego wszechświecie krzewił się podgatunek państwowego urzędnika religijnego. Taki nowy kwizar z reguły był konwertytą. Rzadko zastępował Fremena na kluczowym stanowisku, ale trzymał się stołka wszelkiej synekury. Zażywał melanz tyle dla dobrodziejstw geriatrycznych, co dla pokazania, że stać go na to. Istniał w oderwaniu od swych suwerenów

– Imperatora, Gildii, Bene Gesserit, Landsraad, rodu i kwizaratu. Jego bogami były Procedura i Ewidencja. Służyli mu mentaci i cudowny system gromadzenia danych. „Cel uświęca środki” – mówiła pierwsza zasada w jego katechizmie, chociaż gębę miał pełną butleriańskich frazesów. „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego” – powiadał, ale na każdym kroku zdradzał, że przedkłada maszyny nad ludzi, osoby statystyczne nad fizyczne, daleki, ogólny widok nad bliskie kontakty osobiste, wymagające wyobraźni i inicjatywy.

Gdy Paul dotarł na szczyt rampy z drugiej strony gmachu, usłyszał dzwony zwiastujące wieczorne misterium w świątyni Alii.

Dźwięk dzwonów miał w sobie jakąś przedziwną odwieczność.

Świątynia na przeciwległym krańcu wypełnionego przez tłum placu była nowa, ceremonie niedawno opracowane, a jednak było coś w usytuowaniu jej w pustynnym basenie na skraju Arrakin – coś w naturze niesionego wiatrem piasku, który napoczął już kamień i plasmur, coś w chaosie układu budynków, które wokół niej wyrosły. Wszystko razem tworzyło wrażenie, że przybytek jest prastary, pełen tradycji i odwiecznej tajemnicy.

Znalazł się w ciżbie na dole – klamka zapadła. Jedyne wyszukane przez Bannerdżiego przewodniki zażądały, aby tak się to odbyło. Prędką zgodą Paula nie spodobała się jego ochronie. Jeszcze mniej podobała się Stilgarowi. A najbardziej protestowała Chani.

Nawet otarłszy się o niego, ludzie patrzyli niewidzącym wzrokiem i przepychali się dalej, zostawiając mu zadziwiająco dużo swobody. Wiedział, że traktują go tak, jak nauczono ich traktować Fremena. Zachowywał się jak człowiek z wewnętrznej pustyni. U takich krew nie woda.

W rzece ludzi przyspieszającej ku stopniom świątyni ścisk był jeszcze większy. Chcąc nie chcąc, musieli go teraz dotykać, przez co stał się obiektem zwyczajowych przeprosin: „Przepraszam szanownego pana za tę nieuprzejmość. Nie mogłem jej zaradzić”, „Przepraszam pana. Jak żyję nie widziałem większego tłoku”, „Kajam się, obywatelu świętego miasta. Jakiś cham mnie popchnął”.

Po kilku takich usprawiedliwieniach przestał zwracać na nie uwagę. W słowach tych nie było szczerości, pominawszy niemal zabobonny strach. Przyłapał się za to na rozmyślaniu o długiej drodze, jaką przebył od szczenięcych dni na zamku Kaladan. Gdzie postawił stopę na ścieżce, która doprowadziła go do tej wędrówki przez zatłoczony plac na planecie tak

odległej od Kaladanu? Czy w ogóle postawił stopę na jakiejś ścieżce? Skłamałby, mówiąc, że w którymkolwiek momencie życia uczynił coś z jednego określonego powodu. Złożone były pobudki i siły wchodzące do gry – być może bardziej złożone niż jakikolwiek inny układ sił w historii ludzkości. Ogarnęło go ekscytujące uczucie, że tutaj może jeszcze uniknąć przeznaczenia, które tak wyraźnie widział na tej ścieżce. Ale tłum pchnął go naprzód i oszołomiło go wrażenie zagubienia drogi, utraty kontroli nad własnym życiem.

Tłum popłynął z nim po schodach do portyku świątyni. Gwar przycichł. Zapach strachu przybrał na sile – ostry, kwaśny.

Akolici rozpoczęli już misterium. Ich prosta psalmodia zdominowała inne odgłosy – szepty, powłóczenie nogami, szelest szat, pokasływania – opowiadając o Dalekich Stronach odwiedzanych przez Kapłankę w świętym transie.

*Dosiada czerwia świata!
Skoś burze wiedzie
Do ziemi wolnej od wichru.
Gdy śpimy przy węzowisku,
Strzeże snów naszych.
Przed skwarem pustyni
Kryje nas w chłodu dolinie.
Blask jej białych zębów
Wiedzie nas w nocy.
Na promieniach swych włosów
Unosi nas do nieba!
Ze sobą przynosi
Słodki zapach kwiatów.*

„Balak! – Paul myślał po fremeńsku. – Uwaga! Ona potrafi też wpaść w furję”.

W portyku świątyni stały szpalerem wysokie, smukłe lumituleje naśladujące płomień świecy. Migotały. Migotanie budziło w Paulu wspomnienia o przodkach, chociaż wiedział, że właśnie o to chodzi. Ten wystrój był atawistyczny, sprytnie wymyślony i skuteczny. Przykro było myśleć, że przyłożył do tego rękę.

Tłum wpłynął z nim przez wysokie, metalowe drzwi do ogromnej nawy. W mrocznej przestrzeni wysoko nad głowami mrugały światelka, w drugim końcu zaś jaśniał rześście oświetlony ołtarz. Złudnie skromny, z czarnego drewna inkrustowanego piaskiem w motywy z fremeńskiej mitologii, stał na tle borealnej tęczy utworzonej w polu awa-drzwi podświetlonym ukrytymi lampami. Śpiewający akolici, ustawieni w siedmiu szeregach pod tą spektralną kurtyną, sprawiali niesamowite wrażenie: czarne szaty, białe twarze, poruszające się unisono usta.

Przyglądając się otaczającym go pielgrzymom, Paul nagle pozazdrościł im głębi przeżycia, przekonania, że słuchają prawd, na które on jest głuchy. Jak gdyby posiedli tutaj coś, co jemu nie jest dane, jakąś życiodajną tajemnicę.

Spróbował precyzyjnie się bliżej ołtarza, ale ktoś przytrzymał go za ramię. Rozejrzawszy się, napotkał wzrok sędziwego Fremena – błękitne w błękitcie oczy pod nawisłymi brwiami, błysk rozpoznania. W pamięci zaświtało mu imię: Razyr, towarzysz z siczowych czasów.

Wiedział, że w takim ścisku nie uniknie ciosu, jeśli Razyr planuje zamach.

Starzec przepchnął się bliżej. Jego druga dłoń kryła się pod zapiaszczoną szatą, bez wątplenia zaciśnięta na rękojeści krysnoża. Paul, na ile mógł, zebrał się w sobie do odparcia ataku. Fremen przybliżył usta do jego ucha i szepnął:

– Pójdziemy z resztą.

Hasło rozpoznawcze przewodnika. Paul skinął głową.

Razyr wyprostował się i zwrócił twarzą do ołtarza.

– Przychodzi ze wschodu – zaintonował chór akolitów. – Za nią wstaje słońce. Wszystko jest odkryte. W blasku jej oczy widzą wszystkie rzeczy, jasne i ciemne.

Jękliwy rebab wybił się nad głosy, uciszył je i zamilkł. Tłum jak zelektryzowany popłynął kilka metrów do przodu. Stanęli w ciżbie ciał, w powietrzu dusznym od oddechów i woni przyprawy.

– Szej-hulud zapisuje czysty piasek! – krzyknęli akolici.

Paul miał wrażenie, że oddycha z wszystkimi w jednym rytmie. Z mroku za tęczą awa-drzwi odezwał się żeński chór:

– Alia... Alia... Alia... – Zaśpiew był coraz głośniejszy, narastał, aż nagle ucichł.

Chór ponownie podjął cichą psalmodię:

*Uśmierza wszystkie burze.
Wzrokiem zabija wrogów
I torturuje niewiernych.
Z iglic Tuono,
Skąd wstaje świt,
Skąd płynie woda,
Widać jej cień.
W ogniu skwarneho lata
Daje nam chleb i mleko
Chłodne i pachnące.
Wzrokiem roztopia wrogów,
Katuje naszych katów,
Przenika tajemnice.
Alia... Alia... Alia...*

Głosy stopniowo zamarły.

Paul miał tego dość. „Co my wyprawiamy?” – pomyślał. Alia była młodą czarownicą, ale doroślała. „Dorośleć znaczy nikczemnieć” – przemknęło mu przez głowę.

Zbiorowa psychoza w świątyni pożerała mu duszę. Wyczuwał cząstkę siebie, która jednoczyła się z wszystkimi tymi ludźmi, ale reszta jego istnienia wyrażała skrajny sprzeciw. Stał przybity, osamotniony w poczuciu własnej winy, której nigdy nie zdoła odkupić. Ogrom wszechświata na zewnątrz przepełniał jego świadomość. Jak jeden człowiek mógł się łudzić, że jednym rytuałem skroi taki ogrom na miarę wszystkich ludzi?

Wzdrygnął się.

Wszechświat stawiał mu opór na każdym kroku. Wymykał mu się z rąk, zwodził niezliczonymi pozorami. Taki wszechświat nigdy nie zgodzi się z żadnym narzuconym mu przez niego kształtem.

W świątyni zapadła głęboka cisza.

Z ciemności za tęczową zorzą wynurzyła się Alia. Była w żółtej szacie lamowanej atrydzką zielenią – żółta jak słońce, zielona jak życiodajna śmierć. Niespodziewanie Paul pomyślał, że wyszła tylko dla niego, dla niego jednego. Spoglądał na nią ponad tłumem. Jego siostra Alia. Znał jej misterium po same korzenie, ale nigdy przedtem nie stanął tu, wśród pielgrzymów, nie patrzył na nią ich oczami. Tutaj, uczestnicząc

w misterium, spostrzegł, że Alia należy do stawiającego mu opór wszechświata.

Akolici podali jej złoty kielich. Alia podniosła go.

Ułamkiem świadomości Paul poznał, że kielich zawiera surowy melanz, wymyślną truciznę, sakrament wieszczki.

Wpatrując się w kielich, Alia przemówiła. Jej głos pieścił uszy, delikatny jak płatki kwiatów, płynący jak muzyka.

- Na początku byliśmy próżni – zaintonowała.
- Nieświadomi wszelkiej rzeczy – podjął chór.
- Nie znaliśmy mocy, która bawi w każdym miejscu – wyrecytowała Alia.
- I w każdym czasie – dośpiewał chór.
- Oto jest moc. – Alia uniosła wyżej kielich.
- Źródło radości – oznajmił chór.
- „I źródło rozpacz” – pomyślał Paul.
- Budzi duszę – powiedziała Alia.
- Rozjaśnia mrok – popłynęło w odpowiedzi.
- W świecie giniemy – rzekła Alia.
- W mocy przetrwamy – zakończył chór.

Alia przytknęła kielich do ust i napiła się.

Paul ze zdumieniem stwierdził, że – niczym najpokorniejszy pielgrzym z tłumu – wstrzymuje oddech. Na przekór każdemu ziarnku wiedzy o tym, czego doznaje Alia, wpadł w sieć tao. Ożyło w nim wspomnienie pożaru tej trucizny szerzącego się w ciele. Pamięć odsłoniła zatrzymany czas, w którym świadomość staje się drobiną przemieniającą truciznę. Raz jeszcze przeżył powrót świadomości ponad czasem, gdzie wszystkie rzeczy są możliwe. Znał obecne doznania Alii, lecz tutaj jakby ich nie poznawał. Misterium oślepiało.

Dreszcz przeszedł Alię i osunęła się na kolana.

Paul westchnął razem z urzeczonymi pielgrzymami. Pokiwał głową. Część zasłony w nim poczęła się unosić. Upojony wizją zapomniał, że każda wizja należy do wszystkich tych, którzy jeszcze są w drodze, którzy dopiero nadejdą. W wizji człowiek przechodzi przez ciemność, nie potrafiąc odróżnić rzeczywistego od tego, co nierzeczywiste. Goni za absolutami, które nigdy nie zaistnieją.

A goniąc, gubi teraźniejszość.

Alia zakołysała się w transie przemiany przyprawowej.

Paul miał wrażenie, że słyszy głos jakiejś transcendentnej mary: „Zobacz! Spójrz tam! Widzisz, co przegapiłeś?” W tej chwili wydawało mu się, że spogląda cudzymi oczyma, że we wskazanym miejscu widzi feerie obrazów i rytmów, których nie oddałby pędzel żadnego malarza ani pióro żadnego poety. Czyste życie i piękno, pełne jasności obnażającej wszelką żądzę władzy... nawet jego.

Usłyszał Alię. Jej wzmocniony głos zahuczał w całej nawie.

– Świetlana noc! – zawołała.

Jęk przeszedł jak fala przez ciżbę pielgrzymów.

– Nic się nie ukryje w takiej nocy! – wołała Alia. – Jakim niezwykłym światłem jest jej ciemność. Wzrok jej nie ogarnie! Zmysły jej nie obejmą! Słowa jej nie opiszą! – Ściszyła głos. – Otchłań pozostaje otchłanią. Pełną wszystkich przyszłych rzeczy. Aaach, ileż w niej łagodnej przemocy!

Paul przyłapał się na tym, że oczekuje jakiegoś znaku od siostry. Byle gestu lub słowa, czegoś z magii i mistycznych wzlotów, jakiegoś fluidu, który założy go niczym strzałę na kosmiczny łuk. Ta chwila stała się kroplą żywego srebra w jego świadomości.

– Zapanuje smutek – zaintonowała Alia. – Przypominam wam, że wszystkie rzeczy są jedynie początkiem, wiecznym początkiem. Planety czekają na podbój. Niektórzy słyszący te słowa dostąpią wielkich przeznaczeń. Będą szydzić z przeszłości, zapomniawszy, co mówię wam teraz: wszystkie przeciwieństwa stanowią jedność.

Opuściła głowę, a Paul stłumił jęk zawodu. Nie powiedziała tego, co pragnął usłyszeć. Jego ciało było wyschniętą skorupą, pancerzem po jakimś pustynnym owadzie.

„Inni muszą mieć podobne wrażenia” – pomyślał. Wyczuwał wokół siebie poruszenie. Nagle w tłumie z przodu nawy, daleko po lewej stronie, rozległ się krzyk bólu jakiejś kobiety.

Alia uniosła głowę, a Paul nie mógł się oprzeć oszałamiającemu złudzeniu, że odległość między nimi skurczyła się do kilku centymetrów i że spogląda w jej szkliste oczy.

– Kto mnie wzywa? – spytała Alia.

– Ja! – zawołała kobieta. – Ja, Alia. Och, Alia, pomóż mi. Mówią, że mój syn został zabity na Muritanie. Czy on zginął? Czy nie ujrzę już mego syna... nigdy?

– Próbujesz chodzić wstecz po piasku – śpiewnie odparła Alia. – Nic nie ginie. Wszystko kiedyś wraca, ale można nie rozpoznać zmienionej postaci,

w jakiej wróci.

– Nie rozumiem, Alia! – zajęczała kobieta.

– Żyjesz w powietrzu, lecz go nie widzisz – powiedziała Alia ostrym tonem. – Jesteś jaszczurką? Mówisz z fremeńskim akcentem. Czy Fremeni usiłują odzyskiwać swych umarłych? Czego potrzebujemy od naszych umarłych prócz ich wody?

Bliżej środka nawy mężczyzna w bogatej, czerwonej szacie wzniosł ręce, ukazując ramiona w białych rękawach.

– Alia! – zawołał. – Otrzymałem propozycję handlową. Mam ją przyjąć?

– Przychodzisz tu jak żebrak – odparła Alia. – Szukając złotej czaszy, znajdziesz tylko sztylet.

– Zlecają mi zabicie pewnego człowieka! – odezwał się ktoś po prawej z intonacją z siczy. – Podjąć się tego? A jeśli się podejmę, czy mi się powiedzie?

– Początek i koniec stanowią jedność – fuknęła Alia. – Czyż nie powiedziałam wam już tego? Nie przyszedłeś tutaj, aby zadać to pytanie. W co tak bardzo nie możesz uwierzyć, że musiałeś tu przyleźć, żeby to wyrzeszczyć?

– Dziś ma zły humor – mruknęła sąsiadka Paula. – Widział ktoś, żeby kiedykolwiek była taka wściekła?

„Wie, że tu jestem – pomyślał. – Czy rozgniewało ją coś, co ujrzała w wizji? Czy złości się na mnie?”

– Alia – zawołał mężczyzna tuż przed Paulem. – Powiedz tym kramarczykom i cykorom, jak długo będzie panował twój brat!

– Sam spróbuj to przewidzieć! – warknęła Alia. – Uprzedzenia wyłażą ci z gęby. Tylko dzięki temu, że mój brat panuje nad czerwim chaosu, masz wodę i dach nad głową!

Zebrawszy gwałtownym ruchem poły szaty, obróciła się na pięcie, przemaszerowała przez tęczowe wstęgi światła i zniknęła w ciemności za nimi.

Akolici natychmiast zaintonowali kodę, ale nie mogli wpaść w rytm. Najwyraźniej zaskoczyło ich niespodziewane zakończenie misterium. Tłum szemrał. W poruszeniu wokół siebie Paul wyczuwał niezadowolenie i podenerwowanie.

– To przez tego głupka z jego idiotycznym pytaniem o interesy – mruknęła sąsiadka Paula. – Obłudnik!

Co zobaczyła Alia? Jaką drogę przez przyszłość?

Coś się tutaj stało tego wieczoru, niwecząc rytuał wieszczki. Zazwyczaj ludzie głośno domagali się od Alii odpowiedzi na swe budzące litość pytania. Przychodzili jak natrętni żebracy po wróżbę, to fakt. Oglądał to wiele razy, ukryty w ciemności za ołtarzem. Czym więc różnił się dzisiejszy wieczór od wszystkich innych?

Stary Fremen pociągnął go za rękaw, wskazując głową w stronę wyjścia. Tłum już zaczynał się cisnąć w tamtym kierunku. Paul, z uczepionym rękawą przewodnikiem, poddał się naporowi. Miał wrażenie, że jego ciałem zawładnęła jakaś siła, nad którą już nie panuje. Stał się niebytem, bezruchem w ruchu. Istniał w sercu tego niebytu, pozwalając się wieść ulicami miasta, szlakiem tak mu znanym z wizji, że smutek zmroził jego duszę.

„Powinienem się zorientować, co zobaczyła Alia – pomyślał. – Sam to widziałem wiele razy. I nie podniosła krzyku... Ona też dostrzegła inne możliwości”.



Wzrost produkcji i wzrost dochodu w moim Imperium mają iść w parze. Do tego sprowadza się treść mojego rozporządzenia. Nie mogą wystąpić żadne zaburzenia bilansu płatniczego między różnymi sferami wpływów. A to z tej prostej przyczyny, że ja tak rozkazuję. Pragnę podkreślić moje kompetencje w tej dziedzinie. Jestem największym pożeraczem energii tego Imperium i takim pozostanę, żywy lub martwy. Moim systemem rządzenia jest system gospodarczy.

– *Rozporządzenie imperialne*, Imperator Paul Muad'Dib

– Tutaj zostawiam cię – powiedział Razyr, puszczając jego rękaw. – To jest po prawej, drugie wejście od końca ulicy. Szej-hulud z tobą, Muad'Dib... i nie zapominaj, jak byłeś Usulem.

Przewodnik rozpułynał się w ciemnościach.

Paul wiedział, że gdzieś w tych ciemnościach warują ludzie z ochrony, żeby zatrzymać starego i zabrać go na przesłuchanie. Miał jednak cichą nadzieję, że Fremen im umknie.

Widział gwiazdy i odległą poświatę pierwszego księżyca skrywającego się za Murem Zaporowym. Ale nie znajdował się na otwartej pustyni, gdzie człowiek wyznacza marszrutę według położenia gwiazd. Wiedział tylko tyle, że przewodnik zaprowadził go na jedno z nowych przedmieść.

Ulica tonęła w piasku nawianym z podchodzących wydm. W jej głębi świeciła niewyraźnie samotna latarnia dryfowa. Światła wystarczało, by dostrzec koniec ślepego zaułka.

Powietrze gęste było od fetoru utylizacyjnego alembiku. Urządzenie – zapewne z powodu nieszczelnej pokrywy – uwalniało smrodliwe opary, wypuszczając wraz z nimi w noc zbrodniczą ilość wilgoci. Paul stwierdził, że jego ludzie zrobili się strasznie niefrasobliwi. Ci wodni krezusi zapomnieli już dni, kiedy na Arrakis zabijało się człowieka za ósmą część wody jego ciała.

„Dlaczego się waham? – zastanawiał się. – Drugie drzwi od końca zaułka. Wiedziałem to, zanim jeszcze mi powiedziano. Ale trzeba odegrać całą rzecz dokładnie. Zatem... muszę się powahać”.

Z narożnego domu po lewej doleciały go nagle odgłosy awantury. Jakaś kobieta komuś wymyślała. Piekliła się, że do nowego skrzydła domostwa dostaje się pył. „Myślisz, że woda spada z nieba?! Jeśli wlatuje pył, to wylatuje wilgoć!”

„Niektórzy nie zapomnieli” – pomyślał Paul.

Wszedł w zaułek, zostawiając za sobą cichnące echa kłótni.

„Woda z nieba!” – powtórzył w duchu.

Sporo Fremenów widziało to cudowne zjawisko na innych planetach. Sam też je widział, a za zrządzeniem Muad'Diba ma je zobaczyć również Arrakis, jednak we wspomnieniach jawiło mu się jako coś, co spotkało innego człowieka. „Deszcz” – tak się nazywało. Nagle przypomniawszy mu się ulewa na ojczystej planecie – ciężkie, ołowiane chmury na niebie Kaladanu, wyładowania elektryczne, wilgotne powietrze, bębnienie wielkich kropli o szyby świetlików. Woda ściekała z okapów strumykami. Kanały deszczowe odprowadzały ją do wezbranej, zmętniałej rzeki, która przepływała koło ich sadów... Tam lśniły mokre, nagie jeszcze gałęzie drzew.

Stopa zapadła mu się w niskiej zaspie piasku leżącej w poprzek ulicy. Miał wrażenie, że dziecięcymi bućkami grzęźnie w kaladańskim błocie. Już po chwili jednak brnął znowu w piasku, w przyduszonych pyłem i ogłuszonych wiatrem ciemnościach, jakby na urągowisko wiszącej nad nim przyszłości. Odbierał jałowość życia wokół siebie jak oskarżenie: „To twoja sprawka!” Stworzyli cywilizację pozbawionych serca donosicieli i dozorców, ludzi, którzy rozwiązują wszystkie problemy za pomocą siły...

i większej siły... i jeszcze większej siły – nienawidząc jej do ostatniego ergu.

Surowe kamienie pod stopami. Wizja je przypomniała. Ciemny prostokąt drzwi z prawej strony – czerń w czerni: dom Otejma, dom przeznaczenia, różniący się od sąsiednich tylko rolą, w jakiej obsadził go czas. Dziwne, że taki dom ma przejść do historii.

Drzwi otworzyły się w odpowiedzi na jego pukanie. Nikłe, zielonkawe światło z atrium wypełniło wejście. Ukazał się w nim karzeł o starczej głowie na ciele dziecka – zjawa, której nie widział w żadnej wizji.

– Zatem jesteś – powiedziała zjawa. Ustąpiła z przejścia, nie okazując cienia lęku, a jedynie zadowolenie w głupawym uśmiechu. – Wejdz! Wejdz!

Paul zwlekał. W wizji nie było żadnego karła, ale wszystko inne się zgadzało. Wizje mogą mieścić tego rodzaju odstępstwa, a mimo to nadal pokrywać się ze swym pierwotnym kontinuum w nieskończoności. Ta niezgodność pozwalała mu jednak żywić nadzieję. Obejrzał się na uliczkę skąpaną w perłowym blasku jego księżycy, który wychodził ze strzępiastych cieni. Ten księżyc go prześladował. Jak on spadł?

– Wejdz – nalegał karzeł.

Wszedł i usłyszał za sobą głuchoe stuknięcie drzwi w uszczelki chroniące przed utratą wilgoci. Karzeł wyprzedził go, poprowadził, człapiąc wielkimi stopami, uchylił misterną kratę w przejściu na zadaszony dziedziniec i zaprosił gestem.

– Czekają na was, Najjaśniejszy Panie.

„Najjaśniejszy Panie – pomyślał Paul. – A więc zna mnie”. Nim zdążył się zastanowić nad tym odkryciem, karzeł czmychnął w boczny korytarz. Nadzieja w Paulu wirowała niczym tańczący derwisz. Przeciął dziedziniec. Ciemne, ponure miejsce tchnęło chorobą i porażką. Atmosfera odbierała ducha. „Czy to porażka wybrać mniejsze zło? – zastanawiał się. – Jak daleko już posunąłem się na tej ścieżce?”

Światło padało z wąskiego otworu w ścianie po drugiej stronie dziedzińca. Uwolnił się od wrażenia złych oczu i przykrych zapachów i wszedł do małej izby. Była uboga, jak na fremeńskie standardy, z hierelowymi kobiercami jedynie na dwóch ścianach. Mężczyzna siedział na karminowych poduszkach pod ładniejszym kobiercem na wprost wejścia. W cieniu kolejnego otworu, po lewej stronie, gdzie była goła ściana, majaczyła kobieca sylwetka.

Paul znalazł się w kleszczach wizji. Tak to się odbyło. Gdzie jest karzeł? Gdzie ta różnica?

Zarejestrował zmysłami otoczenie w jednym spetryfikowanym ujęciu. Schludna, zadbana izba, mimo ubóstwa wyposażenia. Haki i drążki na gołych ścianach wskazywały, skąd zdjęto kobierce. Przypomnił sobie, że pielgrzymi płacą krocie za autentyczne przedmioty fremeńskiej sztuki użytkowej. Bogaci obcoświatowcy uważali pustynne tkaniny dekoracyjne za skarby, prawdziwy symbol hadżdżu.

Świeżo zaciągnięte gipsem ściany oskarżały Paula swoją nagością. Oplakany stan dwóch pozostałych kobierców potęgował w nim poczucie winy.

Przez ścianę po prawej biegła wąska półka. Stał na niej szereg portretów: z większości spoglądali brodaci Fremeni – jedni w filtrakach z wodowodem wiszącym pod brodą, inni w imperialnych mundurach, pozujący na tle egzotycznych obcoświatowych pejzaży. Najczęstszy był widok morza.

Fremeni na poduszkach odchrząknął, przyciągając uwagę Paula. Otejm wyglądał dokładnie tak, jak objawiła go wizja: wychudła ptasia szyja, zbyt cienka, zdawało się, żeby udźwignąć wielką głowę. Twarz w połowicznym rozpadzie – pod łzawiącym okiem z opadniętą powieką lewy policzek z blizną na bliźnie, a z prawej strony gładka cera i fremeńskie spojrzenie klarownego, błękitnego w błękicie oka. Długi grzbiet nosa dzielił twarz na zdrową i chorą połowę.

Poduszka Otejma leżała pośrodku wytartego brązowego dywanu z rudymi i złotymi nitkami wтку. Tkanina nosiła ślady przetarc i łatania, ale każdy skrawek metalu w otoczeniu siedzącego Fremena został wypolerowany – ramki portretów, krawędź i wsporniki półki, podstawa niskiego stolika z prawej strony.

Paul skinął głową, kłaniając się zdrowej połowie twarzy Otejma.

– Szczęścia tobie i domowi twojemu – powiedział. Były to słowa, jakimi witali się bliscy przyjaciele i siczowi bracia.

– Zatem spotykam cię raz jeszcze, Usul.

Głos przywołujący jego plemienne imię zawodził ze starczym drzeniem. Wygasłe oko z opadniętą powieką poruszało się nad gęstwą blizn zrujnowanej połowy twarzy. Siwa szczecina sterczała z pergaminowej skóry, obwisłej po tej stronie zuchwy i pokrytej chropowatymi łuskami. Spomiędzy wykrzywiających się przy mówieniu warg błyskały srebrzyste metalowe zęby.

– Muad’Dib zawsze staje na wezwanie fedajkina – rzekł Paul.
– Czym chełpi się Stilgar – powiedziała kobieta i wyszła z cienia w bocznym przejściu.

Wyglądała jak starsza siostra Lichny, której postać przybrał maskaradnik. Paulowi przypomniało się, że Otejm poślubił siostry. Włosy jej posiwiały, nos zrobił się spiczasty jak u wiedźmy. Miała palce wskazujące i kciuki tkaczki, z wyraźnymi odciskami. Za siczowych czasów Fremenka z dumą obnosiłaby takie nagniotki, jednak ona, spostrzegłszy, że patrzy na jej dłonie, schowała je w fałdach jasnoniebieskiej szaty.

Wreszcie przypomniał sobie jej imię – Duri. Wstrząsnął nim fakt, że pamięta ją jako małą dziewczynkę, a nie jako osobę z wizji obecnych chwil. Stwierdził, że to przez ten biadolący ton. Biadoliła od dziecka.

– Stoję przed wami – powiedział. – Czy przyszedłbym tu bez przyzwolenia Stilgara? – Zwrócił się do Otejma. – Dźwigam twoje brzemię wody, Otejm. Jestem na twoje rozkazy.

Była to prosta fremeńska rozmowa siczowych braci.

Otejm zdobył się na chwiejne skinienie głową, niemal zbyt wiele dla tak cienkiej szyi. Uniósł lewą dłoń, całą w plamach wątrobowych, i wskazał na swą twarz.

– Złapałem rozplątnicę na Tarahellu, Usul – wysapał. – Zaraz po zwycięstwie, kiedy wszyscy żeśmy... – Dopadł go atak kaszlu.

– Plemię wkrótce zabierze jego wodę – powiedziała Duri. Podeszła do Otejma, podparła mu plecy poduszkami i przytrzymała za ramię, dopóki nie przeminął kaszel. Paul zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie jest stara, tylko stracone złudzenia przydały jej zmarszczek wokół ust i gorczy w spojrzeniu.

– Wezwę lekarzy – powiedział.

Duri obróciła się i oparła rękę na biodrze.

– Oglądali go specjaliści nie gorsi niż twoi. – Odruchowo zerknęła w lewo, na gołą ścianę.

„A specjaliści kosztują” – pomyślał Paul.

Stał jak na szpilkach, spętany wizją, ale zdawał sobie sprawę, że wkradają się do niej drobne rozbieżności. Jak mógł je wykorzystać? Wprawdzie wątek czasu schodził z motka z nikłymi doprawdy zmianami, lecz porażał go jednakowością na osnowie. Był pewny, że jeśli spróbuje się wyrwać z tkanego tutaj splotu, zakończy się to straszliwą rzezią. Porażała go moc zawarta w tym zwodniczo łagodnym nurcie czasu.

– Mów, czego chcecie ode mnie – burknął.

– A czy nie może być tak, że w takiej chwili Otejm potrzebuje przy sobie przyjaciela? – spytała Duri. – Czy fedajkin musi oddawać swoje ciało w obce ręce?

„Żyliśmy razem w siczy Tabr – wytknął sobie Paul. – Ona ma prawo zmyć mi głowę za tę jawną bezduszość”.

– Zrobię, co w mojej mocy – powiedział.

Otejm znowu zaniósł się kaszlem.

– Zdrada, Usul – wykrztusił, doszedłszy do siebie. – Fremeni knują przeciwko tobie. – A potem już tylko poruszał bezgłośnie ustami. Zaślinił sobie wargi. Duri otarła mu je brzegiem szaty, wyraźnie rozzłoszczona takim marnotrawstwem wilgoci.

Paula ogarnęła bezsilna wściekłość. „Żeby taki koniec spotkał Otejma – pomyślał. – Fedajkin zasługuje na lepszą śmierć”. Ale nie mieli wyboru – ani komandos śmierci, ani jego Imperator. W tej izbie postępowali według zasady brzytwy Ockhama. Najmniejszy fałszywy krok pomnażał koszmary: nie tylko dla nich, lecz dla całej ludzkości, nawet dla tych, którzy mają ich zniszczyć.

Uspokoił się z trudem i spojrzał na Duri. Wyraz ogromnego bólu, z jakim patrzyła na Otejma, dodał mu sił. „Chani nigdy nie może tak na mnie spoglądać” – obiecał sobie.

– Lichna mówiła o jakiejś wiadomości – powiedział.

– Mój karzeł – wydyszał Otejm. – Kupiłem go na... na... na planecie... wyleciało mi z pamięci. To ludzki dystrans, błazen, który znudził się Tleilaxanom. Ma zapisane wszystkie imiona... imiona zdrajców... – Zamilkł, dygocąc.

– Wspomniałeś Lichnę – odezwała się Duri. – Gdy przyszedłeś, zrozumieliśmy, że dotarła do ciebie bezpiecznie. Skoro myślisz o nowym brzemieniu, które Otejm kładzie na ciebie, wiedz, że Lichna jest jego stawką. To uczciwa wymiana, Usul. Bierz karła i znikaj.

Paul przymknął oczy, opanowując dreszcz. „Lichna!” Ich prawdziwa córka szezła na pustyni, jej wysuszone semutą ciało rzucono na pastwę wichru i piasku.

Otworzył oczy.

– Mogliście w każdej chwili przyjść do mnie po...

– Otejm nie pokazywał się u ciebie, żeby zaliczono go do tych, którzy cię nienawidzą, Usul – powiedziała Duri. – W domu na południe od nas, na

końcu ulicy, zbierają się twoi wrogowie. Dlatego zamieszkaliśmy w tej norze.

– No to wezwij karła i zabierajmy się stąd.

– Nie słuchałeś uważnie – stwierdziła Duri.

– Musisz zabrać karła w bezpieczne miejsce. – Głos Otejma nabrał dziwnej mocy. – Nosi jedyny rejestr zdrajców. Nikt nie podejrzewa, że ma takie zdolności. Myślą, że trzymam go dla rozrywki.

– My nie możemy odejść – powiedziała Duri. – Tylko ty i karzeł. Wiadomo... jacy jesteśmy ubodzy. Rozgłosiliśmy, że sprzedajemy karła. Wezmą cię za nabywcę. To twoja jedyna szansa.

Paul sprawdził to z zapamiętaną wizją: wyszedł stąd z imionami zdrajców, ale nigdy nie widział, w czym te imiona były zawarte. Karzeł najwyraźniej działał pod osłoną innego jasnowidza. Wtem przyszło mu do głowy, że wszystkie stworzenia muszą dźwigać pewnego rodzaju przeznaczenie, będące wypadkową celów rozmaitych sił, poziomu wykształcenia i dyspozycji. Odkąd został wybrańcem dżihadu, czuł się osaczony przez mnogie siły. Ich określone cele wytyczały kierunek i decydowały o jego krokach. Z mrzonkami o wolnej woli można sobie co najwyżej szarpać za przęty klatki. Jego przekleństwem było to, że *zobaczył* tę klatkę. *Widział* ją!

Wsluchiwał się teraz w pustkę domostwa. W środku było ich tylko czworo: Duri, Otejm, karzeł i on sam. Oddychał strachem i napięciem domowników, wyczuwał tropicieli – własnych ludzi, daleko i wysoko w ornitopterach... i tamtych drugich... w sąsiednim domu.

„Daremnie się łudziłem” – pomyślał. Ale myśl o nadziei pokrętnie przywracała nadzieję, że jeszcze może skorzystać ze swojej chwili.

– Zawołaj karła – rzekł.

– Bidżaz! – krzyknęła Duri.

– Wołałaś mnie? – Karzeł wszedł do izby wejściem od dziedzińca. Jego czujna twarz zdradzała niepokój.

– Masz nowego pana, Bidżaz – oświadczyła Duri. Nie spuszczała wzroku z Paula. – Możesz go nazywać... Usul.

– „Usul” to baza kolumny – przetłumaczył karzeł. – Jak Usul może być bazą, skoro ja jestem najbazowniejszy na świecie?

– On zawsze tak gada – sumitował się Otejm.

– Ja nie gadam – rzekł Bidżaz. – Ja puszczam w ruch maszynę zwaną językiem. Piszczyci ona i zgrzyta, ale jest moja.

„Tleilaxański błazen, uczony i bystry – pomyślał Paul. – Bene Tleilax nigdy nie wyrzucają czegoś tak cennego”. Obrócił się i przyjrzał uważnie karłowi. Okrągłe, błękitne od melanżu oczy patrzyły nań śmiało.

– Masz jeszcze jakieś talenty, Bidżaz?

– Wiem, kiedy pora odejść. Mało kto ma taki talent. Najwyższy czas, by kończyć, to najlepszy czas, by zaczynać. Zacznijmy nasz początek, Usul.

Sięgnął do pamięci w wizji: nie było karła, ale jego słowa pasowały do sytuacji.

– W progu powiedziałeś do mnie „Najjaśniejszy Panie” – rzekł. – To znaczy, że mnie znasz?

– „Najjaśniejszy Panie” znaczy „Najjaśniejszy Panie”. – Bidżaz wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Tyś jest dużo wyższy niż baza Usul. Tyś jest atrydzki Imperator, Paul Muad'Dib. I jesteś moim palcem. – Uniósł palec wskazujący prawej dłoni.

– Bidżaz! – syknęła Duri. – Kuisz los.

– Kuszę mój palec – zaprzeczył Bidżaz piskliwie. Skinął na Paula. – Wskazuję Usula. Czy mój palec nie jest Usulem we własnej osobie? Albo odbiciem czegoś bardziej bazowego? – Podsunął sobie palec pod oczy i z ironicznym uśmiechem obejrzał go najpierw z jednej, potem z drugiej strony. – Aach, w końcu to tylko palec.

– On często tak plecie. – W głosie Duri był niepokój. – Przypuszczam, że dlatego Tleilaxanie się go pozbyli.

– Gwiżdżę na patronat – rzekł Bidżaz – a jednak mam nowego patrona. Palec działa cuda. – Z dziwnym błyskiem w oczach popatrzył na Duri i Otejma. – Słaby nas klej klei, Otejm. Kilka łez i się odklejamy. – Szurając wielkimi stopami po posadzce, zakręcił się i stanął twarzą w twarz z Paulem. – Aach, patronie! Okrążyłem cały świat, żeby cię znaleźć.

Paul pokiwał głową.

– Będziesz łaskawy, Usul? – spytał karzeł. – Jestem człowiekiem, gdybyś nie wiedział. Ludzie występują w wielu kształtach i rozmiarach. Przed tobą tkwi zaledwie jeden z nich. Jestem słaby w rękach i nogach, ale mocny w gębie; tani do wykarmienia, lecz kosztowny do napełnienia. Opróżniany do woli, zawsze mam w sobie więcej, niż we mnie ludzie włożyli.

– Nie pora teraz na twoje głupie zagadki – warknęła Duri. – Czas wam w drogę.

– Jestem pełen zagadek – podchwycił Bidżaz – ale bynajmniej nie wszystkie są głupie. Czas nam w drogę, Usul, to czas na nas. Prawda? No to

komu w drogę, temu czas. Duri mówi prawdę. Mam również talent, który pozwala to usłyszeć.

– Masz zmysł prawdy? – Paul grał na zwłokę, trzymając się zegara swej wizji. Wszystko było lepsze od unicestwienia paru chwil i spowodowania nowych następstw. By nie skierować czasu na straszliwsze tory, Otejm musiał jeszcze coś powiedzieć.

– Mam zmysł terażniejszości – oświadczył Bidżaz.

Paul zauważył, że karzeł zdradza coraz większy niepokój. Czyżby przeczuwał rzeczy, które właśnie mają się zdarzyć? Czyżby był niezależnym jasnowidzem?

– Spytałaś o Lichnę? – wyrwał się Otejm, podnosząc na Duri swoje zdrowe oko.

– Lichna jest bezpieczna – powiedziała Fremenka.

Paul spuścił głowę, żeby nie zdradził go wyraz twarzy. „Bezpieczna!” Obrócona w proch, leżała w sekretnym grobie.

– To dobrze – rzekł Otejm, wzięwszy ten gest za potwierdzenie. – Jedna dobra rzecz pośród nieszczęść, Usul. Nie podoba mi się świat, jaki budujemy, wiesz? Tamten był lepszy: tylko my, pustynia i nasz jedyny wróg, Harkonnenowie.

– Tylko cienka kreska dzieli niejednego wroga od niejednego przyjaciela – rzekł Bidżaz. – Tam gdzie się kończy, nie ma początku ani końca. Kończmy, przyjaciele. – Stał u boku Paula, przestępując z nogi na nogę.

– Co to jest „zmysł terażniejszości”? – Paul przeciągał chwilę, prowokując karła.

– Teraz! – Bidżaz zadygotał. – Teraz! Teraz! – Szarpnął Paula za połe płaszcz. – Chodźmy teraz, mówię!

– Kłapie dziobem, ale dusza w nim pocziwa – powiedział Otejm z czułością, patrząc na karła zdrowym okiem.

– Nawet kłapanie może dać sygnał do wymarszu – rzekł Bidżaz. – Łzy też mogą. Zaczniemy nasz początek, póki czas zacząć.

– Czego się boisz, Bidżaz? – spytał Paul.

– Boję się ducha, który mnie tropi – wymamrotał karzeł. Pot wystąpił mu na czoło, przez twarz przebiegł dreszcz. – Boję się tego, który nie myśli i nie będzie miał innego ciała niż moje... tego, który wrócił do swej postaci. Boję się tego, co widzę, i tego, czego nie widzę.

„Karzeł niewątpliwie ma dar jasnowidzenia” – pomyślał Paul. Bidżaz uczestniczył w jego strasliwym prorocztwie. Czy uczestniczył również

w losie proroka? Jak wielkie były moce karła? Czy miał niewielką zdolność wieszczczenia tych, którzy się zabawiają Tarotem Diuny? A może znacznie większą? Ile widział?

– Powinniście już iść – powiedziała Duri. – Bidżaz ma rację.

– Z każdą chwilą zwłoki – dodał karzeł – przedłużamy... przedłużamy teraźniejszość!

„Z każdą chwilą zwłoki odraczam chwilę mojej winy” – pomyślał Paul. Owionął go trujący oddech, osypał pył z rozwartych zębów czerwia. Zdarzyło się to dawno temu, ale teraz wdychał owo gorzkie, przyprawowe powietrze wspomnienia. Wyczuwał bliskość pisanego mu czerwia – „urny pustyni”.

– Czasy są trudne – rzekł, odnosząc się do tego, co Otejm mówił o ich planecie.

– Fremeni wiedzą, co robić w trudnych czasach – stwierdziła Duri.

Otejm potwierdził chwiejnym ruchem głowy.

Paul spojrzał na Duri. Nie oczekiwał wdzięczności – byłaby brzemieniem ponad jego siły – ale rozgoryczenie Otejma i głęboka niechęć w oczach Duri osłabiały jego wolę. Czy *cokolwiek* jest warte takiej ceny?

– Zwłoka niczego nie daje – powiedziała Fremenka.

– Rób, co musisz zrobić, Usul – wysapał Otejm.

Paul westchnął. Słowa z wizji zostały wypowiedziane.

– Będzie rozliczenie – rzekł, dopełniając jej. A potem obrócił się i wielkimi krokami wyszedł z izby, słysząc za sobą człapanie Bidżaza.

– Było nie było – mamrotał Bidżaz, deptając mu po piętach. – Co było, to było. W parszywym dniu się zdarzyło.



Zawile formułowanie przepisów prawnych wzięło się z potrzeby ukrywania przed samymi sobą, że my, drapieżcy, kierujemy się prawem dżungli. Między pozbawieniem kogoś godziny życia a pozbawieniem go życia jest jedynie różnica stopnia. Zadajesz komuś gwałt – pożerasz jego energię. Wymyślnie eufemizmy mogą ukazywać zamiar zabójstwa, lecz za wszelkim użyciem siły przez jednego człowieka wobec drugiego stoi elementarny aksjomat: „Żywię się twoją energią”.

– addenda do *Rozporządzenia imperialnego*, Imperator Paul Muad'Dib

Pierwszy księżyc stał wysoko nad miastem, kiedy Paul w migotliwej poświacie włączonej tarczy zbliżał się do wylotu zaułka. Wiatr od skalnego masywu pchał wiry piasku i pyłu przez wąską uliczkę, sprawiając, że Bidżaz mrugał i osłaniał oczy.

– Pospieszmy się – wymamrotał karzeł. – Szybko! Szybko!

– Wyczuwasz zagrożenie? – Paul spróbował pociągnąć go za język.

– Ja *znam* zagrożenie!

Nagle przeczucie, że niebezpieczeństwo jest tuż-tuż, niemal natychmiast się sprawdziło, gdy z bramy ruszyła na nich jakaś postać.

Bidżaz skulił się i zakwilił.

Ale to był tylko Stilgar, który niczym bojowa maszyna parł z wysuniętą do przodu głową, mocno stawiając stopy.

Paul przekazał mu karła, naprędce wyjaśniawszy jego wartość. Wizja nabrała zawrotnej prędkości. Stilgar pobiegł z Bidżazem. Straż przyboczna otoczyła Paula. Wydano rozkazy, wysłano gwardzystów pod dom na końcu zaułka, za domostwem Otejma. Ludzie pospiesznie zniknęli jak cienie wśród cieni.

„Kolejne ofiary” – pomyślał Paul.

– Jeńców brać mi żywcem! – syknął któryś z oficerów gwardii.

Głos w uszach Paula był echem głosu z wizji. Tutaj chodziło to z precyzją tykania zegara: wizja-rzeczywistość, tik-tak. Ornitoptery przecinały tarczę księżyca, spływając w dół.

Noc pełna była imperialnych żołnierzy w akcji.

Cichy świst wyszedł spośród innych dźwięków i zmienił się w huk, zanim jeszcze świśnięcie zdążyło przebrzmieć. Rozbłysk ceglastobrazowej jasności zgasił gwiazdy i pochłonął księżyc.

Paula, znającego ten dźwięk i to światło od najwcześniejszych, upiornych przeblysków wizji, ogarnęło dziwne poczucie spełnienia. Jest, jak miało być.

– Wypalacz skał! – krzyknął ktoś.

– Wypalacz skał! – Krzyk dochodził ze wszystkich stron. – Wypalacz skał... wypalacz skał...

Oczekiwano, że się tak zachowa, więc Paul osłonił twarz ramieniem i dał nura za niski krawężnik. Rzecz jasna było już za późno.

W miejscu, gdzie stał dom Otejma, słup ognia z rykiem bił w niebo oślepiającym strumieniem. Rudy blask płomieni wydobywał baletowe ruchy miotających się ludzi i ornitoptery w akrobatycznym odwrocie.

Dla wszystkich uczestników tego zamętu było za późno.

Grunt pod nim zrobił się gorący. Paul słyszał, jak cichnie tupot nóg. Ludzie wokoło padali na ziemię, pojawiały się, że dalsza ucieczka nie ma sensu. Pierwszego urazu już doznali, teraz należało przeczekać apogeum niszczycielskiej mocy wypalacza. Człowiek nie prześcignie promieniowania – ono wniknęło już w ciała. Już dojrzewał w nich osobliwy owoc promieniowania wypalacza skał. Czego jeszcze mógł on dokonać, to zależało od planów ludzi, którzy się nim posłużyli, którzy odrzucili Wielką Konwencję, żeby się nim posłużyć.

– Bogowie... wypalacz skał – ktoś podniósł lament. – Ja... nie... chcę... być ślepy.

– Kto chce? – odparł chrapliwie żołnierz w głębi ulicy.

– Tleilaxanie opylą tu kupę oczu – warknął ktoś nieopodal. – A teraz milczeć i czekać!

Czekali.

Paul zastanawiał się nad skutkami użycia tej broni. Przy zbyt dużej ilości paliwa wypalacz przebiję się do jądra planety. Diuna miała grubą skorupę, ale przez to niebezpieczeństwo tylko rosło. Niekontrolowane uwolnienie takiego ciśnienia mogło rozerwać planetę i rozrzucić pozbawione życia kawałki w przestrzeni kosmicznej.

– Chyba słabnie trochę – rzekł ktoś.

– Po prostu schodzi głębiej – ostrzegł Paul. – Wszyscy zostać na miejscu. Stilgar przyśle pomoc.

– Stilgar wyszedł cało?

– Tak.

– Grunt parzy – narzekał ktoś.

– Śmieli użyć atomówki! – poskarżył się żołnierz w pobliżu Paula.

– Już przycicha – stwierdził jeden z ludzi w głębi ulicy.

Paul puszczał słowa żołnierzy mimo uszu, skupiając uwagę na końcach swych palców rozpostartych w pyle ulicy. Wyczuwał dudnienie wypalacza – głęboko... głęboko...

– Moje oczy! – zawył ktoś. – Nic nie widzę!

„Był bliżej niż ja” – pomyślał Paul. Uniósł głowę. Nadal widział koniec zaułka, chociaż wszystko już za mgiełką. Pomarańczowa łuna gorzała w pustce po dwóch domach: Otejma i przyległym. Rozsypujące się ruiny sąsiednich budynków schodziły czarnymi jęzorami do krateru ognia. Wypalacz skał dogorywał, cichł pod nim.

Paul dźwignął się na nogi. Cały był mokry od potu pod śliskim filtrakiem – zbyt mokry na system ubioru. Z gorącym powietrzem wciągnął do płuc siarczany swąd wypalacza.

Kiedy ogarniał wzrokiem podnoszących się wokół ludzi, mgiełka na jego oczach przeszła w ciemność. Wywołał wizję obecnych chwil, po czym obrócił się i energicznie wkroczył na wytyczoną mu w niej przez czas ścieżkę, ściśle wpisując się w nurt wizji, żeby mu nie umknęła. Poczuł, że budzi się w nim świadomość miejsca jako dwoistej płaszczyzny, rzeczywistości zespolonej z jej przepowiednią.

Zewsząd dobiegały lamenty oślepionych ludzi.

– Zachować spokój! – krzyknął Paul. – Pomoc jest w drodze! – Nie uzyskawszy posłuchu, ogłosił: – Mówi Muad'Dib! Rozkazuję zachować spokój! Pomoc nadchodzi!

Cisza.

– To naprawdę Imperator? – rzekł po chwili, zgodnie z wizją, najbliższy gwardzista. – Który z was widzi? Powiedźcie!

– Żaden z nas nie ma oczu – oznajmił Paul. – Mnie też pozbawili oczu, ale nie widzenia. Widzę, jak stoisz tam, pod zasmoloną ścianą, na wyciągnięcie twojej lewej ręki. A teraz głowa do góry. Stilgar przybywa z przyjaciółmi.

Zewsząd słyhać było coraz głośniejsze uderzenia skrzydeł ornitopterów. Odgłos spieszących kroków. Paul „ogładał” nadejście przyjaciół, dopasowując dźwięki do wizji.

– Stilgar! – zawołał, machając ręką. – Tutaj!

– Szej-huludowi niech będą dzięki! – krzyknął Stilgar, podbiegając do Paula. – Nie jesteś... – W raptownej ciszy wizja ukazała go Paulowi: z udręką wpatrywał się w zniszczone oczy swojego przyjaciela i Imperatora. – Och, mój panie – jęknął. – Usul... Usul... Usul...

– Co z wypalaczem skał? – zapytał któryś z przybyłych żołnierzy.

– Przestał działać. – Paul wskazał ręką i podniósł głos. – Zabrać stamtąd tych, którzy byli najbliżej. Postawić bariery. Ruszać się! – Obrócił się z powrotem do Stilgara.

– Ty widzisz, mój panie? – wyjąkał osłupiały Fremen. – Nie możesz widzieć!

Paul wyciągnął palec i dotknął jego wilgotnego od łez policzka nad filtrem.

– Niepotrzebnie ofiarowujesz mi wilgoć, stary druhu. Jeszcze nie umarłem.

– Ale twoje oczy!

– Oślepiłi moje ciało, ale nie widzenie. Och, Stil, tkwię w proroczej wizji. Moje kroki są w nią wpisane tak dokładnie, że najbardziej się boję, iż zanudzi mnie przeżywanie tego samego raz jeszcze.

– Usul, ja nie... ja nie...

– Nie próbuj tego zrozumieć. Pogódź się z tym. Przebywam w świecie poza tym światem. Dla mnie one są takie same. Nie potrzebuję przewodnika. Widzę każdy ruch dookoła. Widzę każdą twoją minę. Nie mam oczu, lecz widzę.

Stilgar gwałtownie potrząsnął głową.

– Panie, musimy ukryć twoją przypadłość przed...

– Niczego przed nikim nie kryjemy – rzekł Paul.

– Ale prawo...

– Teraz naszym prawem jest prawo Atrydów, Stil. Fremeńskie prawo nakazujące zostawiać ślepców na łaskę pustyni dotyczy tylko ślepców. Ja nie jestem ślepy. Stanowię część cyklu istnienia, które jest polem walki dobra ze złem. Żyjemy w punkcie zwrotnym i mamy swoje role do odegrania.

W nagłej ciszy usłyszał, jak obok prowadzą oślepionego żołnierza.

– To było piekło! – jęczał nieszczęśnik. – Jeden wielki ogień!

– Nie wyprowadzać mi żadnego z nich na pustynię – powiedział Paul. – Słyszysz, Stilgar?

– Słyszę, mój panie.

– I wszyscy mają dostać nowe oczy na mój koszt.

– Tak jest, mój panie.

Paul słyszał nabożny lęk rosnący w głosie Stilgara.

– Będę w ornitopterze dowodzenia – rzekł. – Zajmij się tu resztą.

– Tak jest, mój panie.

Okrażył Fremena i wielkimi krokami pomaszerował ulicą. Wizja ukazywała mu wszelki ruch, każdą nierówność na drodze, każdą napotkaną twarz. Wydawał polecenia, wskazując ludzi ze swojej świty, wywołując ich po imieniu, przyzywając zaufanych oficerów. Zostawiał za sobą narastającą grozę i lękliwe szept.

– Jego oczy!

– Ale spojrzał prosto na ciebie i zawołał cię po imieniu!

Przy ornitopterze dowodzenia wyłączył tarczę, sięgnął do kabiny, wyjął mikrofon z dłoni wystraszonego oficera łączności, rzucił kilka krótkich rozkazów, po czym wcisnął oficerowi mikrofon w garść. Odwróciwszy się, przywołał technika zbrojeniowego, jednego z fremeńskich młodych wilków, błyskotliwych i pełnych zapału, dla których siczowe życie było tylko mglistym wspomnieniem.

– Użyli wypalacza skał – rzekł.

Technik wahał się jedynie chwilę.

– Słyszałem, Najjaśniejszy Panie.

– Wiesz, oczywiście, co to znaczy?

– To musiało być paliwo jądrowe, żadne inne.

Paul skinął głową, odgadując bieg jego myśli. Atomówki. Wielka Konwencja zakazywała takiej broni. Wykrycie sprawcy wystawia go na atak połączonych sił wysokich rodów. Na bok idą stare waśnie, puszczone w niepamięć wobec zagrożenia budzącego dawne lęki.

– Nie da się tego stworzyć bez pozostawienia jakichś śladów – rzekł Paul.

– Zbierz odpowiedni sprzęt i odszukaj miejsce, w którym zbudowano wypalacz.

– Tak jest, Najjaśniejszy Panie. – Technik pierzchnął, rzuciwszy jeszcze trwożliwe spojrzenie.

– Mój panie – łącznościowiec za plecami Paula zebrał się na odwagę – twoje oczy...

Paul obrócił się, sięgnął w głąb kabiny i przełączył radiostację na swoje prywatne pasmo.

– Zawiadom Chani – polecił. – Powiedz jej... że żyję i że wkrótce u niej będę.

„Żywioły się zbierają” – pomyślał. I zauważył, jak silny jest zapach strachu we wszechobecnym pocie.



*Odszedł od Alii,
Od niebios łona!
Święty! Święty! Święty!
Za nic ma piasku
Ogniste wiorsty.*

*W krąg widzi
Bez oczu!
Za pan brat z demonem!
Święty! Święty! Święty!
Rozwiązał
Nierówność
Męczeństwa!*

– Spada księżyc z Pieśni Muad’Diba

Po siedmiu dniach wszechogarniającej, gorączkowej bieganiny tego ranka w twierdzy zapanował nienaturalny spokój. Ludzie rozmawiali przyciszonymi głosami, pochylając ku sobie głowy, i poruszali się bezszelestnie. Albo przemykali dziwnym, skradającym się krokiem. Pytające, po chwili zaś kose spojrzenia witały przybyłą z zewnętrznego dziedzińca kompanię gwardzistów obejmujących służbę przy akompaniamencie tupotu butów i szczęku broni. Przybysze jednak szybko ulegli aurze miejsca i zaczęli się poruszać chyłkiem jak wszyscy.

W rozmowach wciąż powracano do wypalacza skał.

– Mówił, że ogień miał jakiś niebieskawo-zielonkawy blask i śmierdziało czeluściami piekła.

– Elpa jest głupi! Powiada, że prędzej się zabije, niż weźmie gały od Tleilaxan.

– Skończmy te gadki o oczach.

– Muad’Dib zawołał mnie po imieniu, gdy przechodził!

– Jak on widzi bez oczu?

– Wiecie, że ludzie odchodzą? Strach padł na wszystkich. Naibowie mówią, że udadzą się do siczy Makab na zgromadzenie rady.

– Co zrobili z panegirystą?

– Widziałem, jak wzięli go do sali, w której zbierają się naibowie. Korba uwięziony... koniec świata!

Chani obudziła się wcześniej za sprawą ciszy w twierdzy. Paul siedział przy niej na łóżku, wpatrując się pustymi oczodołami w nieokreślone miejsce gdzieś za odległą ścianą sypialni. Miał usunięte gałki oczne, zniszczone przez wypalacz skał, którego promieniowanie szczególnie łatwo uszkadzało tkankę oka. Zastrzyki i maści uratowały odporniejsze wnętrza oczodołów, ale wiedziała, że promienie przeniknęły głębiej.

Ledwie usiadła, dopadł ją wilczy głód. Jadła, co miała przy łóżku – chleb przyprawowy i tłusty ser.

Paul wskazał na jedzenie.

– Nie sposób było ci tego oszczędzić, kochana. Wierz mi.

Opanowała dreszcz na widok utkwionych w sobie pustych oczodołów. Już nie prosiła go o wyjaśnienia. Wygadywał niestworzone rzeczy: „Otrzymałem chrzest z piasku, za który zapłaciłem darem wiary. Czy ktoś jeszcze prowadzi kram z religiami? Kto będzie kupował? Kto sprzedawał?”

Co miały znaczyć takie słowa?

O oczach z Tleilaxa nawet nie chciał słyszeć, chociaż lekką ręką kupił je dla wszystkich, którzy ucierpieli tak jak on.

Najadłszy się, wstała z łóżka. Zerknęła na Paula i zauważyła, jak jest zmęczony. Miał głębokie bruzdy wokół ust. Czarne włosy sterczały mu na wszystkie strony, rozczochrane w trakcie snu, który nie przynosił ukojenia. Był zaszepiony i nieobecny duchem. Ciągłe zasypianie i budzenie się niczego nie zmieniło. Odwróciła się wbrew sobie i szepnęła:

– Kochany... kochany...

Wychylił się, wciągnął ją do łóżka i ucałował w oba policzki.

– Wkrótce wrócimy na naszą pustynię – wyszeptał jej do ucha. – Tutaj zostało do zrobienia już tylko parę rzeczy.

Chani zadrżała, usłyszawszy nieodwołalność w jego głosie.

Przygarnął ją mocniej.

– Nie bój się mnie, Sihaja – wymruczał. – Odrzuć tajemnicę i przyjmij miłość. W miłości nie ma tajemnicy. Miłość jest życiem. Czujesz ją?

– Tak.

Położyła mu dłoń na piersi i liczyła uderzenia serca. Jego miłość trafiała do jej fremieńskiej duszy – gwałtowna, bezbrzeżna, pierwotna. Zamknęła ją niczym w oku cyklonu.

– Jedno ci obiecuję, kochana. Nasze dziecko będzie władać Imperium, przy którym moje blednie. Takich wyżyn poziomu życia, sztuki i wspanialej...

– Teraz jesteśmy tutaj! – przerwała mu, połykając łzy. – I... czuję, że mamy tak mało... czasu.

– Mamy całą wieczność, kochana.

– Może ty masz. Ja mam tylko teraźniejszość.

– Ale to właśnie jest wieczność – odparł i pogłaskał ją po czole.

Wtuliła się w niego i pocałowała w szyję. Przyciskając się mocniej, pobudziła życie w swoim łonie. Poczuła, jak się porusza.

Paul też to poczuł. Położył dłoń na jej brzuchu.

– Ach, mała władczyni wszechświata, poczekaj na swój czas. Ta chwila należy do mnie.

Zastanowiło ją, że o życiu w jej łonie mówi zawsze w liczbie pojedynczej. Czyżby lekarze mu nie powiedzieli? Poszukała w pamięci, zaskoczona, że nigdy o tym nie rozmawiali. Z pewnością wie, że ona nosi bliźnięta. Już miała to wyjaśnić, ale się zawahała. Musi wiedzieć. On wie wszystko. Zna wszystko, co jest nią. Dłoni, ustami – zna ją całym sobą.

– Tak, kochany – rzekła po chwili. – To jest wieczność... To prawda. – Mocno zacisnęła powieki, żeby widok jego ciemnych oczodołów nie wyciągnął jej duszy z raju do piekła. Bez względu na magię rihani, w którą wpisał ich życie, jego ciało było prawdziwe i prawdziwe były jego pieszczoty. – Gdyby tylko ludzie poznali twoją miłość... – powiedziała, gdy wstali, żeby się ubrać.

Ale jemu już zmienił się nastrój.

– Nie można opierać polityki na miłości – stwierdził. – Ludzi nie obchodzi miłość, zresztą za dużo w niej bałaganu. Ludzie wolą despotyzm. Nadmiar wolności rodzi chaos. Chyba nie możemy na to pozwolić, prawda? Poza tym, jak sprawić, żeby despotyzm budził miłość?

– Nie jesteś despotą! – sprzeciwiła się, zawiązując chustę. – Twoje prawa są sprawiedliwe.

– Aaach, prawa. – Podszedł do okna i rozsunął kotary, jak gdyby mógł cokolwiek zobaczyć. – Co to jest prawo? Regulacja? Prawo filtruje chaos, a co nam kapie? Błogi spokój? Prawo: nasz najwyższy ideał i nasz najniższy instynkt. Nie przyglądaj się zbyt uważnie prawu. Bo i co znajdziesz? Uzasadnione wykładnie, kazuistykę, wygodne precedensy. Znajdziesz spokój, który jest po prostu inną nazwą śmierci.

Chani zacisnęła usta. Nie mogła odmówić mu mądrości i dalekowzroczności, ale te jego nastroje przerażały ją. Zwracał się przeciwko sobie i wyczuwała, że toczy wewnętrzne wojny. Jak gdyby przyjął fremeńską dewizę „Nigdy nie wybaczymy i nigdy nie zapomnimy” i poddawał się samobiczowaniu.

Stała przy nim, spoglądając w dal. Narastający upał zaczął wywodzić północny wiatr z tych osłoniętych szerokości geograficznych. Wiatr wymalował sztuczne niebo w ochrowe smugi i kryształowe welony, niezwykle, mknące ornamenty ze złota i czerwieni. Silny i zimny, załamywał się w fontannach pyłu na Murze Zaporowym.

Paul wyczuł ciepło ciała Chani. Natychmiast spuścił zasłonę zapomnienia na swą wizję. Jakby po prostu stał z zamkniętymi oczami. Ale czasu nie zdołał zatrzymać. Wdychał ciemność – bez gwiazd, bez łez. Kalectwo rozmyło materię, pozostawiając w zamian zdziwienie tym, że cały wszechświat w jakiś sposób pomieścił mu się w dźwiękach. Wszystko dookoła wisiało na jego osieroconym zmyśle słuchu, ustępującym miejsca jedynie wtedy, gdy dotknął przedmiotów: kotary, ręk ukochanej... Przyłapał się na nasłuchiowaniu oddechu Chani.

„Gdzie zawieszone są rzeczy, które są jedynie prawdopodobne?” – zadał sobie pytanie. W pamięci dźwigał ogromny bagaż okaleczonych wspomnień. Dla każdej chwili rzeczywistości istniały niezliczone projekcje, rzeczy skazane na to, że nigdy nie zaistnieją. Niewidzialny byt w jego jaźni pamiętał te fałszywe przeszłości, pod których brzemieniem czasami ugięła się teraźniejszość.

Chani oparła głowę na jego ramieniu.

Poprzez jej dotyk czuł własne ciało: martwe ciało unoszone wirami czasu. Napęczniałe wspomnieniami przebłysków wieczności. Zobaczyć wieczność to wystawić się na jej kaprysy, na udrękę niezliczonych wymiarów. Fałszywa nieśmiertelność proroka nie uchodziła mu płazem – przeszłość i przyszłość istniały równocześnie.

Wizja ponownie wychynęła z czarnej dziury i zawładnęła nim. Była jego oczami. Poruszała jego mięśniami. Wprowadzała go w następną chwilę, następną godzinę, następny dzień... dopóki nie poczuł, że był tam zawsze!

– Czas się zbierać – powiedziała Chani. – Rada...

– Alia mnie zastąpi.

– Ona wie, co robić?

– Wie.

Dzień Alii zaczął się od pobudki, jaką oddział gwardii urządził jej na majdanie pod oknami sypialni. Wyjrzawszy, zobaczyła niebywałe zamieszanie, pełne gwaru i krzyków. Zrozumiała jego przyczynę dopiero wtedy, gdy dostrzegła, kto jest pod strażą: panegirysta Korba.

W trakcie porannej toalety, co rusz podchodząc do okna, śledziła przebieg awantury. Najdłużej zatrzymywała wzrok na Korbie. Nijak nie mogła się w nim dopatrzeć Fremena, który żył w jej pamięci: nieokrzesanego, brodatego dowódcy trzeciej fali natarcia w bitwie pod Arrakin. Było to niemożliwe. Korba, w szykownego kroju płaszczu z paratońskiego

jedwabiu, stał się elegantem pierwszej wody. Rozpięty do pasa płaszcz odsłaniał pięknie usztywnioną kryzę i haftowany gors kaftana, zdobiony zielonymi kamieniami szlachetnymi. Fioletowy pas ściągał okrycie w talii. Rękawy wychodzące z rozcięć w ramionach płaszcza zszyto z wąziutkich czarnych i zielonych pasemek aksamitu.

Kilku naibów wyszło zobaczyć, jak się traktuje ich współplemieńca. Podnieśli krzyk, czym zachęcili Korbę do głośnych zapewnień o jego niewinności. Błądząc spojrzeniem od Fremena do Fremena, Alia usiłowała odnaleźć w pamięci ich dawne twarze. Teraźniejszość wymazała jednak przeszłość. Wszyscy stali się hedonistami, koneserami przyjemności, o jakich większości ludzi nawet się nie śniło.

Zauważyła, że ich spłoszone spojrzenia często wędrują ku wejściu na salę, w której mieli się zebrać. Myśleli o widzącym mimo ślepoty Muad'Dibie, o nowym przejawie jego tajemniczych mocy. Według ich prawa ślepego człowieka należało porzucić na pustyni, ofiarowując jego wodę Szejhuludowi. Ale pozbawiony oczu Muad'Dib ich widział. Nie ufali też budynkom, których naziemne pomieszczenia nie dawały poczucia bezpieczeństwa. W uczciwej, wyciętej w skale grocie czuliby się jak w domu – lecz nie tutaj, nie z tym nowym Muad'Dibem w środku.

Wychodząc na spotkanie, dostrzegła list, który zostawiła na stoliku przy drzwiach – ostatnią wiadomość od matki. Mimo wyjątkowej czci dla Kaladanu jako miejsca narodzin Paula lady Jessica stanowczo sprzeciwiała się uczynieniu z jej planety przystanku w hadżdżu.

„Mój syn bez wątpienia jest epokową postacią historii – pisała – ale to dla mnie nie powód, bym godziła się na najazd hołoty”.

Dotykając kartki, Alia doznawała dziwnego uczucia wzajemnej bliskości. Ten papier był w dłoniach jej matki. List – taki archaiczny wynalazek... a osobisty w sposób nieosiągalny dla żadnego przekazu. Napisany w atrydzkim języku walki praktycznie zapewniał nienaruszalność tajemnicy korespondencji.

Wspomnienie matki jak zwykle wywołało zamęt w umyśle Alii. Przemiana wody stwórcy, która zespoliła jaźnie matki i córki, powodowała niekiedy, że myślała o Paulu jak o swoim synu. Kokon zespolonych istot potrafił przedstawić jej rodzzonego ojca jako kochanka. W jej pamięci harcowały widmowe zjawy, ludzie z możliwych zdarzeń.

Na schodach do przedpokoju, w którym czekały amazonki z jej straży przybocznej, Alia przywołała słowa listu.

„Stanowicie zabójczy paradoks. Ustrój polityczny nie może być religijny i apodyktyczny zarazem. Przeżycie religijne wymaga spontaniczności, tę zaś nieuchronnie tłumią prawa. A nie można rządzić bez praw. Wasze prawa muszą w końcu zastąpić moralność, zastąpić sumienie, zastąpić nawet religię, za pomocą której zamierzacie rządzić. Religijny obrządek musi się rodzić z adoracji i tęsknoty za świętościami, które wykuwają moralność. Z drugiej strony system rządzenia jest tworem kulturowym wyjątkowo podatnym na wątpliwości, znaki zapytania i spory. Nastanie dzień, kiedy ceremoniał zastąpi wiarę, a symbolika zastąpi moralność”.

W przedpokoju powitał ją zapach przyprawowej kawy. Cztery amazonki w zielonych mundurach straży przybocznej wyprężyły się na jej widok. Podążyły za nią, równając pewny krok i z młodzieńczą zuchwałością wypatrując zagrożenia. Ich twarze fanatycznych wojowniczek nie znały lęku. Biła od nich owa szczególna, fremieńska drapieżność: mogły zabić od niechcenia i bez poczucia winy.

„Pod tym względem jestem inna – pomyślała Alia. – I tak imię Atrydów jest wystarczająco splamione”.

Jej nadejście poprzedziła wiadomość. Gdy wkraczała do dolnego westybulu, wybiegł z niego goniec, żeby wezwać czekający oddział gwardii. Westybul pozbawiony był okien, oświetlony zaledwie kilkoma przyćmionymi lumisferami. Snop dziennego światła wpadł przez gwałtownie otwarte drzwi w przeciwległym końcu. Promienie padały na plecy gwardzistów, którzy z Korbą w środku napłynęli z majdanu.

– Gdzie Stilgar? – zapytała Alia.

– Już w środku – odparła jedna z amazonek.

Alia skierowała się do sali. Była to jedna z bardziej pretensjonalnych sal zgromadzeń w twierdzy. Po jednej stronie znajdowała się galeria z amfiteatralnymi rzędami miękkich siedzeń. Z wysokich okien naprzeciwko odsunięto pomarańczowe zasłony. Słoneczny blask otwartej przestrzeni ogrodu z fontanną wlewał się do sali. W jej bliższym końcu, po prawej stronie Alii, stał na podwyższeniu masywny fotel.

Zmierzając w kierunku fotela, obejrzała się na galerię za sobą i zobaczyła, że pełna jest naibów.

Miejsce pod galerią zajęły szeregi pałacowych gwardzistów, wśród których krążył Stilgar, tu coś szepcząc, ówdzie rzucając jakiś rozkaz. Nie dał po sobie poznać, że zauważył wejście Alii.

Doprowadzonego Korbę usadzono na poduszkach za niskim stolikiem u stóp podwyższenia. Mimo szykownego stroju panegirysta sprawiał teraz

wrażenie przywiędłego, starego marudy, który okutał się w szaty dla ochrony przed chłodem. Za nim stanęła para strażników.

Stilgar zbliżył się do podwyższenia, kiedy Alia zasiadła w fotelu.

– Gdzie jest Muad'Dib?

– Brat upoważnił mnie, bym przewodniczyła jako Matka Wielebna.

Usłyszawszy to, naibowie podnieśli wrzawę na galerii.

– Spokój! – krzyknęła Alia. – Czyż według fremeńskiego prawa – podjęła w ciszy – Matka Wielebna nie przewodniczy sprawom dotyczącym życia i śmierci?

Ciężar jej słów zamknął usta naibom, ale zauważyła gniewne spojrzenia w rzędach twarzy. Odnotowała imiona w pamięci, dla użytku rady: Hobars, Radżifiri, Tasmin, Saadżid, Umbu, Legg... Niemal w każdym z tych imion był kawałek Diuny: sicz Umbu, basen Tasmina, przełęcz Hobarsa...

Skupiła uwagę na Korbie.

Odpowiadając na jej intensywne spojrzenie, panegirysta uniósł głowę i oświadczył:

– Uroczyście zapewniam, że jestem niewinny.

– Stilgar, odczytaj zarzuty – nakazała Alia.

Fremen chwycił brązowy zwój przyprawowego papieru i wystąpił naprzód. Czytał głosem o głębokiej intonacji, jak gdyby rozkołysanej w ukrytym rytmie. Słowa rozbrzmiewały z mocą, klarownie i uczciwie.

– ...że spiskowałeś ze zdrajcami na zgubę naszego Pana i Imperatora, że w haniebnej tajemnicy spotykałeś się z rozmaitymi wrogami Imperium, że...

Korba z wyrazem świętego oburzenia cały czas kręcił głową.

Zasępią Alia przechyliła głowę, wsparła brodę na lewej pięści, a drugą rękę wyciągnęła na poręcz fotela. Urywki formalnej procedury poczęły jej umykać wypierane ze świadomości przez niejasny niepokój.

– ...szczytnej tradycji... utrzymywanie wszędzie legionów i wszystkich Fremenów... przemocą odpowiadać na przemoc, jak nakazuje prawo... majestat Imperatora... tracą wszelkie prawa do...

„To jakaś bzdura – myślała. – Bzdura! Czysta bzdura... bzdura... bzdura...”

– Przeto wnoszę sprawę przed sąd – zakończył Stilgar.

W grobowej ciszy Korba zakołysał się do przodu, ściskając dłońmi kolana i wyciągając żylastą szyję, jakby się szykował do skoku.

– Ani słowem, ani uczynkiem nie sprzeniewierzyłem się memu fremeńskiemu ślubowaniu – rzekł, a gdy to mówił, język migotał mu między

zębami. – Domagam się konfrontacji z moim oskarżycielem.

„Całkiem naturalny protest” – pomyślała Alia.

I wywarł, jak zauważyła, spore wrażenie na naibach. Znali Korbę. Był jednym z nich. Został naibem, dowiodłszy fremeńskiej odwagi i roztropności. Nie był może najbystrzejszy, ale niezawodny. Nie nadawał się do prowadzenia dżihadu, ale był świetnym kandydatem na oficera zaopatrzeniowego. Nie był typem zdobywcy, ale stanowił wcielenie starej fremeńskiej zasady: „Plemię ponad wszystko”.

Alii przypomniały się usłyszane od Paula gorzkie słowa Otejma. Rzuciła okiem na galerię. Każdy z tych mężczyzn mógł zobaczyć siebie na miejscu Korby – niektórzy nie bez powodu. Zresztą niewinny naib jest równie niebezpieczny jak ten tutaj, winny.

Korba też to wyczuwał.

– Kto mnie oskarża? – domagał się odpowiedzi. – Mam fremeńskie prawo do konfrontacji z oskarżycielem.

– Być może ty sam się oskarżasz – powiedziała Alia.

Zanim Korba się opanował, przez chwilę na jego twarzy widać było zabobonny strach. Każdy mógł z niej wyczytać: „Wystarczy, żeby Alia z jej mocami sama mnie oskarżyła, oświadczając, że dowody pochodzą z mitycznej krainy Alam al-Mithal”.

– Nasi wrogowie mają sprzymierzeńców wśród Fremenów – ciągnęła Alia. – Niszczą oddzielacze wiatru, wysadzają kanaty, zatruwają rośliny, plądrują zbiorniki wody.

– A teraz ukradli czerwia z pustyni i zabrali go na inną planetę! – dorzucił głos znany im wszystkim, głos Muad’Diba.

Paul wszedł z korytarza, przecisnął się przez szeregi gwardii i stanął u boku Alii. Towarzysząca mu Chani pozostała przy wejściu.

– Mój panie. – Stilgar pokłonił się, unikając wzrokiem jego twarzy.

Paul obrócił puste oczodoły na galerię, a potem na Korbę.

– Co jest, Korba? Skończyły ci się hymny pochwalne?

Na galerii rozległ się szmer. Narastał, coraz wyraźniej słyhać było słowa i urywki zdań.

– ...prawo wyklucza ślepych... fremeński zwyczaj... na pustyni... kto łamie...

– Kto twierdzi, że jestem ślepy? – Paul zwrócił się twarzą do galerii. – Ty, Radżifiri? Widzę, że nosisz dzisiaj złoty płaszcz, ale na tej niebieskiej koszuli pod nim nawet stąd widać kurz z ulicy. Zawsze byłeś niechłujny.

Radżifiri wystawił trzy palce w geście odczyniającym uroki.

– Skieruj te paluchy na siebie! – krzyknął Paul. – Wiemy, gdzie tkwi zło!

– Ponownie zwrócił się do Korby. – Na twojej twarzy jest wypisana wina, Korba.

– Nie moja! Może i przestawałem z winnymi, ale nie... – Urwał i rzucił spłoszone spojrzenie na galerię.

Podejmując wskazany przez brata trop, Alia wstała, zeszła na posadzkę i zbliżyła się do Korby. Z niespełna metra wbiła w niego wzrok, milcząca i złowieszcza.

Korba skulił się pod ciężarem jej spojrzenia. Wiercił się, nerwowo zerkając ku galerii.

– Czyich oczu tam wypatrujesz? – zapytał Paul.

– Ty nie widzisz! – wymamrotał panegirysta.

Paul uwolnił się od przelotnego współczucia. Korba tkwił we wnykach wizji, spętany równie mocno jak każdy w tej sali. Odtwarzał swoją rolę i tyle.

– Nie potrzebuję oczu, by cię widzieć – oświadczył. I zaczął go opisywać: każdy ruch, każdy grymas, każde trwożliwe i błagalne spojrzenie w kierunku galerii.

Korbę ogarniała rozpacz.

Przyglądając mu się, Alia spostrzegła, że jest bliski załamania. „Ktoś z galerii też musiał to zobaczyć – pomyślała. – Ale kto?” W zastygłych niczym maski twarzach naibów odnajdywała drobne oznaki... gniewu, strachu, niepewności... winy.

Paul umilkł.

Korba zdobył się na żalosną pozę urażonej godności.

– Kto mnie oskarża? – spytał.

– Otejm – powiedziała Alia.

– Przecież Otejm nie żyje!

– Skąd to wiesz? – zapytał Paul. – Od swoich szpiegów? O, tak! Wiemy o twojej siatce szpiegów i kurierów. Wiemy, kto przywiózł tu wypalacz skał z Tarahella.

– Do obrony kwizaratu! – wykrztusił Korba.

– I w ten sposób trafił do rąk zdrajców? – dociekał Paul.

– Został skradziony, a my... – Korba umilkł i przełknął ślinę. Oczy biegały mu na wszystkie strony. – Każdy wie, że jestem głosem miłości do

Muad'Diba. – Zerknął na galerię. – Jak nieboszczyk może oskarżać Fremena?

– Głos Otejma żyje – powiedziała Alia.

Paul powstrzymał siostrę, dotknąwszy jej ramienia.

– Otejm przysłał nam swój głos – wyjaśnił. – Podaje imiona, akty zdrady, miejsca spotkań, daty. Nie brakuje ci pewnych twarzy w radzie naibów? Gdzie są Merkur i Fasz? Nie ma też dziś z nami Kulawego Keke. A gdzie jest Takim?

Korba pokręcił głową.

– Uciekli z Arrakis ze skradzionym czerwem – oświadczył Paul. – Nawet gdybym cię teraz uwolnił, Korba, za udział w tym zapłaciłbyś Szej-huludowi własną wodą. Dlaczego cię nie uwalniam? Pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy stracili oczy, a nie potrafią widzieć tak jak ja. Mają rodziny i przyjaciół, Korba. Gdzie byś się schował przed nimi?

– To był wypadek – bronił się Korba. – W każdym razie, dostają tleilaxańskie... – Znów umilkł.

– Kto wie, jakie pęta idą w parze z oczami z metalu – rzekł Paul.

Naibowie na galerii poczęli wymieniać szeptem uwagi, osłaniając usta dłońmi. Mierzyli teraz panegirystę zimnym wzrokiem.

– Do obrony kwizaratu – mruknął Paul, wracając do argumentu Korby. – Zabawka, która albo rozwała w drobny mak planetę, albo oślepią wszystkich dookoła promieniowaniem jonizującym. Które działanie, Korba, jest według ciebie odpowiednie do obrony kwizaratu? Czyżby zamknięcie oczu wszystkim wiernym?

– To była ciekawostka, mój panie – zaparł się Korba. – Wiedzieliśmy, że atomówki według starego prawa przysługują jedynie rodom, ale kwizarat podlegał... podlegał...

– Tobie – dokończył Paul. – Ciekawostka, istotnie.

– Nawet jeśli jest tylko głos oskarżyciela, mam prawo go wysłuchać – nie ustępował Korba. – Prawo Fremena.

– Prawdę mówi, Najjaśniejszy Panie – oświadczył Stilgar.

Alia spiorunowała go wzrokiem.

– Prawo jest prawem – dodał i uprzedzając jej sprzeciw, począł cytować reguły prawa fremeńskiego na przemian z własną ich wykładnią.

Alia doznała dziwnego wrażenia, że słyszy jego słowa, zanim je wypowiedział. Skąd u niego tyle naiwności? Nigdy nie był bardziej oficjalny i zachowawczy, nigdy zajadlej nie wymachiwał Kodeksem Diuny. Brodę

agresywnie wysunął do przodu. Usta wyrzucały słowa. Czy rzeczywiście nie było w nim nic prócz tego niebotycznego nadęcia?

– Korba jest Fremenem i musi zostać osądzony zgodnie z prawem fremeńskim – zakończył Stilgar.

Odwróciwszy wzrok w kierunku okna, Alia przyglądała się cieniom, które dzień kładł na ogrodowym murze. Dobijało ją poczucie bezsilności. Zajmowali się tym od samego rana. I co? I nic. Korba się odprężył. Swą postawą demonstruje, że spotyka go niesprawiedliwość, że cokolwiek zrobił, kierował się miłością do Muad'Diba. Zerknąwszy na panegirystę, zdążyła złowić wyraz butnej chytrości przemykający przez jego twarz.

„Zupełnie jakby otrzymał dobrą wiadomość” – pomyślała. Była to reakcja człowieka, który usłyszał wołanie przyjaciół: „Trzymaj się! Nadciągamy z odsieczą!”

Przez chwilę kontrolowali sytuację – mieli wiadomości od Karla, poszlaki wskazujące pozostałych spiskowców, imiona donosicieli. Ale krytyczny moment minął. „Stilgar? Z pewnością nie Stilgar”. Spojrzała na Fremena.

Popatrzył na nią z kamienną twarzą.

– Dziękuję ci, Stil – rzekł Paul – za przypomnienie nam prawa.

Stilgar odpowiedział ukłonem. Bezgłośnie składając słowa, zbliżył się, żeby zarówno Paul, jak i Alia mogli je czytać z jego warg. „Wyżmę gada jak ścierkę, a potem zajmę się resztą”.

Skinąwszy głową, Paul dał znak strażnikom Korby.

– Zamknąć go w najpilniej strzeżonej celi – rozkazał. – Żadnych odwiedzin z wyjątkiem obrońcy. Na obrońcę wyznaczam Stilgara.

– Pozwól, że sam wybiorę sobie obrońcę! – zawołał panegirysta.

Paul obrócił się na pięcie.

– Odmawiasz Stilgarowi bezstronności i rozumu?

– Ależ nie, mój panie, ale...

– Zabrać go! – warknął Paul.

Strażnicy unieśli Korbę z poduszek i wyprowadzili.

Ponownie szemrając, naibowie zaczęli opuszczać galerię. Wyszli spod niej słudzy i zaciągnęli zasłony na oknach. W sali zapanował pomarańczowy półmrok.

– Paul – odezwała się Alia.

– Lawinę przemocy uruchomimy – powiedział – kiedy będziemy mogli ją w pełni kontrolować. Dziękuję, Stil, świetnie się spisałeś. Jestem pewny, że

Alia rozpoznała naibów, którzy z nim trzymali. Chcąc nie chcąc, musieli się zdradzić.

– Razem to ukartowaliście? – zapytała Alia.

– Gdybym kazał natychmiast zabić Korbę, naibowie by to przełknęli. Ale nie formalny proces bez skrupulatnego przestrzegania fremeńskiego prawa. Tu już poczuli się zagrożeni. Którzy z nim trzymali, Alia?

– Na pewno Radżifiri – odparła cicho. – I Saadżid, ale...

– Daj Stilgarowi kompletną listę.

Alii zaschło w gardle. W tym momencie podzielała powszechny lęk przed nim. Wiedziała, w jaki sposób obraca się wśród nich bez oczu, jednak eteryczność tego zjawiska budziła w niej strach. Na żywo widział ich w przestrzeni swej wizji! Miała wrażenie, że sama migoce mu w czasie gwiazdowym, którego współbieżność z rzeczywistością zależy w całości od jego słów i czynów. Paul trzymał ich wszystkich w uścisku swej wizji!

– Opóźniła się twoja poranna audyencja, mój panie – przypomniał Stilgar.

– Mnóstwo ludzi... umiera z ciekawości... i ze strachu.

– Boisz się, Stil?

– Tak. – Szept był ledwie słyszalny.

– Jesteś moim przyjacielem i nie masz się czego obawiać z mojej strony.

Stilgar przełknął ślinę.

– Tak, mój panie.

– Alia, przejmij poranną audyencję – rzekł Paul. – Daj im znak, Stilgar.

Na znak Fremena zakotłowało się w ogromnych drzwiach. Chcąc umożliwić wejście urzędnikom, gwardia wypierała tłum wdzierający się do zacienionej sali. Nagle zaczęło się dziać wiele rzeczy naraz: gwardziści pracowali łokciami, wypychając ciżbę suplikantów, juryści w jaskrawych togach usiłowali się przedrzeć, rozlegały się krzyki i przekleństwa. Juryści wymachiwali pełnomocnictwami.

Sekretarz zgromadzenia wkroczył przed wszystkimi przejściem utorowanym przez gwardię. Niósł listę pierwszeństwa z nazwiskami tych, którym będzie wolno stanąć przed tronem. Sekretarz, żyłasty Fremen Tekrubi, nosił się z tanim cynizmem, epatując wygoloną głową i krzaczastymi bakami.

Alia wyszła mu naprzeciw, dając Paulowi i Chani czas na wymknięcie się ukrytym przejściem z tyłu podwyższenia. Tekrubi odprowadził Imperatora ciekawskim, nachalnym spojrzeniem, na chwilę budząc nieufność w Alii.

– Dzisiaj ja reprezentuję brata – powiedziała. – Każ suplikantom podchodzić pojedynczo.

– Tak, moja pani. – Zawrócił, by pokierować ciżbą.

– Nie przypominam sobie, byś kiedykolwiek nie odczytała zamysłu brata – zauważył Stilgar.

– Byłam rozkojarzona – odparła. – Zaszła w tobie dramatyczna zmiana, Stil. Co się dzieje?

Stilgar zeszytywniał. Zmienił się, jakżeby inaczej. Ale żeby dramatycznie? Z takim swoim obrazem jeszcze się nie zetknął. Dramat to śliska sprawa. Dramatyczni byli sprowadzeni artyści o wątpliwej lojalności i jeszcze bardziej wątpliwych cnotach. Dramatem posługiwali się wrogowie Imperium, usiłując wpłynąć na kapryśną ludność. Dramatem posłużył się Korba dla potrzeb kwizaratu, wypiąwszy się na fremeńskie wartości. I położył za to głowę.

– Jesteś przewrotna – rzekł. – Nie ufasz mi?

Boleść w jego głosie złagodziła rysy Alii, ale nie jej ton.

– Dobrze wiesz, że ci ufam. Zawsze zgadzałam się z bratem, że kiedy sprawy są w rękach Stilgara, można o nich spokojnie zapomnieć.

– To dlaczego mówisz, że się... zmieniłem?

– Dojrzewasz do wypowiedzenia posłuszeństwa memu bratu – odparła. – Czytam to w tobie. Mam tylko nadzieję, że to nie zgubi was obu.

Pierwsi z jurystów i suplikantów już się zbliżali. Odeszła, nim Stilgar zdążył odpowiedzieć. Ale na jego twarzy malowały się rzeczy, które wysnuła z listu matki – zastąpienie moralności i sumienia prawem.

„Stanowicie zabójczy paradoks”.



Tibana, apologeta sokratycznego chrześcijaństwa, pochodzący przypuszczalnie z IV Anbusa, żył na przełomie ósmego i dziewiątego wieku przed Corrinami, prawdopodobnie w czasie drugiego panowania Dalamaka. Z prac Tibany zachowały się jedynie fragmenty, wśród nich następujący passus: „Dusze wszystkich ludzi zamieszkują to samo pustkowie”.

– z *Diunariusza Irulany*

– Ty jesteś Bidżaz – powiedział ghola, przestąpiwszy próg niewielkiej komnaty, w której umieszczono karła pod strażą. – Ja jestem Hayt.

Wraz z gholą przybył silny oddział gwardii pałacowej, żeby złuzować dzienne warty. Zewnętrzny dziedziniec pokonali w pośpiechu, mrużąc oczy, bo piasek, niesiony wieczornym wiatrem, żądlił twarze. Było ich słyszeć w korytarzu za drzwiami, gdzie wśród żartów i wymiany wartowniczych haseł przejmowali posterunki.

– Nie jesteś Hayt – zaprzeczył karzeł. – Jesteś Duncan Idaho. Widziałem, jak wkładali twój zewłok do kadzi i jak wyjęli cię żywego i gotowego do szkolenia.

Ghola przełknął ślinę. Jasne światło lumisfer traciło żółty odcień pośród zieleni draperii na ścianach komnaty. W jego promieniach na czole karła błyszczały kropelki potu. Bidżaz sprawiał wrażenie przedziwnie monolitycznej istoty, jak gdyby zamysł uformowany w nim przez Tleilaxan przenikał go aż po skórę. Pod maską tchórza i trefnisia kryła się moc.

– Z polecenia Muad'Diba mam cię przesłuchać, żeby ustalić, po co zostałeś wysłany tu przez Tleilaxan – rzekł Hayt.

– Tleilaxanie, Tleilaxanie – zaśpiewał karzeł. – Ja jestem Tleilaxaninem, cymbale! I ty też, jeśli o to chodzi.

Hayt przyjrzał się karłowi. Bidżaz promieniował jakąś charyzmatyczną żywotnością, przywodzącą na myśl starożytne bożki.

– Słyszysz strażników za drzwiami? – zapytał ghola. – Uduszą cię na jedno moje słowo.

– Ajajaj! – zawołał Bidżaz. – Co za nieokrzesanie z ciebie. A mówiłeś, że jesteś poszukiwaczem prawdy.

Haytowi jakoś nie podobał się ukryty spokój wyzierający z miny karła.

– Być może szukam tylko przyszłości.

– Dobrze powiedziane. No to żeśmy się poznali. Dwaj złodzieje nie muszą się sobie przedstawiać.

– Dwaj złodzieje – powtórzył Hayt. – Co kradniemy?

– Nie złodzieje, jeno kości do gry – rzekł Bidżaz. – I przyszedłeś tutaj, żeby odczytać moją liczbę oczek. Ja z kolei odczytuję twoją. O la, la! Toż ty masz dwa oblicza!

– Naprawdę widziałeś, jak kładli mnie do tleilaxańskiej kadzi? – Hayt przełamał dziwny opór na myśl o zadaniu tego pytania.

– Tak jak powiedziałem. – Karzeł zerwał się na równe nogi. – Strasznie się z tobą namordowaliśmy. Ciało odmawiało powrotu.

Nagle ogarnęło Hayta wrażenie, że istnieje we śnie jakiegoś innego umysłu i że jeśli na chwilę zapomni o tym, zagubi się w jego labiryncie.

Przekrzywiwszy figlarnie głowę, Bidżaz obchodził gholę i mierzył go wzrokiem.

– Emocje wyzwalają w tobie dawne odruchy – zauważył. – Jesteś poszukiwaczem, który nie chce znaleźć tego, czego poszukuje.

– Jesteś bronią wymierzoną w Muad’Diba. – Hayt obracał się w ślad za karłem. – Co masz zrobić?

– Nic! – Bidżaz przystanął. – Daję ci prostą odpowiedź na proste pytanie.

– Zatem wymierzono cię w Alię. Czy ona jest twoim celem?

– Na obcych światach zwą ją Hawt, Lewiatanica – powiedział Bidżaz. – Co to jest, że słyszę, jak kipi w tobie krew, gdy mówisz o niej?

– Zwą ją Hawt, powiadasz. – Ghola przyglądał się Bidżazowi, usiłując go rozgryźć. Karzeł udzielał takich dziwnych odpowiedzi.

– Hawt, wszeteczna dziewczina – rzekł Bidżaz. – Wulgarna i dowcipna, mądra do przerażającej głębi, okrutna, kiedy najłagodniejsza, bezmyślna w myśleniu, niszczycielska w tworzeniu jak kurzawa Coriolisa.

– Zatem przybyłeś tutaj gardłować przeciw Alii – stwierdził Hayt.

– Przeciw niej? – Karzeł umościł się na poduszce pod ścianą. – Przybyłem tutaj, by ulec nieodpartemu urokowi jej piękna. – Na grubo ciosaną twarz wypełził jaszczurzy uśmiech.

– Atak na Alię to atak na jej brata – powiedział Hayt.

– To tak jasne, że aż niejasne. W gruncie rzeczy Imperator i jego siostra, oparci o siebie plecami, to jedna osoba, jedna istota, męska i żeńska po połowie.

– Coś takiego słyszy się od Fremenów z otwartej pustyni – stwierdził Hayt. – Tych, którzy wskresili krwawe ofiary składane Szej-huludowi. Jak to jest, że powtarzasz ich bajki?

– Śmiesz mówić, że to bajki? Ty, który jesteś zarówno człowiekiem, jak i jego maską? Aach, przecież kość do gry nie odczyta liczby swych oczek. O tym zapomniałem. No i w dwójnasób jesteś skołowany, bo służysz dwoistej atrydzkiej istocie. Twój rozum jest bliższy rozwiązaniu zagadki niż twoje zmysły.

– Głosisz tę fałszywą ewangelię Muad’Diba swym strażnikom? – zapytał Hayt cichym głosem. Czuł, że od słów karła ma mętlik w głowie.

– Oni mnie ją głoszą! – odparł Bidżaz. – I modlą się. Czemu by zresztą nie mieli? Wszyscy powinniśmy się modlić. Czyż nie żyjemy pod bokiem najbardziej niebezpiecznej istoty, jaką widział wszechświat?

– Niebezpiecznej istoty...

– Rodzona matka nie chce mieszkać z nimi na jednej planecie!

– Dlaczego nie odpowiesz mi wprost? – spytał Hayt. – Wiesz, że mamy inne metody przesłuchiwania. Dostaniemy odpowiedzi... tak czy inaczej.

– Ale ja odpowiadam na twoje pytania! Nie powiedziałem, że mit jest prawdziwy? Czy jestem wichrem, który z piaskiem niesie śmierć? Nie! Jestem słowem. Słowem jak piorun, który uderza z obłoku piasku na ciemnym niebie. Powiedziałem: „Zgaś lampę! Tu jest dzień!” A ty w kółko swoje: „Daj mi lampę, bym mógł odnaleźć dzień!”

– Prowadzisz niebezpieczną grę – stwierdził Hayt. – Myślałeś, że nie rozpoznam tych zensunnickich idei? Zostawiasz tropy równie wyraźne jak gęś w błocie.

Bidżaz zaczął chichotać.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał Hayt.

– Żałuję, że mam zęby. – Karzeł rozchichotał się na dobre. – Gdybym ich nie miał, nie mógłbym nimi zgrzytać.

– Już znam twój cel – rzekł ghola. – Wymierzono cię we mnie.

– I trafiłem w dziesiątkę! Zresztą mając tak wielki cel, jak mógłbym chybić? – Kiwnął głową, jakby sobie przytakiwał. – A teraz ci zaśpiewam. – Zanucił żalobny, skowyczący, monotony motyw, powtarzany bez końca.

Hayt zeszytywniał, czując, jak mrówki dziwnego bólu przebiegają mu tam i z powrotem po kręgosłupie. Zapatrzony w twarz karła, widział młodzieńcze oczy w starczej twarzy. Oczy stanowiły ośrodki sieci jasnych, węzełkowatych zmarszczek zmierzających ku zagłębieniom skroni. Co za wielka głowa! Wszystkie rysy zogniskowały się na ściągniętych ustach, z których dobywała się jednostajna wokaliza. Dźwięki przywodziły na myśl starożytne rytuały, podania ludowe, pradowe słowa i zwyczaje, na poły zapomniane znaczenia ukryte w przebrzmiałych pogwarkach. Odbywało się tutaj jakieś misterium życia i śmierci, krwawy spektakl idei na scenie czasu. Starsze idee tkwiły, zamotane, w śpiewie karła. Śpiew był niczym światło w oddali, które przybliżało się coraz bardziej i bardziej, oświetlając życie w długim ciągu wieków.

– Co mi robisz? – wykrztusił Hayt.

– Jesteś instrumentem, na którym nauczono mnie grać – odparł Bidżaz. – Więc gram na tobie. Pozwól, że podam ci pozostałe imiona zdrajców wśród naibów. Bikuros i Kajuejt. Dżedida, który był sekretarzem Korby. Abumodżandis, adiutant Bannerdżiego. W tej chwili któryś z nich zatapia być może nóż w twoim Muad'Dibie.

Hayt potrząsnął głową. Nie mógł wydać głosu.

– Jesteśmy jak bracia. – Bidżaz ponownie przerwał swe monotonne zawodzenie. – Wyszliśmy z jednej kadzi, najpierw ja, potem ty.

Metalowe oczy paliły Hayta żywym ogniem. Wszystko dookoła spowiała migotliwa, czerwonawa mgiełka. Czuł, że został odcięty od wszelkich zmysłowych wrażeń z wyjątkiem bólu, otoczenie zaś odbierał niczym przez falującą na wietrze cienką zasłonę z muślinu. Cały świat stał się jednym wielkim przypadkiem, przypadkowym stanem nieożywionej materii. Jego wola była ledwo uchwytna i zwiwna. Żył, nie wydając tchnienia, przejawiając się jedynie w wewnętrznym blasku.

Ze zrodzoną z rozpacz jasnością przedarł się przez muślinową zasłonę osamotnionym zmysłem wzroku. Uwagę, jak snop światła, skupił na Bidżazie. Miał wrażenie, że oczami przewierca karła, że widzi małego człowieka jako najemny intelekt, głębiej zaś stworzenie w siódmach żądz i tęsknot, odsłaniających się przed oczyma warstwa za warstwą, aż w końcu pozostaje naga istota, manipulowana za pośrednictwem symboli.

– Jesteśmy na placu boju – rzekł Bidżaz. – Mów o tym śmiało.

– Nie zmusisz mnie do zabicia Muad'Diba. – Hayt jak na komendę odzyskał głos.

– Słyszałem, że Bene Gesserit twierdzą – powiedział Bidżaz – iż w calutkim wszechświecie nie ma niczego stałego, niczego pozostającego w równowadze, niczego trwałego, iż nic nie pozostaje niezmienione, a każdy dzień, niekiedy każda godzina przynosi coś nowego.

Oślupiały Hayt potrząsnął głową.

– Uwierzyłeś, że zadowoli nas głowa głupiego Muad'Diba? Mało znasz naszych tleilaxańskich mistrzów. Gildia i Bene Gesserit sądzą, że wytwarzamy artefakty. W rzeczywistości oferujemy narzędzia i usługi. Narzędziem może być cokolwiek: ubóstwo, wojna. Wojna jest przydatna, bo skuteczna na wielu obszarach. Pobudza przemianę materii. Umacnia władzę. Miesza materiał genetyczny. Nic we wszechświecie nie jest równie vitalne jak wojna. Tylko ci, którzy doceniają wartość wojny i korzystają z niej, mają jako taką zdolność samostanowienia.

– Sypiesz dziwacznymi opiniami – przemówił Hayt nienaturalnie łagodnym głosem. – Jeszcze trochę, a uwierzę w mściwą opatrność. Skąd wzięli tkanki, aby cię stworzyć? Bez wątpienia byłby to czarujący początek opowieści, z jeszcze niezwyklejszym epilogiem.

– Wspaniale! – Bidżaz zarechotał. – Atakujesz, a to znaczy, że masz siłę woli i zdolność samostanowienia.

– Próbujesz obudzić we mnie bestię – wydyszał Hayt.

Karzeł pokręcił głową.

– Obudzić: tak, bestię: nie. Wyszkolono cię, byś był wyznawcą świadomości, jak powiedziałeś. Ja mam obudzić w tobie świadomość, Duncanie Idaho.

– Jestem Hayt!

– Jesteś Duncan Idaho. Niezrównany zabójca. Uwodziciel kobiet. Mistrz miecza i wojownik. Atrydzki adiutant polowy. Duncan Idaho.

– Przeszłości nie można obudzić.

– Nie można?

– Nigdy się to nie udało!

– To prawda, ale nasi mistrzowie nie znają pojęcia rzeczy niemożliwej. Dla nich wszystko jest wyłącznie kwestią doboru stosownego narzędzia, odpowiedniego wysiłku, właściwego sposobu...

– Ukrywasz swój prawdziwy cel! Chowasz się za parawanem nic nie znaczących słów.

– Jest w tobie niejaki Duncan Idaho – powiedział Bidżaz. – Ulegnie emocji albo chłodnej analizie, ale ulegnie. Ta świadomość wychynie przez sito zahamowań i selekcji z mrocznej przeszłości, która towarzyszy ci jak cień. Pogania cię nawet teraz, kiedy cię powstrzymuje. Istnieje w tobie jestestwo, na którym musi się zogniskować świadomość i któremu będziesz posłuszny.

– Tleilaxanom wydaje się, że wciąż jestem ich niewolnikiem, tymczasem ja...

– Milcz, niewolniku! – rzucił Bidżaz jęklwie.

Hayt umilkł jak zaklęty.

– Teraz przechodzimy do sedna – powiedział karzeł. – Wiem, że to czujesz. Zajmiemy się słowami, które tobą pokierują... Wydaje mi się, że będą miały dostatecznie silne przełożenie.

Pot spływał Haytowi po twarzy, pierś i ramiona drżały, ale nie mógł się ruszyć.

– Pewnego dnia – mówił Bidżaz – Imperator zwróci się do ciebie. Powie: „Odeszła”. Będzie miał maskę rozpacz na twarzy. Ofiaruje wodę umarłym, jak nazywają w tych stronach ronienie łez. A ty odpowiesz moim głosem: „Panie! Och, panie!”

Hayt czuł ból w ściśniętym gardle. Mógł jedynie nieznacznie obrócić głowę w lewo i w prawo.

– Powiesz: „Bidżaz zostawił wiadomość”. – Grymas wykrzywił twarz karła. – Biedny Bidżaz, który nie ma rozumu... biedny Bidżaz, bęben pełen wiadomości, gotowych do użycia przez innych treści... walnij w Bidżaza, to da głos... – Znowu się skrzywił. – Myślisz, że jestem hipokrytą, Duncanie Idaho! Nie jestem! Też umiem rozpaczać. Ale nastał czas zamiany słów na miecze.

Hayt czknął potężnie, na co Bidżaz zachichotał.

– Ach, dzięki ci, Duncan, wielkie dzięki. Ratuja nas wymogi ciała. Jako że w jego żyłach płynie krew Harkonnenów, Imperator spełni nasze żądania. Stanie się katarynką, słowowiązałką łączącą słowa w miłą uszom naszych mistrzów melodię.

Hayt zamrugał, myśląc o tym, jak bardzo karzeł przypomina mu małe, zwawe zwierzę, jakiegoś niezwykle inteligentnego i złośliwego stworka. „Harkonneńska krew w żyłach Atrydów?”

– Myślisz o Bestii Rabbanie, nikczemnym Harkonnenie, i masz w oczach mord – powiedział Bidżaz. – Przypominasz w tym Fremenów. Gdy zawodzą słowa, zawsze jest pod ręką nóż, co nie? Myślisz o swojej rodzinie zamęczonej przez Harkonnenów. A po matce twój wspaniały Paul jest Harkonnenem! Chyba łatwo przyjdzie ci zabić Harkonnena?

Gorycz bezsilności przepełniała gholę. Czy może gniew? Dlaczego miałoby to wywołać gniew?

– Och i ach – rzekł karzeł. – Aha, ha! Klik, klik. Wiadomości Bidżaza ciągnął dalszy. Tleilax proponuje twemu wielkiemu Atrydzie mały handelek. Nasi mistrzowie przywrócą mu ukochaną. Twoją poniekąd siostrę... jeszcze jednego gholę.

Haytowi wydało się nagle, że istnieje we wszechświecie wypełnionym jedynie biciem jego serca.

– Ghola – ciągnął Bidżaz. – Ciało ukochanej. Urodzi mu dzieci. Będzie kochała tylko jego. Możemy nawet poprawić oryginał, jeśli będzie miał takie życzenie. Czy kiedykolwiek człowiek otrzymał wspanialszą szansę odzyskania tego, co utracił? Takiego targu dobija się z pocałowaniem ręki. –

Pokiwał głową, powieki opadły mu jakby ze znużenia. – Wielka pokusa... odwraca jego uwagę... ty się zbliżasz. Błyskawicznie zadajesz cios! Dwóch gholi, nie jeden! Oto żądanie naszych mistrzów! – Odchrząknąwszy, znowu pokiwał głową. – Mów.

– Nie zrobię tego – oświadczył Hayt.

– A Duncan Idaho by zrobił – stwierdził karzeł. – To będzie chwila największej słabości tego potomka Harkonnenów. Nie zapominaj o tym. Zasugerujesz mu udoskonalenie ukochanej... może nieśmiertelne serce, cieplejsze uczucia. Podchodząc coraz bliżej, zaoferujesz azył: dowolną planetę poza Imperium. Tylko pomyśl! Przywrócona ukochana! Nigdy więcej łez, za to sielska kraina, w której dożyje swych dni.

– Kosztowna wyprawka – rzucił Hayt na wabia. – Zapyta o cenę.

– Powiedz mu, że ma się wyprzeć swej boskości i zniesławić kwizarat. Musi zniesławić siebie i swoją siostrę.

– Tylko tyle? – zadrwił Hayt.

– Musi się też zrzec swojego pakietu akcji KHOAM, rzecz jasna.

– Rzecz jasna.

– A jeśli nie będziesz jeszcze dostatecznie blisko, by zadać cios, opowiadaj, jak bardzo zachwyca Tleilaxan swą pokazową lekcją możliwości religii. Powiedz mu, że Tleilaxanie mają sekcję inżynierii religijnej, dopasowującą religie do konkretnych potrzeb.

– Bardzo sprytnie – skomentował Hayt.

– Wydaje ci się, że możesz ze mnie szydzić i nie słuchać moich poleceń. – Przekrzywił chytrze głowę na bok. – Nie zaprzeczaj...

– Dobrze cię zmajstrowali, stworku.

– Ciebie też – odparł Bidżaz. – Każesz mu się pośpieszyć. Tkanki gniją, więc trzeba zabezpieczyć jej ciało w zasobniku kriogenicznym.

Hayt czuł, że potyka się na niewidzialnym torze przeszkód. Karzeł wydawał się strasznie pewny siebie! W tleilaxańskiej logice musi być jakiś błąd. Tworząc gholę, nastroili go na głos Bidżaza, ale... Ale co? Logika–tor–przeszkoda. Jak łatwo wziąć proste rozumowanie za rozumowanie prawidłowe! Czy tleilaxańska logika jest wypaczona?

Bidżaz uśmiechnął się, jak gdyby słuchał ukrytego głosu.

– A teraz zapomnisz – powiedział. – Przypomnisz sobie, kiedy przyjdzie czas. On powie: „Odeszła”. Wtedy obudzi się Duncan Idaho. – Klasnął.

Hayt odchrząknął, mając wrażenie, że przerwano mu w połowie myśli... czy może w połowie zdania. Co to było? Coś o... celach?

- Usiłujesz zamącić mi w głowie i manipulować mną – rzekł.
- Jak to?
- Nie możesz zaprzeczyć, że jestem twoim celem.
- Nawet bym nie próbował.
- A co spróbowałbyś mi zrobić?
- Wyświadczyć przysługę – odparł Bidżaz. – Wyświadczyć drobną przysługę.



Z pominięciem ze wszech miar wyjątkowych okoliczności, moce jasnowidzenia nie rzucają światła na konsekwentną naturę rzeczywistych wydarzeń. Prorok łapie zdarzenia wycięte z historycznego kontinuum. Wieczność jest w ruchu. Zagarnia tak proroka, jak i suplikanta. Niech poddani Muad'Diba podają w wątpliwość jego majestat i prorocze wizje. Niech odmawiają mu jego mocy. Niech za to nigdy nie podają w wątpliwość wieczności.

– *Ewangeliarz Diuny*

Hayt widział, jak Alia wynurzyła się ze świątyni i przecięła plac. Nie odstępujące jej na krok strażniczeki srogimi minami pokrywały rysy złagodniałe od wygodnego i beztroskiego życia.

W ostrym popołudniowym słońcu błysnął nad świątynią heliograf skrzydeł ornitoptera gwardii z wizerunkiem pięści – symbolem Muad'Diba – na kadłubie.

Hayt ponownie spojrzał na Alię. „Wydaje się nie na swoim miejscu tutaj, w mieście – pomyślał. – Jej naturalnym otoczeniem jest pustynia: otwarta, nieogarniona przestrzeń”. Śledząc ją, przypomniał sobie dziwną rzecz: Alia sprawiała wrażenie zatroskanej, tylko gdy się uśmiechała. „To sprawa tego czegoś w jej oczach” – uznał, ożywiając w pamięci obraz Alii pojawiającej się na przyjęciu wydanym na cześć ambasadora Gildii: obraz dumnej kobiety z muzyką, gwarem konwersacji oraz ekstrawaganckimi sukniami i mundurami w dalekim tle. Alia w bieli, w olśniewającej jasnej szacie niewinności. Patrzył na nią z okna, gdy szła przez wewnętrzny ogród, mijając elegancką sadzawkę, kanelowane fontanny, kępy stepowych traw i białe belweder.

Całkiem nie tak... wszystko nie tak. Ona należała do pustyni.

Gwałtownie zaczerpnął powietrza. Zniknęła mu z oczu tak samo jak wtedy. Cekał, zaciskając i rozwierając pięści. Rozmowa z Bidżazem zasiała w nim niepokój.

Usłyszał, jak świta Alii predefilowała obok drzwi jego komnaty. Alia poszła do siebie.

Próbował skupić się na czymś, co nie dawało mu spokoju. Coś w jej ruchach, gdy przecinała plac? Tak. Była niczym ścigane zwierzę, uchodzące przed drapieżcą. Wyszedł na galerię, przewędrował pod zasłoną przeciwsłoneczną z plastopu i zatrzymał się, nie wychodząc z cienia. Alia stała przy balustradzie od strony świątyni.

Podążył za jej spojrzeniem i popatrzył na miasto. Prostokątne formy, klocki barw, pełzanina życia i dźwięków. Budowle skrzyły się i połyskiwały. Upał kręcił spirale prądów powietrza nad dachami. Jakiś malec odbijał piłkę w ślepym zaułku utworzonym przez skarpe w narożniku świątyni. Piłka fruwała tam i z powrotem.

Alia również śledziła lot piłki. Mimo woli stawiała się na jej miejscu – tam i z powrotem... tam i z powrotem. Tak właśnie sama odbijała się od ścian korytarzy czasu.

Tuż przed opuszczeniem świątyni wlała w siebie wielką porcję melanzu, znacznie przedawkowując. Nigdy nie zażyła go aż tyle. Przestraszyła się, nim jeszcze narkotyk zaczął działać.

„Dlaczego to zrobiłam?”

Czy dlatego, że człowiek ma do wyboru jedynie niebezpieczeństwa? Czy o to chodziło? To był sposób, żeby się przebić przez mgłę, którą ten cholerny Tarot Diuny zasnuł przyszłość. Istniał mur. Należało go rozwalić. Musiała tak postąpić, by się dowiedzieć, dokąd jej niewidomy brat kieruje swe kroki.

Znajomy stan melanzowego upojenia zaczynał przenikać jej świadomość. Biorąc głęboki wdech, zakosztowała czegoś na kształt krótkotrwałej nirwany, zawieszenia w pustce.

„Dar prorokowania zwykle zmienia nas w czarnowidzących ryzykantów” – pomyślała. Niestety, nie było żadnej abstrakcyjnej metody, żadnego matematycznego rachunku jasnowidzenia. Na wizjach przyszłości nie dało się dokonywać działań jak na zbiorach. Należało w nie wkroczyć, ryzykując życie i zdrowe zmysły.

Z mocnego cienia na balkonie wynurzyła się jakaś postać. Gholą! W stanie podwyższonej świadomości zobaczyła go z niezwykłą jasnością – smagle, żywe rysy twarzy, na której królują te połyskliwe oczy z metalu. Stanowił jedność niesamowitych przeciwieństw, scalonych w szokujący, bezpośredni sposób. Cień i oślepiające światło zarazem, skutek procesu, który przywrócił martwe ciało do życia... i jakaś kryształowa czystość... nieskazitelnosc.

Zagrożona nieskazitelnosc!

– Byłeś tu cały czas, Duncan? – spytała.

– Zatem pisane mi być Duncanem – rzekł. – Dlaczego?

– Mnie nie pytaj. – Myśląc o tym, że Tleilaxanie wypuścili gholę bez najmniejszej skazy, powiedziała: – Jedynie bogowie mogą bez ryzyka pozwolić sobie na doskonałość. Dla człowieka jest to niebezpieczne.

– Duncan umarł. – Nie chciał, żeby go tak nazywała. – Jestem Hayt.

Alia zastanawiała się, co widzą jego sztuczne oczy. Oglądane z bliska, ujawniały czarne punkciki, małe studnie ciemności w połyskliwym metalu. Fasetki! Świat wokół niej zakółsał się i rozmigotał. Przytrzymała się rozgrzanej przez słońce balustrady, łapiąc równowagę. Aaach, melanz działał szybko.

– Źle się czujesz? – spytał gholą i podszedł bliżej, nie spuszczając z niej szeroko otwartych stalowych oczu.

„Kto to mówi? – zastanawiała się. – Duncan Idaho? Mentat gholą? Filozof zensunnita? A może pionek Tleilaxan, groźniejszy niż jakikolwiek sternik Gildii?” Jej brat to wiedział.

Ponownie spojrzała na gholę. Miał teraz w sobie jakiś bezruch, coś uśpionego. Przepajały go wyczekiwanie i siły nie z tego życia.

– Po matce jestem niczym Bene Gesserit – oświadczyła. – Wiesz o tym?

– Wiem.

– Mam ich umiejętności, myślę jak one. Część mnie jest przekonana o świętej doniosłości planu eugenicznego i... jego rezultatów. – Zamrugła, czując, jak fragmentem świadomości zaczyna swobodnie przenosić się w czasie.

– Podobno Bene Gesserit nigdy nie dają za wygraną – powiedział. I uważnie spojrzawszy na nią, dostrzegł, jak bieleją jej knykcie palców zaciśniętych na balustradzie.

– Czy się potknęłam? – spytała.

Zauważył jej niezwykle głęboki oddech, wysilek mięśni przy każdym ruchu, szklisty wzrok.

– Kiedy się potkniesz, możesz odzyskać równowagę, przeskakując przeszkodę na swojej drodze.

– Bene Gesserit się potknęły – powiedziała do siebie. – Teraz chcą odzyskać równowagę, przeskakując mojego brata. Potrzebne im dziecko Chani... albo moje.

– Spodziewasz się dziecka?

Usiłowała określić się w czasoprzestrzeni względem tego pytania. Spodziewa się dziecka? Kiedy? Gdzie?

– Widzę... moje dziecko – wyszeptała.

Odeszła od balustrady, oglądając się na gholę. Jego twarz zdominowały natarczywe, przenikliwe oczy – dwa kręgi połyskującego grafitu... i błękitnawe cienie, kiedy odwrócił się od światła, wodząc za nią wzrokiem.

– Co... widzisz tymi oczami?

– To, co widzą inne oczy – odparł.

Dźwięk słów Hayta rozszerzał jej świadomość. Czowała, jak się rozpina na wszechświat – cóż za rozpiętość... szerzej... i szerzej. Zespała się z całutkim czasem.

– Zażyłaś przyprawę, dużą dawkę – stwierdził ghola.

– Dlaczego go nie widzę? – wymamrotała. Łono wszelkiego stworzenia zamknęło się wokół niej. – Powiedz mi, Duncan, dlaczego go nie widzę.

– Kogo?

– Ojca moich dzieci. Zgubiłam się w mgłę tarota. Pomóż mi.

Mentacki rachunek logiczny podsunął mu prymarną odpowiedź.

– Bene Gesserit chcą skojarzyć cię z bratem. Domknęłyby genetyczną... Alia aż jęknęła.

– Jajo w ciele – wykrztusiła. Zrobiło jej się zimno i zaraz potem gorąco. Niewidoczny partner z jej najczarniejszych snów! Ciało z jej ciała, czego jasnowidzenie nie mogło ukazać. Czy do tego dojdzie?

– Zaryzykowałaś niebezpieczną dawkę przyprawy? – Coś w nim usiłowało wyrazić paniczny strach na myśl o tym, że jakaś Atrydka mogłaby umrzeć, że Paul mógłby stanąć przed nim i powiedzieć, iż jakaś kobieta z królewskiej rodziny... odeszła.

– Nie masz pojęcia, jak wygląda tropienie przyszłości – powiedziała Alia.

– Niekiedy dostrzegam siebie... ale stoję sobie na drodze. Nie widzę poprzez siebie. – Pokręciła opuszczoną głową.

– Ile wzięłaś przyprawy?

– Natura nie cierpi jasnowidzenia. – Uniosła głowę. – Wiedziałaś o tym, Duncan?

– Powiedz mi, ile jej zażyłaś. – Przemówił łagodnie, jak do małego dziecka, a lewą ręką ujął ją za ramię.

– Mowa to strasznie toporny instrument, prymitywny i niejednoznaczny. – Uwolniła się od jego dłoni.

– Musisz mi powiedzieć.

– Spójrz na Mur Zaporowy. – Wskazała palcem. Popatrzyła wzdłuż swej wyciągniętej ręki i zadrżała, ujrawszy, jak krajobraz rozsypuje się w porażającej wizji – niewidzialne fale zmiotły zamek z piasku. Odwróciła wzrok i poraził ją widok twarzy gholi. Rysy się wyroiły, starzejąc i młodziąc na przemian... Starzec... młodzieniec. Był jak samo życie, agresywne, nieskończone... Rzuciła się do ucieczki, ale złapał ją za nadgarstek.

– Wzywam lekarza.

– Nie! Zostaw mnie z moją wizją! Muszę się dowiedzieć!

– Wracasz do komnat – rozkazał.

Zerknęła na jego dłoń. W miejscu zetknięcia ich ciał czuła elektryzujące mrowienie, które wabiło ją i przerażało zarazem. Wyrwała się, dysząc:

– Nie powstrzymasz tornada!

– Potrzebujesz pomocy lekarskiej! – warknął.

– Nic nie rozumiesz? Moja wizja jest niekompletna, to same urywki. Migają i przeskakują. A ja muszę zapamiętać tę przyszłość. To chyba jasne?

– Jaką przyszłość, jeżeli umrzesz? – Delikatnie kierował ją ku komnatom.

– Słowa... słowa... – mamrotała. – Nie umiem tego wyrazić słowami. Jedna rzecz stanowi okoliczność dla innej, ale nie ma przyczyny... nie ma skutku. Nie zdołamy zostawić wszechświata w takim stanie, w jakim był. Choćbyśmy wychodzili ze skóry, dziura nadal jest.

– Połóż się tutaj – polecił.

„Ależ z niego tępak!” – pomyślała.

Spowiły ją chłodne cienie. Włókna mięśni pełzały niczym robaki – solidne łóżko, choć wiedziała, że jest niematerialne. Trwała była tylko przestrzeń. Nic innego nie miało substancji. Łóżko pławiło się w ciałach – jej ciałach. Czas stał się wrażeniem mnogim, przeładowanym. Nie przynosił żadnego pojedynczego doznania. Czas był. Płynął. Cały wszechświat ślizgał się do tyłu, do przodu, na boki.

– To nie ma cech przedmiotu – wyjaśniła. – Nie można zajrzeć pod spód ani tego obejść. Nie ma gdzie umieścić dźwigni.

Wokół niej zaroilo się od ludzi. Jakaś wielopostaciowa istota wzięła ją za rękę. Alia popatrzyła na swoje poruszające się ciało, powędrowała wzrokiem po wijącym się ramieniu, hen, do płynnej maski twarzy. Duncan Idaho! Oczy miał jakieś... nie takie, ale to był Duncan Idaho: chłopiec–mężczyzna–młodzik–chłopiec–mężczyzna–młodzik... Z całej jego twarzy przebijał lęk o nią.

– Nie bój się, Duncan – wyszeptała.

Uściskawszy jej dłoń, skinął głową.

– Nic nie mów. – „Ona nie może umrzeć! – pomyślał. – Nie może! Żadna Atrydka nie może umrzeć!” Gwałtownie potrząsnął głową. Takie myśli przeczyły logice mentata. Śmierć jest konieczna, by życie mogło trwać.

„Ghola mnie kocha” – uświadomiła sobie Alia.

Uczepiła się tej myśli, wreszcie znalazłszy jakąś opokę. Znajoma twarz Duncana, a za nią solidne ściany. Rozpoznała jedną z sypialni w apartamentach Paula.

Jakiś nieruchomy, niezmienny mężczyzna bawił się rurką w jej gardle. Walczyła z odruchami wymiotnymi.

– W samą porę – rzekł, a ona rozpoznała nadwornego lekarza. – Powinieneś wezwać mnie wcześniej. – W głosie była nuta podejrzliwości. Rurka wysunęła się jej z gardła niczym błyszczący wąż. – Po takiej dawce zapadnie w sen – ciągnął lekarz. – Przyślę którąś z jej amazonek, żeby...

– Zostanę przy niej – oświadczył ghola.

– To wysoce niestosowne – wycedził lekarz.

– Zostań... Duncan – szepnęła Alia.

Pogłaskał jej dłoń na znak, że usłyszał.

– Moja pani – powiedział lekarz – byłoby lepiej, gdyby...

– Nie mów mi, co jest najlepsze! – wychrypiała. Każda zgłoska powodowała ból gardła.

– Wiecie, moja pani – zauważył lekarz kwaśno – czym grozi przyjęcie zbyt dużej dawki melanżu. Mogę jedynie zakładać, że ktoś wam ją podał bez waszej...

– Idiota – wycharczała. – Zostaw moje wizje w spokoju. Wiem, co zażyłam i po co. – Przytknęła dłoń do gardła. – Wyjdź stąd! Natychmiast!

Lekarz zniknął jej z pola widzenia.

– Zawiadomię waszego brata – rzucił na odchodnym.

Czując, że mężczyzna wyszedł, skupiła uwagę na gholi. Wizja wyraźnie ścieliła się teraz w jej świadomości – pożywka hodowlana, z której teraźniejszość wyrastała na wszystkie strony. Ghola wszedł do tej gry czasu, już się nie kryjąc, już umieszczony na rozpoznawalnym planie.

„On jest próbą ostateczną – pomyślała. – Zagrożeniem i zbawieniem równocześnie”.

I zadrżała, zrozumiałwszy, że ogląda wizję, którą zobaczył jej brat. Niechciane łzy paliły jej oczy. Gwałtownie potrząsnęła głową. Żadnych łez! Łzy marnują wilgoć i, co gorsza, zniekształcają kapryśny bieg wizji. Trzeba zawrócić Paula! Jeden, jedyny raz pokonała most czasu i umieściła swój głos tam, którędy miał przechodzić jej brat. Tutaj wyczerpanie nerwowe i zmienność widzenia nie pozwalały na to. Nici pajęczyny czasu przechodziły teraz przez Paula jak promienie światła skupione w soczewce. Świadomie stanął w jej ognisku. Zebrał wszystkie nici w sobie i nie pozwolił im się wymknąć ani zmienić.

– Dlaczego? – wymamrotała. – Czy to nienawiść? Czy on uderza na oślep w czas, bo czas go zranił? Nienawiść... to jest to?

Sądząc, że mówi do niego, ghola zapytał:

– Moja pani?

– Gdybym tylko mogła wypalić to coś w sobie żywym ogniem! – zaszlochała. – Nie chciałam być inna.

– Proszę, Alia, śpij – rzekł cicho.

– Chciałam móc się śmiać – szepnęła. Łzy toczyły jej się po policzkach. – Ale jestem siostrą Imperatora, którego czczą jak boga. Ludzie boją się mnie. Nigdy nie chciałam, żeby się mnie bali.

Otarł łzy z jej twarzy.

– Nie chcę być częścią historii – szeptała. – Chcę tylko być kochana... i kochać.

– Jesteś kochana.

– Aaach, lojalny, lojalny Duncan.

– Proszę, nie mów tak o mnie – błagał.

– Przecież taki jesteś. A lojalność to ceniony towar. Można ją sprzedać... nie kupić, tylko sprzedać.

– Nie podoba mi się twój cynizm.

– Do licha z twoją logiką! To prawda.

– Śpij – powiedział.

– Kochasz mnie, Duncan?

- Tak.
- Czy to jedno z tych kłamstw? – spytała. – Jedno z tych kłamstw, w które łatwiej uwierzyć niż w prawdę? Dlaczego boję się ci uwierzyć?
- Boisz się mojej odmienności, tak jak boisz się swojej.
- Bądź mężczyzną, nie mentatem! – burknęła.
- Jestem mentatem i mężczyzną.
- Uczynisz mnie swoją żoną?
- Uczynię, co nakazuje miłość.
- I lojalność?
- I lojalność.
- Dlatego właśnie jesteś niebezpieczny.

Zaniepokoiły go jej słowa. Żadna oznaka niepokoju nie pojawiła się na jego twarzy, nie drgnął mu żaden mięsień – ale ona wiedziała. Wizyjna pamięć obnażyła jego niepokój. Niemniej czuła, że umknął jej fragment wizji, że powinna przypomnieć sobie z przyszłości coś jeszcze. Istniało inne postrzeganie, które nie opierało się ściśle na zmysłach, coś, co wpadało jej do głowy znikąd, podobnie jak jasnowidzenie. Kryło się w cieniach czasu – nieskończenie bolesne.

Emocja! To było to: emocja! Pojawiała się w wizji, nie wprost, lecz jako iloczyn, z którego mogła wywnioskować, co się kryje w tle. Tkwiła w pętach emocji – nierozzerwalnym splocie lęku, rozpacz i miłości. Czyhały w wizji, stopione w jeden niebezpieczny twór, niepohamowany i pierwotny.

- Duncan, nie daj mi usnąć – wyszeptała.
- Śpij – odparł. – Nie broń się przed snem.
- Muszę... muszę. On jest przynętą we własnej pułapce. Jest niewolnikiem potęgi i strachu. I przemocy... Ubóstwienie zamyka go w klatce. On straci... wszystko. To go zabije.

- Mówisz o Paulu?
- Doprowadzają go do samozagłady – wykrztusiła, wyginając plecy w łuk. – To zbyt wielkie brzemię, zbyt wielka rozpacz. Odwodzą go od miłości. – Opadła na łóżko. – Tworzą wszechświat, w którym on nie pozwoli sobie żyć.

- Kto za tym stoi?
- On! Oooch, jak ty ciężko myślisz. On jest częścią tego układu. I jest już za późno... za późno... za późno...

Jeszcze mówiąc, czuła, jak jej świadomość zapada się, pokład za pokładem. Zatrzymała się dokładnie pod pępkiem. Ciało i umysł rozeszły się

i spotkały w lamusie reliktowych wizji – płynących... płynących... Usłyszała uderzenia serca płodu – dziecka z przyszłości. Pozostając we władzy melanzu, popłynęła na falach czasu. Wiedziała, że doświadcza życia jeszcze nie poczętego dziecka. I jedno było pewne – ono zazna takiego samego przebudzenia, jakie jej przypadło w udziale. Będzie świadomą, myślącą istotą, zanim się urodzi.



Siła ma granicę, poza którą nawet najpotężniejsi nie mogą jej użyć bez zniszczenia siebie. Wyznaczenie owej granicy stanowi o prawdziwej sztuce rządzenia. Nadużycie siły jest śmiertelnym błędem. Prawo nie może być narzędziem zemsty, nigdy straszakiem ani szańcem przeciwko stwarzanym przez siebie męczennikom. Nie można bezkarnie zagrozić żadnemu człowiekowi.

– Muad'Dib o prawie za Komentarzami Stilgara

Chani zapatrzyła się na pustynny świt wokół rozpadliny uskoku u stóp siczy Tabr. Czula się tutaj bezbronna, nie włożywszy filtraka. Wysoko za sobą pozostawiła wejście do siczowej groty, ukryte w skalnym urwisku.

Pustynia... pustynia... Miała wrażenie, że dokądkolwiek szła, pustynia podążała za nią krok w krok. Wróciwszy na pustynię, nie tyle wróciła do domu, ile obejrzała się na to, co zawsze było przy niej.

Chwycił ją bolesny skurcz. Poród był już blisko. Pokonała ból, pragnąc przez chwilę być sama ze swoją pustynią.

Świat zastygł w spokoju poranka. Dookoła cienie pierzchały pośród wydm i tarasów Muru Zaporowego. Znad wysokiego urwiska wychynął brzask i zanurzył ją w posępnym pejzażu pod wyblakłym błękitem nieba. Widok współgrał z czarnymi myślami, jakie dręczyły ją, odkąd się dowiedziała o ślepotcie Paula.

„Dlaczego tu jesteśmy?” – zastanawiała się.

Nie była to hadzra, podróż w poszukiwaniu czegoś, gdyż Paul nie szukał tu niczego, oprócz, być może, odpowiedniego miejsca na poród. Zebrał natomiast osobliwą, jej zdaniem, kompanię. Byli w niej: Bidżaz, karzeł z Tleilaxa; ghola Hayt, który być może był zmartwychwstałym Duncanem Idaho; Edryk, sternik Gildii i ambasador; Gaius Helena Mohiam, Matka Wielebna Bene Gesserit, której z całego serca nienawidziła; Lichna,

przedziwna córka Otejma, jak gdyby połączona niewidzialną więzią z czujnymi strażnikami; Stilgar, wuj Chani i naib; jego ulubiona żona Hara... Irulana... i Alia...

Jej myślom wtórowały poświstywanie wiatru wśród skał. Pustynny dzień wypełniał się kolejnymi odcieniami żółci, brązu i szarości.

„Dlaczego taka osobliwa kompania?” – myślała.

– Zapominamy – rzekł Paul, odpowiadając jej na to pytanie – że słowo „kompania” oznaczało pierwotnie „towarzyszy podróży”. Stanowimy kompanię.

– A co ona jest warta?

– No proszę! – Obrócił w jej stronę swe upiorne oczodoły. – Zatraciliśmy ów czysty, prosty smak życia. Coś, czego się nie da zabutelkować, wykuć, zaostriżyć albo zgromadzić na stosie, jest dla nas nic niewarte.

– Nie to miałam na myśli. – Chani poczuła się urażona.

– Aaach, najpiękniejsza – pragnął ją udobruchać – jesteśmy bardzo bogaci pieniądzem, a bardzo ubodzy duchem. Sam jestem niedobry, uparty, głupi...

– Nieprawda!

– I prawda, i nieprawda. Ale mam krew czasu na dłoniach. Sądzę... sądzę, że próbowałem wymyślić życie, nie zdając sobie sprawy, że już dawno zostało wymyślone. – Dotknął jej brzucha, żeby wyczuć w nim nowe życie.

Wspomniawszy to, przycisnęła dłonie do brzucha i zadrżała, żałując, iż poprosiła Paula, by ją tu sprowadził.

Pustynny wiatr przyniósł przykry zapach od sadzonek utrwalających wydmy u podnóża urwisk – krzew nazywał się „broda starca”. Sprawdzał się fremeński przesąd: „Złe zapachy to złe czasy”. Wystawiając twarz do wiatru, spostrzegła czerwia, który pojawił się za kordonem krzewów. Niczym dziób widmowego statku wyłonił się z wydm, zakotłował piaskiem i zwietrzywszy zabójczą dla jego gatunku wodę, umknął w głąb, zostawiając podłużny kopiec.

Swoim strachem wzbudził również w niej nienawiść do wody. Woda, niegdyś duch życia Arrakis, stała się trucizną. Woda sprowadza plagę. Tylko pustynia jest czysta.

W dole pokazała się robocza brygada Fremenów. Wspinali się ku środkowemu wejściu siczy, migając zabłoconymi podeszwami.

„Fremeni z błotem na butach!” – pomyślała Chani.

Z górnego wejścia doleciały ją cienkie, dziecięce głosiki śpiewające pieśń poranną. Słuchając ich, odniosła wrażenie, że czas ucieka przed nią niczym

jastrząb przed burzą. Wzdrygnęła się.

Jakie burze wypatrzył Paul swoim bezokim wzrokiem?

Wyczuwała w nim groźne szaleństwo, czyniące go głuchym na pieśni i polemiki.

Zauważyła, że niebo nabrało krystalicznej szarości, przetykanej alabastrowymi promieniami w niezwykle wzory, które szybujący z wiatrem piasek wytrawił na nieboskłonie. Wstęga błyszczącej bieli na południu przykuła jej wzrok. Z nagle obudzoną czujnością odczytała znak: białe niebo na południu – paszcza Szej-huluda. Nadciągała burza, potężny samum. Poczuła ostrzegawczy podmuch kłujący policzki igiełkami piasku. Wiatr niósł odór śmierci: zapachy wody płynącej w kanatach, wilgotnego piachu, krzemionki. Woda... To za grzech wody Szej-hulud zsyła swą kurzawę Coriolisa.

Do rozpadliny zleciały się jastrzębie, szukając schronienia przed wichrem. Były brązowe jak skała, ze szkarłatnymi lotkami. Rwała się do nich całą duszą: zawsze miały jakąś kryjówkę, ona – żadnej.

– Moja pani, wiatr idzie!

Obróciła się i przed górnym wejściem siczy dostrzegła gholę. Ożyły w niej fremeskie lęki. Śmierć, po której plemię odbiera wodę ciała, to było dla niej oczywiste. Ale... coś żyjącego po śmierci...

Wiatr smagał piaskiem, aż zapiekły ją policzki. Obejrzała się przez ramię na potworny wał pyłu sunący po niebie. Pustynia pod nim sprawiała wrażenie pociemniałej i wzburzonej, zdawało się, że wydmy – niczym spiętrzone fale – biją w skalisty brzeg, jak w dawnej opowieści Paula o morzu. Przystanęła, ogarnięta poczuciem znikomości pustyni. W porównaniu z wiecznością była to ledwie garść piachu na wietrze. Wydmowy przybój huczał u nadbrzeżnego urwiska.

Pustynna burza nabrała dla niej uniwersalnego wymiaru – chowają się wszystkie zwierzęta... z życia pozostają tylko własne głosy pustyni: chrobot piasku smagającego skałę, gwizd zawiei, tętent głazu toczącego się nagle ze szczytu... i łups!... gdzieś poza zasięgiem wzroku wywrócony brzuchem do góry czerw młóci piach, przekręcając się do idiotycznie właściwej pozycji i nurkując w suche głębiny.

Mierząc jej życiem, była to zaledwie chwila, lecz w tej chwili czuła, jak zmieciona zostaje cała planeta – kosmiczny pyłek, cząstka innych fal.

– Musimy się pospieszyć – odezwał się ghola tuż przy jej uchu. W jego głosie usłyszała lęk, troskę o jej bezpieczeństwo. – Ten wiatr oderwie ciało

od kości.

Kto jak kto, ale ona nie potrzebowała takich pouczeń. Jednak swą troskliwością rozproszył jej lęk przed nim i przyjęła jego pomocną dłoń w trakcie wspinaczki po skalnych stopniach. Weszli za krętą przegrodę osłaniającą wejście. Otwarto i zamknięto za nimi grodzie uszczelniające.

W nozdrza uderzyły ją zapachy siczy. Cała gama węchowych wspomnień – bliskość ciał ludzkiego mrowiska, cuchnące estry regeneracyjnych alembików, aromaty znajomej kuchni, krzemienisty swąd pracujących urzędów... i przenikająca wszystko, wszechobecna przyprawa: melanz we wszystkim.

Odetchnęła pełną piersią. „Witaj, domu”.

Puściwszy jej ramię i odsunąwszy się, ghola stał nieporuszony, niemal jak wyłączona maszyna, gdy nikt jej nie używa. Tyle tylko że... patrzył.

Chani ociągała się w komorze wejściowej, zaniepokojona czymś, czego nie potrafiłaby nazwać. Tu był jej prawdziwy dom. W dzieciństwie łapała tutaj skorpiony przy świetle ręcznej lumisfery. Jednak coś się tu zmieniło...

– Chyba powinnaś się udać do swoich komnat, moja pani – rzekł ghola.

Jakby wywołana słowami Hayta, fala skurczów porodowych rozeszła się po jej brzuchu. Nie pokazała po sobie bólu.

– Moja pani? – ponaglił ghola.

– Dlaczego Paul obawia się o mnie w związku z porodem?

– To naturalne, że martwi się o twoje bezpieczeństwo.

Dotknęła zaczerwienionego od uderzeń piasku policzka.

– A nie obawia się o dzieci?

– Moja pani, ilekroć myśli o dziecku, zaraz mu się przypomina, że wasz pierworodny został zabity przez sardaukarów.

Przyjrzała się gholi – nieprzeniknionej twarzy, mechanicznym oczom bez wyrazu. Czy to stworzenie naprawdę jest Duncanem Idaho? Czy jest czymkolwiek przyjacielem? Czy teraz mówi szczerze?

– Powinnaś przebywać z lekarzami – rzekł.

Znowu usłyszała w jego głosie lęk o jej życie. Nagle poczuła, że jej umysł pozbawiony jest obrony, wydany na pastwę szokujących spostrzeżeń.

– Hayt, boję się – szepnęła. – Gdzie jest mój Usul?

– Zatrzymują go sprawy wagi państwowej.

Pokiwała głową, myśląc o rządowej ferajnie, która towarzyszyła im w wielkiej eskadrze ornitopterów. Znienacka uświadomiła sobie, co zaniepokoiło ją w siczy: obcoświatowe aromaty. Sekretarze i doradcy

przywieźli tu własne zapachy, wonie swych potraw, strojów, egzotycznych kosmetyków. Na nie nałożyły się tutejsze odory.

Wzdrygnąwszy się, Chani zdusiła w sobie gorzki śmiech. Nawet zapachy zmieniają się w obecności Muad'Diba!

– Były pilne sprawy, których nie mógł odłożyć na później. – Ghola opacznie zrozumiał jej niezdecydowanie.

– Tak... tak, wiem. Ja też przyleciałam z tą szarańczą.

Wspominając lot z Arrakin, przyznawała w duchu, że nie wierzyła, iż wyjdzie z tego cało. Paul uparł się i pilotował swój ornitopter. Bez oczu doprowadził tutaj maszynę. Po takim przeżyciu już niczym nie mógł jej zaskoczyć.

Znowu chwyciły ją bóle. Ghola zauważył jej głęboki wdech i ściągnięte policzki.

– Czy to już?

– Ja... tak, już.

– Nie wolno zwlekać. – Ujął ją za ramię i szybko powiodł w głąb korytarza.

Czując, że wpadł w panikę, powiedziała:

– Jeszcze nie rodzę.

Sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał.

– Zensunnicka szkoła rodzenia – mówił, ponaglając ją coraz bardziej – zaleca bezcelowe wyczekiwanie w najwyższym napięciu. Nie stawaj w szranki z tym, co się dzieje. Stawać w szranki to przygotowywać się do porażki. Nie ulegaj potrzebie osiągnięcia czegokolwiek. W ten sposób osiągniesz wszystko.

Gdy tak gadał, dotarli na miejsce. Wepchnął ją za kotary, nawołując:

– Hara! Hara! Chani rodzi! Wezwij lekarzy!

Jego krzyk sprowadził położne. W powstałym zamęcie Chani czuła się niczym samotna wysepka spokoju... do nadejścia następnych bólów.

Hayt, zostawiony w korytarzu, miał dość czasu, żeby się zastanowić nad swymi poczynaniami. Odnosił wrażenie, że tkwi w jakimś momencie czasu, w którym wszystkie prawdy są jedynie tymczasowe. Uświadomił sobie, że za jego postępowaniem kryje się panika. Panika zogniskowana nie wokół ewentualności, że Chani może umrzeć, ale że Paul może potem przyjść do niego... pełen rozpaczy, że... jego ukochana... odeszła... odeszła...

„Coś nie może się wyłonić z niczego – powiedział w duchu. – Z czego wyłania się ta panika?”

Orientując się, że jego mentackie zdolności zostały ograniczone, wydał długie, przeciągłe westchnienie. Musnął go cień jasnowidzenia. Jakby w emocjonalnym mroku czekał na jakiś ostateczny dźwięk – trzask gałązki w dżungli.

Westchnął ciężko. Niebezpieczeństwo przeszło – atak nie nastąpił.

Mobilizując z wolna swoje talenty i zrywając wędzidła zahamowań, zapadł w mentacką świadomość. Zrobił to na siłę – droga nie najlepsza, ale – tak czy inaczej – nieunikniona. Przemieszczały się w nim fantomy w miejsce ludzi. Stał się portem przeładunkowym dla każdego elementu danych, z którym kiedykolwiek się zetknął. Jego jaźń zaludniały postaci z różnych możliwości. Przechodziły jak na paradzie, żeby je porównywał i oceniał.

Pot wystąpił mu na czoło.

Ledwie zarysowane myśli odpływały w ciemność – w nieznane. Nieskończone systemy! Mentat nie mógł funkcjonować, nie zdawszy sobie sprawy, że operuje w nieskończonych systemach. Nie mógł ogarniać nieskończoności skończoną wiedzą. Nie pomieściłby „wszędzie” w zbieżnej perspektywie. Sam musiałby w zamian stać się nieskończonością – na chwilę.

W jednym upostaciowującym paroksyzmie skojarzył wszystko, ujrawszy siedzącego Bidżaza w oślepiającym blasku jakiegoś wewnętrznego ognia.

Bidżaz!

Karzeł coś mu zrobił!

Hayt poczuł, że balansuje na krawędzi śmiertelnej otchłani. Powiódł dalej ciąg mentackiej kalkulacji, sprawdzając, dokąd mogą doprowadzić jego działania.

– Wewnętrzny przymus! – Zaparło mu dech. – Zaszczepił mi wewnętrzny przymus!

Mijający go kurier w niebieskim płaszczu zwolnił.

– Pan coś powiedział?

Nie patrząc na niego, ghola skinął głową.

– Powiedziałem wszystko.



Raz pewien mędretek skoczył

*W piasku kupę
I jak głupek
Wypalił sobie oczy.
A gdy mu dopiekł oczu brak,
Nie wdawał się w lamenty,
Za wizją polazł w świat
I w mig się zrobił święty.*

– dziecięca rymowanka z *Opowieści o Muad'Dibie*

Paul stał w ciemnościach na skraju sicz. W proroczej wizji widział tę noc, widział sylwetkę kaplicy nad przełęczą Harga, rysującą się w blasku księżyca gdzieś daleko, z lewej strony. Było to miejsce pełne wspomnień – jego pierwsza sicz, w której on i Chani...

„Nie wolno mi myśleć o Chani” – powiedział sobie w duchu.

W kurczącym się polu wizji wszędzie dostrzegał zmiany – kępa palm w dali po prawej, wysrebrzona czarna wstęga kanatu, którego wody przecinały wydmy spiętrzone tego ranka przez burzę piaskową.

„Woda płynąca na pustyni!” – skonstatował. Wspomnił inne wody: rzekę na ojczystym Kaladanie. Kiedyś nie zdawał sobie sprawy, jakim skarbem jest taki nurt, choćby i ospały ciek kanatu przecinający pustynny basen. Skarb.

Dyskretnie kaszlnąwszy, podszedł doń z tyłu doradca.

Paul wyciągnął ręce po podmagnetnik z kartką metalicznego papieru. Poruszał się równie niemrawo jak woda w kanacie. Wizja płynęła, tymczasem on z coraz większą niechęcią myślał o tym, by z nią podążać.

– Przepraszam, Najjaśniejszy Panie, wasz podpis – rzekł doradca. – To traktat semboulski.

– Umieć czytać! – burknął Paul. Skrobnąwszy w odpowiednim miejscu „Atryda Imper.”, wepchnął tabliczkę prosto w wyciągniętą dłoń doradcy, wiedząc, że wzbudzi tym u niego lęk.

Doradca czmychnął.

Paul odwrócił się. „Straszna, jałowa kraina!” – pomyślał. Oczyma wyobraźni ujrzał ją zalaną słońcem i upiorną od upału, miejsce pełne osuwisk piasku i ciemnych otchłani basenów pyłopływów, siedlisko demonów wiatru rozkręcających w tańcu małe wydmy na wąskich brzuchach skał, które połyskują brunatnożółtymi kryształami. Ale była to również piękna kraina: wielka, strzelająca z zamkniętych przestrzeni w perspektywy najeżdżanego przez piaskowe burze pustkowia, w panoramy skalnych szanów i poszarpanych górskich grzbietów.

Łaknęła jedynie wody... i miłości.

„Życie nadaje tym gniewnym pustkowiom formy pełne gracji i ruchu” – stwierdził. Oto przesłanie pustyni. Z osłupieniem uświadomił sobie tę sprzeczność. Miał ochotę obrócić się i krzyknąć do stłoczonej w siczowym wejściu świty: „Jeśli musicie oddawać czemuś cześć, to czcicie życie... Wszelkie życie, do ostatniej pełzającej drobiny! W nas wszystkich jest piękno życia!”

Jednak nie zrozumieliby tego. Do reszty spustynnieli na pustyni. Flora nie wykonywała dla nich żadnych zielonych tańców.

Zacisnął opuszczone pięści, usiłując zatrzymać wizję. Pragnął uciec przed własnym umysłem, przed potworem, który chciał go pożreć. Świadomość ciążyła mu, napęczniała od zbyt wielu przeżyć, nasączona całym życiem, które wchłonęła niczym gąbka.

Rozpaczliwie wyrywał się myślami na zewnątrz.

„Gwiazdy!”

Świadomość aż skuliła się na myśl o tych wszystkich gwiazdach nad głową – nieskończonym mnóstwie gwiazd. Trzeba być na poły szaleńcem, by się łudzić, że można panować choćby nad kroplą tej nieskończoności. Nawet nie próbował wyobrazić sobie liczby poddanych swego Imperium.

Poddanych? Raczej czcicieli i wrogów. Czy choć jeden z nich sięga wzrokiem poza opłotki wiary? Gdzie jest ten jeden człowiek, który uniknął ograniczającego przeznaczenia własnych przesądów? Nawet Imperator go nie uniknął. Żył, biorąc od życia wszystko i usiłując stworzyć wszechświat na swoją miarę. Jednak to triumfujący wszechświat przetoczył się w końcu po nim milczącymi falami.

„Pluję na Diunę! – pomyślał. – Ofiarowuję jej moją wilgoć!”

Utkał sobie mit z zawitych posunięć i wyobraźni, z księżycowego blasku i miłości, z modlitw starszych niż ludzkość, z szarych urwisk i pąsowych cieni, z lamentów i rzesz męczenników... i co z tego wyszło? Gdy fale się cofną, brzegi czasu rozpościerać się będą czyste, puste, połyskujące niemal wyłącznie niezliczonymi ziarenkami pamięci. I to jest ta złota kolebka człowieka?

Szuranie piasku na kamieniach obwieściło mu nadejście gholi.

– Unikałeś mnie dzisiaj, Duncan – rzekł.

– To dla ciebie niebezpieczne tak mnie nazywać – odparł ghola.

– Wiem.

– Przychodzę... ostrzec cię, mój panie.

– Wiem.

Ghola wyrzucił z siebie opowieść o wewnętrznym przymusie, który zaszczerpił mu Bidżaz.

– Znasz rodzaj tego przymusu? – spytał Paul.

– Przemoc.

Paul czuł, że dociera do miejsca pisanego mu od początku. Był zawieszony w przestrzeni. Dżihad porwał go i wprawił w lot ślizgowy, z którego straszliwa siła ciężenia przyszłości nigdy nie pozwoli mu się wyrwać.

– Nie będzie żadnej przemocy ze strony Duncana – wyszeptał.

– Ale ja...

– Mów mi, co widzisz wokół nas – rzekł Paul.

– Słucham?

– Pustynia... Jaka jest tej nocy?

– Nie widzisz jej, mój panie?

– Nie mam oczu, Duncan.

– Ale...

– Mam tylko moją wizję, której wolałbym nie mieć – odpowiedział Paul.

– Umieram na jasnowidzenie, wiesz, Duncan?

– Może... twoje obawy się nie spełnią.

– Co? Mam nie wierzyć własnej przepowiedni? Niby jak, skoro spełniła się tysiące razy? Ludzie nazywają to mocą, darem. A tymczasem to choroba! Nie pozwoli mi zostawić mego życia tam, gdzie je znalazłem!

– Mój panie – wymamrotał ghola – ja... to nie jest... paniczu, ty nie... ja... – Zamilkł.

Wyczuwszy zmieszanie gholi, Paul spytał:

– Jak mnie nazwałeś, Duncan?

– Jak? Ja... przez chwilę...

– Nazwałeś mnie „paniczem”.

– Tak.

– Duncan zawsze tak mnie nazywał. – Wyciągnął rękę i dotknął policzka gholi. – Czy to była część tleilaxańskiego szkolenia?

– Nie.

Paul opuścił rękę.

– Zatem?

– To się wzięło... ze mnie.

– Masz dwóch panów?

– Być może.

- Wyzwól się od gholi, Duncan.
- Jak?
- Jesteś człowiekiem. Postąp jak człowiek.
- Jestem gholą!
- Ale masz ludzkie ciało. Jest w nim Duncan Idaho.
- Jest w nim *nie wiadomo co*.
- Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale zrobisz.
- Widziałeś to w wizji?
- Mam gdzieś wizję! – Paul odwrócił się od gholi. Wizja gwałtownie nabrała teraz pędu, pełna dziur, lecz nie do zatrzymania.
- Mój panie, jeśli ty...
- Cicho! – Paul uniósł dłoń. – Słyszałeś to?
- Co, mój panie?

Paul potrząsnął głową. Duncan niczego nie usłyszał. Czyżby to było złudzenie? Głos z pustyni, przyzywający go plemiennym imieniem – z wielkiej dali i cicho: „Usul... Uuuusssssuuulllll...”

- O co chodzi, mój panie?

Paul znowu potrząsnął głową. Czuł, że jest obserwowany. Coś w głębi nocnych cieni wiedziało, że on tu jest. Coś? Nie – *ktoś*.

- Wszystko było takie słodkie – wyszeptał w ciszy – ale ty byłaś najśłodsza.

- Co powiedziałaś, mój panie?
- To przyszłość – odparł Paul.

Amorficzny wszechświat ludzi raptownie przyspieszył, tańcząc, jak mu zagrała jego wizja. Musiała uderzyć w potężną strunę. Być może przetrwają pogłosy echa.

- Nie rozumiem, mój panie – rzekł ghola.
- Fremen umiera od zbyt długiej rozłąki z pustynią. Nazywają to „wodną chorobą”. Czy to nie dziwne?
- Bardzo dziwne.

Paul zmagał się ze wspomnieniami, usiłując przywołać szmer oddechu Chani w nocy. „Gdzie jest pocieszenie?” – pytał sam siebie. Pamiętał jedynie obraz Chani przy śniadaniu, w dniu ich odlotu na pustynię. Była niespokojna, podenerwowana.

- Dlaczego nosisz tę starą bluzę? – Patrzyła na czarny mundur z godłem czerwonego jastrzębia pod jego fremeńskim płaszczem. – Jesteś Imperatorem!

– Nawet Imperator ma swoje ulubione stroje – odparł.

Nie rozumiał, dlaczego po tym w jej oczach zalśniły łzy; drugi raz w życiu pękły w niej fremeńskie zahamowania.

W ciemności Paul potarł własne wilgotne teraz policzki. „Kto tu ofiarowuje wilgoć umarłym?” – zastanawiał się. Twarz była jego i nie jego zarazem. Wiatr chłodził mokrą skórę. Nieśmiałe marzenie przybrało kształt i pękło niczym bańka mydlana. Co to za gruda w piersi? Zaszkodziło mu coś, co zjadł? Jakże rozgoryczony i płaczliwy jest ten drugi on, ofiarowujący wilgoć umarłym. Wiatr jeżył się igiełkami piasku. Skóra, sucha już, była jego skórą. Ale czyje było drżenie, które nie ustało?

Wtem usłyszeli zawrodozenie z oddali, z głębi siczy. Coraz głośniejsze... i głośniejsze...

Ghola obrócił się gwałtownie ku nieoczekiwanej połodze światła – ktoś otwierał na oścież wejściowe grodzie. W świetle zobaczył Fremena z krzywym uśmiechem. Nie! Nie z uśmiechem, lecz z grymasem żałoby na twarzy! Był to Tandis, porucznik fedajkinów. Za nim, patrząc na Muad'Diba, tłoczyli się milczący ludzie.

– Chani... – zaczął Tandis.

– Nie żyje – wyszeptał Paul. – Słyszałem jej krzyk.

Obrócił się w stronę siczy. Znajome miejsce. Miejsce, w którym nie było dla niego schronienia. Rozpędzona wizja oświeślała tłum Fremenów. Widział Tandisa, wyczuwał żalobę, lęk i gniew fedajkina.

– Odeszła – powiedział.

Ghola usłyszał słowa dochodzące z kręgu ognia. Palily go w piersi, palily w kręgosłupie i w oczodołach mieszczących metalowe gałki oczne. Czuł, jak jego prawa dłoń sunie do noża za pasem. Własne myśli stały się obce, oderwane. Był jak marionetka zawieszona na tym potwornym kręgu za pomocą mocnych sznurków. Kierowały nim obce komendy, obce życzenia. Sznurki szarpały jego ramiona, nogi i szczękę. Z ust wyrwał się bełkot, powtarzające się przeraźliwe dźwięki:

– Hrrak! Hraak! Hraak!

Błysnęło ostrze noża. W tejże chwili, odzyskawszy swój głos, rzucił chrapliwie:

– Biegnij! Paniczu, biegnij!

– Nie będziemy biec – oświadczył Paul. – Pójdziemy z godnością. I zrobimy to, co godzi się zrobić.

Gholi stężały mięśnie. Zadrżał i zachwiał się. „...to, co godzi się zrobić!” Słowa przeorały mu pamięć niczym wynurzająca się z toni wielka ryba. „...to, co godzi się zrobić!” Aaach, to było w stylu Starego Księcia, dziadka Paula. Panicz miał w sobie wiele z dziadka. „...to, co godzi się zrobić”.

Słowa jęły się rozwijać w umyśle gholi. Świadomość chłonęła wrażenie bytowania w dwóch istotach równocześnie. Hayt/Idaho/Hayt/Idaho... Drzewo relatywnego życia, pojedyncze, samoistne. Napływały dawne wspomnienia. Oznaczał je, wpasowywał w nowe zdolności pojmowania i wstępnie tworzył nową świadomość. Nowa *osobowość* osiągnęła przejściowe stadium duchowej tyranii. Integracji cech tej osobowości zagrażał brak porządku, jednak wydarzenia zmuszały go do doraźnego przystosowania. Był potrzebny paniczowi.

Stało się. Nie zapominając niczego z Hayta, rozpoznał siebie jako Duncana Idaho, jak gdyby pod wpływem ognistego katalizatora ujawniło się to, co było w nim ukryte. Zniknął ognisty krąg. Pozbył się wewnętrznego przymusu Tleilaxan.

– Trzymaj się mnie, Duncan – rzekł Paul. – Będę polegał na tobie w wielu sprawach. Duncan! – rzucił, gdy Idaho nadal stał jak urzeczony.

– Tak, jestem Duncan.

– Oczywiście, że jesteś! Właśnie powróciłeś. Teraz wejdziemy do siczy.

Idaho zrównał krok z Paulem. Jak za dawnych czasów, tylko oni nie byli już tacy jak dawniej. Wyzwoliwszy się spod wpływu Tleilaxan, mógł docenić to, co mu dali. Dzięki zensunnickiemu przygotowaniu przetrwał wstrząsające zdarzenia. Stawił im opór, wykorzystując siłę umysłu mentata. Wyzbył się wszelkiego lęku, stając ponad jego źródłem. Całą swą świadomością odbierał świat przez pryzmat bezmiernego oczarowania: umarł, lecz żyje.

– Najjaśniejszy Panie – zameldował Tandis, kiedy się zbliżyli – ta kobieta, Lichna, mówi, że musi się z tobą widzieć. Kazałem jej czekać.

– Dziękuję – odezwał się Paul. – Poród...

– Rozmawiałem z lekarzami. – Tandis dołączył do nich. – Masz dwoje dzieci. Są całe i zdrowe.

– Dwoje? – Paul potknął się, ale przytrzymał ramienia Idaho.

– Chłopca i dziewczynkę. Widziałem ich. Prawdziwe fremieńskie dzieciaki.

– Jak... umarła? – wyszeptał.

– Mój panie? – Fedajkin nadstawił ucha.

– Chani – powiedział Paul.

– W wyniku porodu. – Głos Tandisa był ochryply. – Podobno szybkość tego wszystkiego spustoszyła jej ciało. Nie znam się na tym, ale tak mi powiedzieli.

– Prowadź mnie do niej – szepnął Paul.

– Panie?

– Prowadź do niej!

– Właśnie tam idziemy. – Tandis nachylił się. – Dlaczego twój ghola ma nóż w garści?

– Duncan, schowaj nóż – polecił mu Paul. – Czas przemocy już minął.

Mówiąc, czuł się bliżej dźwięku swego głosu niż strun głosowych, które go wydały. Dwoje dzieci! Wizja zawierała tylko jedno. Ale obecne chwile biegły zgodnie z wizją. Była w niej osoba odczuwająca rozpacz i gniew. Ktoś. Świadomość przykuta do upiornego kieratu odgrywała mu życie z pamięci.

„Dwoje dzieci?”

Znowu się potknął.

„Chani, Chani – myślał. – Nie było innego wyjścia. Chani, kochana, wierz mi, taka śmierć była dla ciebie szybsza... i łaskawsza. Wzięliby nasze dzieci za zakładników, wystawiali cię w klatce i na niewolniczych arenach, opluwali, winiąc za moją śmierć. A tak... a tak niszczymy ich i ratujemy nasze dzieci”.

„Dzieci?” Raz jeszcze się potknął.

„Godziłem się na to – stwierdził. – Powinienem mieć poczucie winy”.

Z groty przed nimi docierały odgłosy zamieszania. Przybierały na sile dokładnie tak, jak to zapamiętał. Tak, to było to kontinuum, nieuchronny szlak, nawet przy dwojgu dzieci.

„Chani nie żyje” – powtórzył w myśli.

W jakiejś odległej chwili przeszłości, którą dzielił z innymi, dosięgła go ta właśnie przyszłość. Osaczyła go i zagoniła w szczelinę, której ściany schodziły się coraz bardziej i bardziej. Czuł, jak zwierają się na nim. Tą drogą podążała wizja.

„Chani nie żyje. Powinienem się zatracić w rozpacz”.

Ale nie wtedy podążała wizja.

– Wezwano Alię? – zapytał.

– Jest z przyjaciółkami Chani – odparł Tandis.

Paul czuł, jak tłum ustępuje, robiąc mu przejście. Ludzie milkli, a cisza poprzedzała go niczym fala. Zamieszanie poczęło z wolna zamierać. Atmosfera w sycy zgęstniała od emocji. Najchętniej usunąłby ludzi ze swej wizji, ale nie był w stanie. Każda z oglądających się za nim twarzy miała w niej własną odbitkę. Były to bezlitosne, wścibskie twarze. Wyrażały smutek, owszem, ale też nie dziwił się, że są pełne okrucieństwa. Patrzyły, jak z mówiących robią się niemowy i jak mędrcy wychodzą na głupców. Czyż klaun nie odwołuje się zawsze do ludzkiego okrucieństwa?

Było w tym coś pomiędzy czuwaniem przy konającym a stypą.

Całą duszą łaknął chwili wytchnienia, lecz wciąż niosła go wizja. „Jeszcze tylko parę kroków” – powiedział sobie. Przed nim czekała wieczna, czarna noc. Tam kryło się miejsce, które rozpacz i poczucie winy odarły z wizji, miejsce upadku księżyca.

Potknął się na progu tej nocy i upadłby, gdyby Idaho pewnym chwytem nie podtrzymał go za ramię – niezawodny towarzysz, który wie, jak dzielić ból w milczeniu.

– Jesteśmy na miejscu – zameldował Tandis.

– Uwaga, mój panie. – Idaho przeprowadził go przez wejście.

Zasłony musnęły Paula po twarzy. Idaho zatrzymał go. Paul tylko wyczuwał wewnątrz komnaty jako odbicie obrazu w uszach i na policzkach. Skalne ściany, na ścianach kobierce.

– Gdzie jest Chani? – wyszeptał.

Odpowiedział mu głos Hary.

– Tutaj, Usul.

Paulowi wyrwało się westchnienie ulgi. Obawiał się, że ciało zabrano już do alembików śmierci, w których Fremeni odzyskiwali wodę plemienia. Czy tym właśnie torem poszła wizja? Poczuł się opuszczony w swojej ślepotcie.

– Dzieci? – zapytał.

– Też są tutaj, mój panie – odparł Idaho.

– Masz śliczne bliźnięta, Usul – powiedziała Hara. – Chłopczyka i dziewczynkę. Widzisz? Leżą w kolebce.

„Dwoje dzieci” – myślał ze zdumieniem. W wizji była tylko córka. Puścił ramię Duncana i ruszył ku miejscu, z którego dobiegał głos Hary, lecz wpadł na jakąś twardą powierzchnię. Sprawdził dłońmi: kontury kolebki z metaszkła. Ktoś ujął go za lewą rękę.

– Usul – odezwała się Hara i skierowała jego dłoń do kolebki.

Dotknął delikatnego ciała. Było ciepłutkie. Maleńkie zebra poruszały się w oddechu.

– To twój syn – szepnęła, po czym przesunęła mu rękę. – A to twoja córka. – Mocniej ścisnęła jego dłoń. – Usul, ty naprawdę jesteś teraz ślepy?

Wiedział, co miała na myśli. „Ślepcę trzeba porzucić na pustyni” – przypomniał sobie. Fremeńskie plemiona nie taszczyły zbędnego balastu.

– Zaprowadź mnie do Chani – zażądał, ignorując jej pytanie.

Hara obróciła go i powiodła w lewo.

Paul czuł, że właśnie godzi się z faktem, iż Chani nie żyje. Zajął swoje miejsce we wszechświecie, którego nie chciał, nosząc uwierające go ciało. A każdy oddech ranił jego uczucia. „Dwoje dzieci!” Kto wie, czy nie znalazł się na drodze, na którą jego wizja nigdy nie wróci. Wydawało się to bez znaczenia.

– Gdzie jest mój brat? – dobiegł z tyłu głos Alii. Gdy odtrąciwszy Harę, złapała Paula za ramię, uświadomił sobie jej pośpiech, jej przemożną obecność. – Musimy porozmawiać! – syknęła.

– Za chwilę.

– Natychmiast! Chodzi o Lichnę.

– Wiem – odparł. – Za chwilę.

– Nie masz ani chwili!

– Mam wiele chwil.

– Ale Chani ich nie ma!

– Bądź cicho! Chani nie żyje – powiedział i zakrył jej usta dłonią, uciszając protesty. – Masz być cicho! – Wyczuwając, że usłuchała, cofnął dłoń. – Opisz, co widzisz.

– Paul! – Irytacja ścierała się w jej głosie z rozpaczą.

– Mniejsza o to – rzekł, po czym wyciszył się i otworzył jasnowidzące oko na tę chwilę w wizji. Tak – jeszcze były tutaj. Zwłoki Chani leżały na marach w kręgu światła. Ktoś uporządkował jej białą szatę, wygładził ją, próbując ukryć plamy krwi porodowej. Nie miało to znaczenia, bo nie potrafił oderwać świadomości od wizji jej twarzy: jakież wyraz wieczności był w tych martwych rysach!

Odwrócił się, lecz wizja wędrowała razem z nim. Chani odeszła... i nigdy nie wróci. Powietrze, wszechświat, wszystko było puste – wszędzie pustka. „Czy pustka ma być moją pokutą?” – zastanawiał się. Pragnął leż, lecz te nie chciały płynąć. Czyżby za długo żył jako Fremen? Ta śmierć wymagała wilgoci!

W pobliżu zapłakało i zostało uciszone niemowlę. Hałas opuścił kurtynę na jego wizję. Paul z ulgą powitał ciemność.

„To inny świat – pomyślał. – Dwoje dzieci”.

Myśl nadeszła z jakiegoś utraconego proroczego transu. Spróbował odzyskać melanzowy stan pozaczasowej świadomości, ale ta go zawiodła. Najmniejszy przebłysk przyszłych zdarzeń nie rozjaśnił mu tej nowej świadomości. Miał wrażenie, że odrzuca przyszłość – wszelką przyszłość.

– Żegnaj, Sihaja – wyszeptał.

– Przyprowadziłam Lichnę! – oznajmiła Alia ostro, natarczywie.

Paul odwrócił się.

– To nie jest Lichna – rzekł. – To maskaradnik. Lichna nie żyje.

– Tylko jej wysłuchaj – powiedziała Alia.

Ruszył z wolna w kierunku głosu siostry.

– Nie jestem zdziwiony, widząc cię przy życiu, Atrydo.

Tleilaxanin mówił jak Lichna, ale z subtelnymi fałszami, jakby korzystając ze strun głosowych Fremenki, nie silił się już na perfekcję. Paula uderzyła w tym głosie osobliwa nuta szczerości.

– Nie jesteś zdziwiony? – powtórzył.

– Jestem Scytale, tleilaxański maskaradnik, i chciałbym się czegoś dowiedzieć, nim przejdziemy do układów. Czy ten, którego widzę za twoimi plecami, to ghola czy Duncan Idaho?

– To Duncan Idaho – odparł Paul. – A z tobą nie będę się układać.

– Sądzę, że jednak będziesz.

– Duncan – rzucił Paul przez ramię – zabijesz tego Tleilaxanina, jeśli dam ci znak?

– Tak, mój panie. – W głosie Idaho pobrzmiwała tłumiona mordercza furia.

– Chwileczkę! – odezwała się Alia. – Nie wiesz, co odrzucasz.

– Ależ wiem doskonale.

– Zatem to naprawdę atrydzki sługa Duncan Idaho – powiedział Scytale. – Znaleźliśmy dźwignię! Ghola może jednak odzyskać swą przeszłość.

Paul usłyszał kroki. Ktoś musnął go, przechodząc z lewej strony. Głos Scytale’a rozległ się już za nim.

– Co pamiętasz ze swej przeszłości, Duncan?

– Wszystko. Od samego dzieciństwa. Pamiętam nawet ciebie przy kadzi, z której mnie wyjmowano.

– Świetnie – szepnął Scytale. – Świetnie.

Paul usłyszał, że głos się oddala. „Potrzebuję wizji” – pomyślał. Ciemność go irytowała. Choć szósty zmysł Bene Gesserit podpowiadał mu, jak potwornie niebezpieczny jest maskaradnik, był bezradny wobec osobnika składającego się wyłącznie z głosu i nieuchwytnego ruchu.

– To są te atrydzkie bobasy? – zapytał Scytale.

– Hara! – zawołał Paul. – Zabierz je stamtąd!

– Nie ruszać się! – krzyknął Tleilaxanin. – Wszyscy! Ostrzegam, maskaradnik jest szybszy, niż wam się wydaje. Zanim ktoś mnie tknie, mój nóż pozbawi oba maluchy życia!

Paul poczuł dotyk na ramieniu. Ktoś zachodził go z prawej.

– Ani kroku dalej, Alia – rzekł Scytale.

– Alia – powiedział Paul. – Stój.

– To moja wina – jęknęła jego siostra. – Moja!

– Czy teraz dobijemy targu, Atrydo? – spytał Tleilaxanin.

Paul usłyszał za sobą pojedyncze rynsztokowe przekleństwo. Aż ścisnęło go w gardle od ledwo hamowanej furii Idaho. Duncan nie może dać się ponieść! Scytale zabije dzieci!

– Do targu trzeba czegoś na sprzedaż – rzekł Scytale. – Prawda, Atrydo? Kupisz powrót swojej Chani? Możemy ci ją przywrócić. Gholę, Atrydo. Gholę z *kompletną pamięcią*! Tylko musimy się pospieszyć. Wezwij przyjaciół, by sprowadzili zasobnik kriogeniczny do przechowania ciała.

„Raz jeszcze usłyszeć głos Chani – myślał Paul. – Poczuć przy sobie jej obecność. Aach, to dlatego podarowali mi gholę Idaho. Chcieli, bym zobaczył, jak bardzo replika jest podobna do oryginału. A teraz całkowite zmartwychwstanie... za ich cenę. Już zawsze byłbym narzędziem Tleilaxan. Chani też... z obawy o życie dzieci, znowu wystawiona na intrygi kwizaratu...”

– Jakich dźwigni użylibyście do przywrócenia jej pamięci? – Starął się mówić spokojnie. – Uwarunkowalibyście ją do... do zabicia jednego z własnych dzieci?

– Używamy takich dźwigni, jakie są potrzebne – odparł maskaradnik. – I co powiesz, Atrydo?

– Alia, paktuj z tym *indywiduum*. Nie mogę się targować z czymś, czego nie widzę.

– Mądry wybór. – Scytale się rozpromienił. – No, Alia, jaką cenę daje mi plenipotentka brata?

Paul spuścił głowę, zamierając w bezruchu. Właśnie coś mu się ukazało – wizja, nie wizja. Obraz noża przy samej twarzy. Jest!

– Daj mi czas do namysłu – powiedziała Alia.

– Mój nóż jest cierpliwy – odparł Scytale – lecz ciało Chani nagli. Nie zastanawiaj się zbyt długo.

Paul zamrugał. Niemożliwe... a jednak! Czuł, że ma oczy! Perspektywa była dziwna i poruszały się nieźbornie. *Jest!* Nóż przepłynął mu przed oczami. Paul z zapartym tchem rozpoznał perspektywę. Punkt widzenia któregoś z dzieci! Spoglądał na nóż w dłoni Scytale'a z kolebki! Ostrze połyskiwało w odległości ledwie kilku centymetrów. Tak. I widział też siebie w drugim końcu komnaty – postać ze spuszczoną głową, bezbronna i zapomniana przez wszystkich.

– Na początek mogłabyś scedować na nas wszystkie wasze udziały w KHOAM – odpowiedział Scytale.

– Wszystkie? – zachnęła się Alia.

– Tak.

Patrząc na siebie z kolebki, wysunął krysnóż z pochwy za pasem. Ruch ten wywołał w nim dziwne wrażenie rozdwojenia. Oceniał odległość i kąt. Drugiej szansy nie będzie. Przygotował ciało, wykorzystując metodę Bene Gesserit, zebrał się w sobie, jakby napinał sprężynę, która wystrzeli w jednym, dynamicznym ruchu, techniką prana zestroił wszystkie mięśnie w idealnej harmonii.

Krysnóż wyleciał jak z procy. Mlecznobiała błyskawica rozbłysła w prawym oku Scytale'a i pchnęła jego głowę do tyłu. Maskaradnik wyrzucił ręce do góry, a następnie zatoczył się na ścianę. Jego nóż z brzękiem uderzył w strop i spadł na posadzkę. Scytale odbił się plecami od ściany i runął na twarz – martwy, zanim dotknął ziemi.

Za pośrednictwem oczu w kolebce Paul obserwował, jak twarze obecnych w komnacie zwracają się w stronę niewidomej postaci. Widział zbiorowy szok. A potem Alia rzuciła się do kolebki, pochyliła nad nią i przesłoniła mu widok.

– Och, nic im nie jest. Nic im nie jest – powtarzała.

– Panie – szepnęła Idaho – czy to wszystko było w twojej wizji?

– Nie. – Machnął ręką. – Lepiej nie pytaj.

– Wybacz, Paul – powiedziała Alia – ale kiedy ten stwór oświadczył, że oni mogą... ożywić...

– Są ceny, których Atryda nie może zapłacić – rzekł Paul. – Wiesz o tym.

– Wiem. – Westchnęła. – Ale kusiło mnie...

– A kogo nie kusiło? – Paul odwrócił się od wszystkich, po omacku dotarł do ściany, oparł o nią i próbował zrozumieć to, co zrobił. „Jak? Jak? Oczy w kolebce!” Czuł, że tkwi na progu strasznego objawienia.

„Moje oczy, ojciec”. – Ogniki słów zatańczyły przed jego niewidzącym wzrokiem.

– Mój syn! – wyszeptał Paul tak cicho, że nikt go nie usłyszał. – Ty... masz świadomość.

„Tak, ojciec. Patrz!”

Zawrót głowy był tak silny, że aż osunął się po ścianie. Jakby nagle odwrócono go do góry nogami i wszystko z niego wytrząsnęto. Przeleciało przed nim jego życie. Zobaczył ojca. Sam był swym ojcem. I dziadkiem, i wcześniejszymi przodkami. Świadomość przetoczyła się wydartym w umyśle korytarzem całej męskiej linii rodu.

– Jak? – zapytał bezgłośnie.

Niewyraźne ogniki słów zamigotały, przyblakły i zgasły, jakby zabrakło im sił. Otarł ślinę w kącie ust. Wspomnił przebudzenie Alii w łonie lady Jessiki. Tu jednak nie było Wody Życia, tym razem nie przedawkowano melanzu... A może jednak? Może sprawił to wilczy głód Chani? Albo jakiś genetyczny owoc jego linii, przewidziany przez Matkę Wielebną Gaius Helenę Mohiam?

Leżał w kolebce, nad którą szczebiotała Alia. Poczuł kojący dotyk jej dłoni. Jej ogromna twarz pochylała się nad nim. A potem został obrócony na bok i zobaczył drugą istotę – dziewczynkę, szczupłą, lecz emanującą siłą, która brała się z pustynnego dziedzictwa. Włosy barwy miedzi okrywały całą jej głowę. Patrzył na nią, gdy otworzyła oczy. Co to były za oczy! Spoglądała nimi Chani... i lady Jessika. Spoglądała nimi mnogość.

– Popatrzcie tylko – zawołała Alia. – Wpatrują się w siebie.

– Noworodki nie mogą skupić wzroku – stwierdziła Hara.

– Ja mogłam – przypomniała jej Alia.

Paula z wolna opuszczała ta bezkresna świadomość. Po chwili wrócił do siebie i opierał się o swą ścianę płaczu. Idaho delikatnie potrząsnął jego ramieniem.

– Mój panie?

– Niech mój syn ma na imię Leto, po moim ojcu – rzekł, prostując się.

– Gdy przyjdzie czas nadania imienia – powiedziała Hara – stanę przy tobie i jako przyjaciółka matki dam mu je.

– Jeszcze córka – dodał Paul. – Niech zwie się Ganima.

– Usul, Ganima to złowróżbne imię! – sprzeciwiła się Hara.

– To imię ocaliło ci życie. Co z tego, że Alia przezwiała cię tak dla śmiechu? Moja córka to Ganima: zdobyta w bitwie.

Usłyszał za sobą pisk kółek – wyprowadzano mary z ciałem Chani. Rozległa się litania ceremoniału wody.

– *Hal jawm!* – powiedziała Hara. – Muszę już iść, jeśli mam być świadkiem świętej prawdy i po raz ostatni stanąć przy mej przyjaciółce. Jej woda należy do plemienia.

– Jej woda należy do plemienia – wyszeptał Paul. Usłyszał, jak Hara wychodzi. Szukając po omacku, trafił na rękaw Idaho. – Prowadź mnie na kwaterę, Duncan.

Na miejscu delikatnie uwolnił się od dłoni przewodnika. Chciał być sam. Jednak zanim Idaho się oddalił, u wejścia wybuchło zamieszanie.

– Panie! – zawołał Bidżaz od progu.

– Duncan – powiedział Paul – wpuść go na dwa kroki. Zabij, jeśli zrobi choć krok więcej.

– Taaest – rzekł Idaho.

– Duncan li to? – zapytał karzeł. – To *naprawdę* Duncan Idaho?

– Tak – odparł Idaho. – Wszystko pamiętam.

– Zatem plan Scytale’a się powiódł!

– Scytale jest martwy – oznajmił Paul.

– Ale ja nie jestem i plan nie jest. Na każdą, w której wyrosłem! To się da zrobić! Będę miał moje przeszłości... co do jednej. Potrzebuję tylko odpowiedniego wyzwacza.

– Wyzwalacza? – zapytał Paul.

– Wewnętrzny przymusu, by cię zabić – wyjaśnił Idaho głosem zachrypłym z wściekłości. – Mentacka kalkulacja: odkryli, że uważałem cię za syna, którego nigdy nie miałem. Zamiast cię zabić, prawdziwy Duncan Idaho prędzej przejąłby ciało gholi. Ale... to mogło zawieść. Powiedz, karle, gdyby wasz plan się nie powiódł, gdybym zabił, co wtedy?

– Och... wtedy gadalibyśmy z siostrą o ratowaniu brata. Ale lepiej się dogadamy w tej sytuacji.

Paul z trudem wziął głęboki wdech. Usłyszał żałobników idących ostatnim już korytarzem do ukrytych komór z destylatorami.

– Jeszcze nie jest za późno, mój panie – rzekł Bidżaz. – Chcesz mieć ukochaną? Możemy ci ją wskrzesić. Gholę, rzecz jasna. Ale obecnie

gwarantujemy pełne zmartwychwstanie. Mamy wezwać służbę z zasobnikiem kriogenicznym, by zachować ciało twej ukochanej...?

Paul odkrył, że teraz jest trudniej. Wyczerpał siły, nie dając się skusić Tleilaxanom za pierwszym razem. I wszystko na nic. Co by dał za obecność Chani...

– Uciszyć go – polecił Duncanowi w atrydzkim języku walki. Usłyszał, jak Idaho zmierza w stronę wejścia.

– Panie! – zapiszczał Bidżaz.

– Skoro mnie kochasz – kontynuował Paul w języku walki – oddaj mi tę przysługę i zabij go, nim ulegnę.

– Nieeeeeee...! – wrzasnął karzeł.

Krzyk urwał się w okropnym charkocie.

– Wyświadczyłem mu tę uprzejmość – rzekł Idaho.

Paul przekrzywił głowę, nadstawiając ucha. Nie słyszał już żałobników. Wspomniawszy wieczny fremieński rytuał, odprawiany teraz w głębi sicy, w odległej komorze alembiku śmierci, gdzie plemię odzyskiwało swoją wodę.

– Nie było wyboru – powiedział. – Rozumiesz to, Duncan?

– Rozumiem.

– Są rzeczy, których nikt nie udźwignie. Wtrącałem swoje trzy grosze do wszystkich możliwych przyszłości, jakie potrafiłem stworzyć, aż w końcu one stworzyły mnie.

– Mój panie, nie powinienes...

– Istnieją w naszym wszechświecie problemy, które nie mają rozwiązania – stwierdził. – Żadnego. Nic nie da się zrobić.

Mówiąc to, poczuł, jak trzaska jego więź z wizją. Jego umysł skulił się pod naporem nieskończonej liczby możliwości, a utracona wizja przypominała wiejący swobodnie wiatr.



Powiadamy o Muad'Dibie, że wybrał się w podróż do krainy, w której wędrowcy nie zostawiają śladów stóp.

– preambuła do *Katechizmu kwizaratu*

Po drodze był rów z wodą na granicy siczowych plantacji. Jeszcze kamienny mostek i wreszcie otwarta pustynia pod stopami. Z tyłu, na tle nocnego nieba, górował cypel sicz Tabr. Wysoki szczyt srebrzył się w blasku obu księżyców. Sad podchodził do samej wody.

Idaho zatrzymał się na brzegu po stronie pustyni i obejrzał na okryte kwiatami gałęzie ponad wodą, na rzeczywistość i jej odbicie w toni – cztery księżyce. Czuł śliskość filtraka. Przez filtr nosowy wdychał odór zawilgłej krzemionki. Jakby słyszał kokietyjny chichot wiatru z głębi sadu. Słuchał odgłosów nocy. W trawie nad brzegiem harcowały skoczki pustynne, hukanie sowy jastrzębiastej obleciało cienie urwiska, syk osuwającego się piasku dobiegł z otwartego blechu.

Idaho obrócił się w kierunku odgłosu.

Nie widział żadnego ruchu na zalanych księżycowym blaskiem wydmach w oddali.

Do tego miejsca Tandis doprowadził Paula. Stąd zawrócił, by zdać relację. A Paul odszedł na pustynię – jak Fremen.

– Był ślepy, całkiem ślepy – mówił Tandis, jakby to wszystko wyjaśniało.
– Przedtem miał swą wizję, jak nam mówił... ale...

Wzruszenie ramion. Niewidomych Fremenów zostawiało się na łaskę pustyni. Muad'Dib mógł być Imperatorem, ale był też Fremenem. Czyż nie zarządził, by Fremenom strzegli i wychowywali jego dzieci? Był Fremenem.

Idaho zauważył, że w tym miejscu pustynia jest niejednolita. Spod piasku w srebrnej poświacie przezierały skalne wręgi, dopiero dalej zaczynały się wydmy.

„Nie powinienem zostawiać go samego, ani na chwilę – myślał Duncan. – Wiedziałem, co mu chodzi po głowie”.

– Powiedział mi, że przyszłość już nie potrzebuje jego fizycznej obecności – zameldował Tandis. – Odchodząc, krzyknął do mnie z daleka. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Teraz jestem wolny!”

„Niech ich diabli! – pomyślał Idaho.

Fremenom nie zgodzili się na wysłanie ornitopterów ani jakichkolwiek poszukiwaczy. Pomoc była wbrew ich odwiecznym obyczajom.

„Czerw przyjdzie po Muad'Diba” – stwierdzili. I zaintonowali litanie za tych, których woda przypadła Szej-huludowi: „Matko piasku, ojciec czasu, kolebko życia, zabierz go w drogę”.

Idaho przysiadł na płaskim kamieniu i wpatrywał się w wydmy. Noc przykryła pustynię swą siatką maskującą. Nie sposób było odgadnąć, dokąd

odszedł Paul.

– „Teraz jestem wolny”. – Brzmienie własnego głosu zaskoczyło Idaho.

Przez jakiś czas oddawał się wspomnieniom. Pamiętał dzień, kiedy zabrał małego Paula na targ rybny na Kaladanie, olśniewający blask słońca na wodzie, wystawione na sprzedaż martwe owoce morza. Gurney Halleck przygrywał im na balisecie – zabawa i śmiech. Rytm instrumentu roztańczyły świadomość, powiodły zniewoloną pamięć ścieżkami niezapomnianych radości.

Gurney Halleck. Gurney obwiniałby go o to nieszczęście.

Muzyka wspomnień ucichła.

Przypomniały mu się słowa Paula: „Istnieją w naszym wszechświecie problemy, które nie mają rozwiązania”.

Począł się zastanawiać, jaką śmiercią umrze Paul na tej pustyni. Szybka, zabity przez czerwiec? Powolną, w słońcu? Wielu Fremenów w sycy twierdziło, że Muad'Dib nigdy nie umrze, że wkroczył do świata ruh-ducha, gdzie istnieją wszystkie możliwe przyszłości, i że odtąd będzie przebywał w Alam al-Mithal, wędrując tam bez końca, nawet gdy jego ciało przestanie już istnieć.

„Umrze, a ja nie mogę temu zapobiec” – skonstatował Idaho.

Zaczęło do niego docierać, że w śmierci bez śladu jest chyba jakaś wyszukana elegancja – żadnych szczątków, cała planeta za grób.

„Mentacie, rozwiąż problem samego siebie” – pomyślał.

W uszach zabrzmiały mu słowa porucznika fedajkinów ustanawiającego straż przy dzieciach Muad'Diba: „Dowódcy straży przypada zaszczytna służba...” Międlący, nadęty język urzędowy doprowadzał go do szewskiej pasji. Uwodził Fremenów. Uwodził każdego. Tam umierał wielki człowiek, a oni tymczasem pletli... i pletli... i pletli...

Ciekawe, co się stało z wszystkimi klarownymi znaczeniami, które odsiewają nedorzecznosc? Gdzieś, w jakimś nie-wiadomo-gdzie stworzonym przez Imperium, zostały odgródzone murem, bez szansy na przypadkowe ponowne odkrycie. Jego umysł mentata szukał odpowiedzi. Zajaśniały przed nim świetliste szlaki wiedzy. Tak mogły się złocić włosy Lorelei, wabiąc... wabiąc urzeczonych syrenim śpiewem żeglarzy do grot szmaragdowych...

Wzdrygnąwszy się gwałtownie, obudził się z katatonicznego zapomnienia.

„Ładne rzeczy! – pomyślał. – Miał przyznać, że zawiodłem, wołałbym się zagubić w sobie!”

Chwila tego nieomal odlotu utkwiała mu w pamięci. Wspominając ją, miał wrażenie, iż jego życie rozciąga się na całą długość istnienia wszechświata. Ciało, zestalone i skończone w swej postaci, leżało w szmaragdowej grocie świadomości, lecz nieskończone życie niosło jego istnienie.

Wstał z kamienia, czując się oczyszczony przez pustynię. Za nim piasek zaczynał szemrać na wietrze i dziobać liście w sadzie. Suchy, pumeksowy zapach pyłu wypełniał powietrze. Płaszcz Idaho załopotał w gwałtownym podmuchu.

Gdzieś, hen na otwartym blechu, szalała matka burza, podnosząc w syczącej furii pyłowe spirale wirów zdolne oderwać ciało od kości.

„Zespoli się z pustynią – pomyślał Idaho. – Pustynia go dopełni”.

Zensunnicka refleksja niczym źródłana woda obmyła jego umysł. Wiedział, że Paul będzie maszerował przed siebie. Atrydzi do końca nie poddają się przeznaczeniu, nawet w pełni świadomi nieuniknionego.

W przypływie jasnowidzenia stwierdził, że kiedyś ludzie, mówiąc o Paulu, będą mieli morza przed oczami. Woda pójdzie za nim, choć życie wsiąknie w piach. „Ciało utonęło – powiedzą – ale on popłynął dalej”.

Ktoś odchrząknął za jego plecami.

Obróciwszy się, rozpoznał Stilgara stojącego na mostku nad kanatem.

– Nie odnajdzie się – powiedział Fremen. – A jednak wszyscy ludzie go znajdą.

– Pustynia go zabiera... i deifikuje – rzekł Idaho. – Mimo że był tu intruzem. Sprowadził na tę planetę obcą jej chemię: wodę.

– Pustynia narzuca własne rytmy – powiedział Stilgar. – Przyjęliśmy go, ogłosiliśmy naszym Mahdim, naszym Muad'Dibem, i daliśmy mu sekretne imię: Usul, baza kolumny.

– Ale nie urodził się Fremenem.

– Co nie zmienia faktu, że traktowaliśmy go jak swego... i w końcu ostatecznie tak go potraktowaliśmy. – Stilgar położył dłoń na ramieniu Idaho. – Wszyscy ludzie są intruzami, stary przyjacielu.

– Widzisz więcej niż koniec własnego nosa, co, Stil?

– Trochę więcej. Widzę, jak zaśmiecamy wszechświat migracjami. Muad'Dib dał nam coś czystego. Przynajmniej to zostanie w pamięci ludzi z jego dżihadu.

– On się nie podda pustyni – rzekł Idaho. – Jest ślepy, ale się nie podda. To człowiek honoru i zasad. Otrzymał atrydzką szkołę.

– A jego woda wsiąknie w piasek. Chodź. – Delikatnie pociągnął Idaho za ramię. – Alia wróciła i szuka cię.

– Była z tobą w siczy Makab?

– Tak. Pomogła mi wziąć w karby tych zniewieściałych naibów. Teraz wykonują jej polecenia... tak jak ja.

– Jakie polecenia?

– Nakazała stracić zdrajców.

– Och. – Idaho opanował zawrót głowy, podniósłszy wzrok na skalny cypel. – Których?

– Gildianina, Matkę Wielebną Mohiam, Korbę... i jeszcze paru innych.

– Zabiliście Matkę Wielebną?

– Ja zabiłem. Muad'Dib zostawił rozkaz, żeby tego nie robić. – Wzruszył ramionami. – Ale zignorowałem go, o czym Alia z góry wiedziała.

Idaho ponownie zapatrzył się w pustynię, czując, że stał się jedynym człowiekiem zdolnym ogarnąć to, co stworzył Paul. W atrydzkich kompendiach nazywano to „myśleniem strategicznym”. „Ludzie podlegają władzy, ale władcy ulegają poddanym”. Ciekawe, czy poddani mają pojęcie, co pomogli tu stworzyć?

– Alia... – Stilgar odchrząknął. Wyglądał na skrępowanego. – Ona potrzebuje twego towarzystwa.

– Więc teraz ona jest władczynią – mruknął Idaho.

– Tylko regentką.

– Los wszędzie może nam sprzyjać, jak często mówił jej ojciec – rzekł cicho Duncan.

– My ubijamy interes z przyszłością – powiedział Stilgar. – Idziesz? Jesteś nam tam potrzebny. – Znów wydawał się skrępowany. – Ona... oszalała z rozpaczy. To się wścieka na brata, to znów lamentuje nad nim.

– Zaraz przyjdę – obiecał Idaho. Usłyszał, jak Stilgar odchodzi. Stał przodem do wiatru, który przybierając na sile, grzechotał ziarenkami piasku o filtrak. Wykorzystując mentacką logikę, budował z ciągów zdarzeń konfigurację przyszłości. Oszalała go możliwościami. Paul rozkręcił zawrotny wir, który zmiecie wszystko na swej drodze.

Bene Tleilax i Gildia przeliczyły się i przegrały z kretelem, okrywając się hańbą. Zdrada Korby i innych dostojników zachwiała kwizaratem. A ostatni świadomy akt, ostateczne uhonorowanie fremieńskich zwyczajów, zapewniło

Paulowi lojalność Fremenów. Jemu i jego rodowi. Już na zawsze pozostanie jednym z nich.

– Paul odszedł! – Głos Alii był zduszony. Niemal bezgłośnie stanęła u boku Idaho. – On był głupcem, Duncan!

– Nie mów tak! – rzucił.

– Powtórz to za mną cały wszechświat.

– Dlaczego, na miłość niebios?

– Z miłości do mego brata, nie do niebios.

Zensunnickim zmysłem wyczuwał, że Alia nie nosi w sobie wizji – nie nosiła od śmierci Chani.

– Dziwna ta twoja miłość – rzekł.

– Miłość? Duncan, wystarczyło, by zszedł ze swej ścieżki. Co z tego, że reszta wszechświata ległaby za nim w gruzach? On by ocalał... i Chani z nim!

– Zatem... dlaczego nie zszedł?

– Z miłości do niebios – szepnęła, po czym dodała głośnie: – Całe życie Paula było nieustającą walką o uniknięcie dżihadu i deifikacji. W końcu jest wolny. Sam to wybrał!

– A tak, prorocza wizja. – Zdumiony Idaho pokręcił głową. – Nawet śmierć Chani. Jego księżyc spadł.

– Głupiec był z niego, prawda, Duncan?

Żal ścisnął Idaho za gardło.

– Straszny głupiec! – Alia oddychała ciężko, bliska załamania. – Będzie żył wiecznie, a my musimy umrzeć!

– Alia, nie...

– To tylko żal – powiedziała cicho. – Zwyczajny żal. Wiesz, co muszę zrobić dla Paula? Muszę uratować życie księżnej Irulanie! Tej jędzy! Powinieneś usłyszeć jej lament. Zawodzi, ofiarowuje wilgoć umarłym, zaklina się, że go kochała, tylko nie wiedziała o tym. Lży swe zgromadzenie i mówi, że poświęci życie nauczaniu dzieci Paula.

– Wierzysz jej?

– Aż cuchnie wiarygodnością!

– Aaach – mruknął Idaho.

Ostateczny plan rozwinął się w jego świadomości niczym deseń na tkaninie. Dezercja Irulany była finalnym akordem. Pozostawiała Bene Gesserit bez wpływu na atrydzkich dziedziców tronu.

Alia rozplakała się, przytulając głowę do jego piersi.

– Oooch, Duncan, Duncan! On odszedł!

Idaho musnął wargami jej włosy.

– Proszę, nie... – wyszeptał. Czuł, jak jego i jej żal mieszają się niczym dwa strumienie wpadające do jednej sadzawki.

– Potrzebuję cię, Duncan – szlochała. – Kochaj mnie.

– Kocham – szepnął.

Uniosła głowę i spojrzała na jego twarz w świetle księżyca.

– Wiem, Duncan. Miłość rozpoznaje miłość.

Przeszedł go dreszcz, wrażenie oddzielenia od dawnego siebie. Przybył tu, szukając czegoś, a znalazł coś zupełnie innego. Jak gdyby wpadł do sali pełnej znajomych ludzi i dopiero wtedy się zorientował, że nie zna nikogo z nich.

Odsunąwszy się, wzięła go za rękę.

– Pójdiesz ze mną, Duncan?

– Dokądkolwiek poprowadzisz – odparł.

Powiodła go z powrotem przez kanat, w ciemność u podnóża skalnego urwiska, do Miejsca Schronienia.



EPILOG

*Nie dla Muad'Diba swąd alembiku śmierci,
Ni podzwonne, ni obrzęd, co uwalnia umysł
Od chciwych demonów.
Święty z niego głupiec,
Złoty intruz, co żyje wiecznie
Na rubieży rozumu.
Mieście się na baczności!
Z pąsowym spokojem i władczą bladością
Grasuje we wszechświecie na wieszczbie pajęczej
I dokądkolwiek źle zerknąć – tam jest!
Z głębi gwiazdnych ostępów
Tajemniczy, niebezpieczny wieszcz bez oczu,
Którego śmiertelny głos nie milknie nigdy!
Szej-huludzie, on wygląda cię na wydmach,
Gdzie zakochani, patrząc sobie w oczy,
Rozkoszują się nudą miłości.
On przemierza długie groty czasu,
Siejąc złote głupstwa ze snu głupca.*

– Hymn gholi



Terminologia Imperium

Poznając historię Imperium, Arrakis i całą kulturę, która wydała Muad'Diba, napotykamy wiele nieznanym terminów. Pomoc w zrozumieniu ich to cel chwalebny, stąd te niżej podane definicje i wyjaśnienia.

ABA: luźna szata, zazwyczaj czarna.

ADAB: władcza pamięć, która samoistnie ogarnia człowieka.

ALAM AL-MITHAL: mistyczna kraina podobieństw, w której nie ma żadnych fizycznych ograniczeń (patrz: **RUH-DUCH**).

ALEMBIK ŚMIERCI: wynalezione przez Fremenów (i tylko przez nich używane) urządzenie do wydestylowywania wody ze zwłok.

ARRAKIN: pierwsza osada na Arrakis, do objęcia planety przez Harkonnenów siedziba rządu planetarnego. Po przejściu Diuny przez Atrydów ponownie stolica planetarna.

ARRAKIS: trzecia planeta Canopusa, znana jako Diuna. Jedyne źródło życiodajnej przyprawy – melanżu.

AWA-DRZWI: potoczna nazwa drzwi awaryjnych – dowolnej pentarczy ustawionej w celu przepuszczenia określonej osoby w razie konieczności ucieczki.

BALISETA: pochodzący od cytry dziewięciostrunowy szarpany instrument muzyczny. Ulubiony instrument trubadurów imperialnych.

BASEN PYŁOPLYWÓW: każda rozległa depresja na Arrakis, w której przez stulecia odkładał się pył podlegający rzeczywistym prądom.

BASZAR: pierwotnie termin z militarnego leksykonu rodu Corrinów, oznaczający oficera sardaukarów nieco wyższego rangą od pułkownika w zunifikowanej hierarchii Imperium. Termin przejęty został przez galach (oficjalny język Imperium) i Fremenów.

BENE GESSERIT: zgromadzenie żeńskie przez stulecia działające za parawanem półmistycznej szkoły kształcenia ducha i ciała, którą założono po tym, jak Dżihad Butleriański doprowadził do zniszczenia tak zwanych „myślących machin” i robotów.

BENE TLEILAX: patrz: **TLEILAXANIE**.

BIBLIA PROTESTANCKO-KATOLICKA: *Księga Ksiąg*, kanoniczny tekst opracowany przez Kongres Ekumeniczny Federacji. Zrewidowane połączenie starożytnych świętych pism, zawierające elementy najstarszych religii, łącznie z Maometh Saari, chrześcijańską Mahayaną, katolicyzmem zensunnickim i przekazami buddyzmu. Za najważniejsze przykazanie Biblii P-K uważa się: „Nie będziesz kaleczył ducha”.

BINDU: termin odnoszący się do układu nerwowego człowieka, szczególnie do treningu panowania nad nerwami. Często określane jako bindunerwatura (patrz: **PRANA** i **SZKOLENIE**).

BLECH: płaska, otwarta pustynia.

BRZEMIE WODY: fremeński dług na śmierć i życie.

CHAKOBSA: tak zwany „język magnetyczny”, częściowo wywodzący się z pradawnego bhotani (bhotani-dżib, gdzie „dżib” znaczy dialekt). Mieszanina starożytnych narzeczy zmodyfikowanych z myślą o zachowaniu tajemnicy. Jej podstawą był łowiecki język Bhotaniów, najemnych skrytobójców z czasów pierwszych wojen asasynów.

CORIOLISA, KURZAWA: każdy większy samum na Arrakis, gdzie na otwartych równinach wiatry wzmagane były przez ruch obrotowy planety i osiągały prędkość do 700 kilometrów na godzinę. Kurzawy Coriolisa powodowały „deszcz piasku”, czyli opady pyłu uniesionego na średnią wysokość (około 2000 metrów).

CORRINÓW, RÓD: ród pochodzący z Salusa Secundus. Nazwę wziął od bitwy pod Corrinem (88 PG), która ustaliła jego trwające dziesięć tysięcy lat panowanie nad Imperium. Ojciec księżnej Irulany, Padyszach Imperator Szaddam IV, był ostatnim, osiemdziesiątym pierwszym władcą z dynastii Corrinów.

CZERW PUSTYNI: patrz: **SZEJ-HULUD**.

DESZYFRACJA RIHANI: umiejętność Bene Gesserit, dzięki której mogły one rozpoznać rejestrowane indywidualnie zmiany zachowania lub powierzchowności ludzi. Rihani pozwalało też na identyfikację ghol i maskaradników, nawet jeśli przybrali wygląd i osobowość nie znaną adeptce Bene Gesserit.

DIUNA: potoczna nazwa Arrakis, trzeciej planety Canopusa.

DRUGI KSIĘŻYC: mniejszy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na zarys sylwetki skoczka pustynnego na jego powierzchni (patrz: **PIERWSZY KSIĘŻYC**).

DRYF: wtórna kolektorowa faza generatora pola Holtzmana. Znosi ciężenie w pewnych granicach, określonych proporcjami masy i zużycia energii. Wynalazek oparty na projekcie tarczy obronnej Holtzmana, zmodyfikowany przez Normę Cenvę na Poritrin.

DYSTRANS: urządzenie do doraźnego umieszczania informacji w układzie nerwowym przedstawicieli gatunków rzędu *Chiroptera* lub ptaków. Naturalny głos tak przygotowanego zwierzęcia zawierał wiadomość, którą można było wyodrębnić za pomocą drugiego dystransu.

DŻIHAD: „święta wojna”, fanatyczna krucjata religijna.

DŻIHAD BUTLERIAŃSKI: krucjata przeciwko „myślącym machinom” (komputerom i świadomym robotom), zwana potocznie Wielką Rewoltą. Trwała od roku 201 PG do roku 108 PG. Główne przykazanie Dżihadu Butleriańskiego zachowało się w Biblii P-K w postaci: „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego”.

DŻIHAD MUAD'DIBA: krucjata religijna Fremenów zmierzająca do podporządkowania wszechświata nowemu Imperatorowi. Dżihad pochłonął sześćdziesiąt jeden miliardów ofiar, spustoszył dziewięćdziesiąt planet, a zdemoralizował pięćset, choć trwał ledwie dwanaście lat standardowych. Kwizarzy Tawfidzi traktowali Dżihad Muad'Diba jako narzędzie szerzenia swej religii.

DŻUBBA: uniwersalny płaszcz narzucany przez mieszkańców Arrakis na filtrak.

EKOLOGICZNA TRANSFORMACJA DIUNY: plan Pardota Kynesa mający na celu zmianę ekologii i klimatu Arrakis. Kontynuował go jego syn, Liet-Kynes, a następnie Paul Muad'Dib.

EL KUDS: w języku Fremenów: „Święte Miejsce” – kaplica czaszki Leto I nad przełęczą Harga.

ENFEIL: jedna z planet Imperium ujarzmionych przez Dżihad Muad'Diba.

ERG: rozległy obszar pustyni pokryty wydmami; morze piasku.

FEDAJKINI: fremeńskie oddziały śmierci. Służyli Muad'Dibowi podczas jego pierwszej bitwy z rodem Harkonnenów i siłami Corrinów, a później stanowili elitarne formacje w Dżihadzie Muad'Diba. (Historycznie: grupa ludzi, którzy zebrali się i przysięgli poświęcić swe życie w imię sprawiedliwości.)

FILTRAK: wynaleziony na Arrakis strój pozwalający przetrwać na pustyni dzięki zapobieganiu utracie wydalanego wody i wilgoci. Jego podstawą była tkanina mikrowarstwowa, wysokiej

wydajności system filtrujący wydzieliny ciała i pochłaniacz ciepła (patrz: **TEMAG** i **WODOWÓD**).

FILTRAMIOT: niewielkie przenośne schronienie z tkaniny mikrowarstwowej, odzyskujące wodę z wilgoci osiadającej na zewnętrznych ścianach i wydalanej z oddechem przebywających w nim ludzi.

FREMENI: wolne plemiona Arrakis, mieszkańcy pustyni, potomkowie zensunnickich Wędrowców, którzy przybyli na Diunę kilka tysięcy lat wcześniej (patrz: **ZENSUNNICI**).

GANGISZRI: peryferyjna planeta Imperium.

GANIMA: „zdobycz wojenna”; coś zdobytego w bitwie lub pojedynku. Najczęściej: bezużyteczna pamiątka z walki budząca jedynie wspomnienia.

GHOLE: duplikaty ludzi hodowane z komórek martwego ciała w kadziach aksolotlowych Tleilaxan. Zachowywały wzór genetyczny oryginałów, ale pozbawione były świadomych wspomnień z ich przeszłości (patrz: **KADŹ AKSOLOTLOWA**).

GILDIA KOSMICZNA: jedno z trzech ramion politycznej triady, na której wspierała się Wielka Konwencja. Gildia jest drugą (patrz: **BENE GESSERIT**) szkołą kształcenia ducha i ciała, jakie zaczęły powstawać po Wielkiej Rewolcie (patrz: **DŹIHAD BUTLERIAŃSKI**). Ustanowienie monopolu Gildii w zakresie podróży kosmicznych, transportu i bankowości przyjmuje się za datę początkową kalendarza Imperium.

GŁOS: umiejętność manipulowania mową w celu zdobycia kontroli nad słuchaczem; jedno z najbardziej imponujących uzdolnień Bene Gesserit.

GRABEN: długi rów tektoniczny, który powstał w wyniku osiadania gruntu wywołanego ruchami głębiej położonych warstw krystalnych.

GRÓDŹ: hermetyczne zamknięcie z plastiku stosowane do ochrony przed utratą wilgoci we fremeniskich obozowiskach jaskiniowych i budynkach na Arrakis.

HADŹDŹ: święta podróż, pielgrzymka.

HADŹRA: podróż w poszukiwaniu czegoś.

HAGAL: „Planeta Klejnot” (II Theta Shaowei) wyeksploatowana za panowania Szaddama I. Źródło m.in. opalitu (rzadkiej odmiany opalu).

HAL JAWM: fremeniski okrzyk: „No! Wreszcie!”

HIEREG: tymczasowy obóz fremeniski na otwartej pustyni.

IBAD, SPOJRZENIE IBADA: „błękitne w błękie” oczy, skutek spożywania pokarmów o dużej zawartości melanżu, od którego białka nabierały barwy ciemnego błękitu.

IX: dziewiąta planeta Eridani A, źródło wyrafinowanych technologii. Obok Richese (czwartej planety Eridani A) zaliczana do niedościgłych cywilizacji technicznych.

JĘZYK WALKI: każdy specyficzny, niezrozumiały dla przeciwnika język o tajnej etymologii, służący do porozumiewania się głównie w warunkach bojowych.

KADŹ AKSOLOTLOWA: wynalazek Tleilaxan służący m.in. do odtwarzania ludzi z komórek martwego ciała (patrz: **GHOLE**).

KALADAN: trzecia planeta Deltę Pawia, przez długi czas siridar księstwo rodu Atrydów. Rodzinna planeta Paula Muad'Diba. Po zwycięstwie Fremenów nad sardaukarami (w roku 10193) gubernatorem regentem Kaladanu został Gurney Halleck.

KANAT: otwarty kanał irygacyjny na pustyni, w którym można było regulować przepływ wody.

KEDEM: w języku Fremenów: wewnętrzna pustynia.

KHOAM: akronim od nazwy Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles – wszechświatowej korporacji kontrolowanej przez Imperatora i wysokie rody (z Gildią i Bene Gesserit jako cichymi wspólnikami).

KRYSNÓŻ: święty nóż Fremenów z Arrakis o ostrzu wyrabianym z kłów martwych czerw pustyni. Krysnoże powstawały w dwóch wersjach: „stałej” i „niestałej” (nóż „niestały” wymagał kontaktu z polem elektrycznym ciała ludzkiego, które zapobiegało jego rozpadowi).

KWISATZ HADERACH: „skrócenie drogi”. Nazwę tę nadały Bene Gesserit *niewiadomej*, dla której szukały rozwiązania na drodze genetycznej: Bene Gesserit płci męskiej, którego siły psychiczne łączyłyby przestrzeń i czas. Według Ceduły Doboru (głównego rejestru związków krwi ich planu eugenicznego) miał nim być syn zrodzony z córki lady Jessiki i Feyda-Rauthy Harkonnena. Wskutek wielu nieprzewidzianych czynników Kwisatz Haderach pojawił się wcześniej: był nim Paul Atryda.

KWIZARAT: fremeńskie duchowieństwo.

KWIZARZY: potoczne określenie Kwizarów Tawfidów.

KWIZARZY TAWFIDZI: fremeńscy kapłani (po nadejściu Muad'Diba).

LANCA LASEROWA: wersja rusznicy laserowej o krótkim zasięgu, używana głównie do cięcia twardych materiałów lub jako skalpel (patrz: **RUSZNICA LASEROWA**).

LANDSRAAD: najstarsza (obok KHOAM, rodu imperialnego i Gildii Kosmicznej) z instytucji, które uformowały Imperium. Podczas długiego panowania Corrinów był jedyną organizacją, która zabezpieczała wspólne interesy wszystkich planet Imperium przed sardaukarami. Upadek imperialnego rodu Corrinów i triumf rodu Atrydów po zniszczeniach dokonanych przez Dżihad Muad'Diba spowodowały, że nigdy już nie zdołał odzyskać dawnej siły.

LEGION: formacja złożona z dziesięciu brygad (około 30 tysięcy ludzi).

LICHTUGA: rodzaj fregaty, największego statku kosmicznego mogącego lądować na planecie i startować z niej w całości.

LINIOWIEC: największy statek transportowy wykorzystywany w systemie przewozowym Gildii Kosmicznej.

LISAN AL-GAIB: „Głos Spoza Świata”. We fremeńskich legendach prorok spoza planety. Termin ten przekładany był też jako „Dawca wody” (patrz: **MAHDI**).

LUMISFERA: zasilane zazwyczaj bateriami organicznymi urządzenie oświetleniowe zawieszone na dryfie. Wynalazek Normy Cenvy.

MAHDI: w mesjanistycznych legendach Fremenów „Ten, który powiedzie nas do raj” (patrz: **LISAN AL-GAIB**).

MALEŃKI STWORZYCIEL: piaskopływak zwany także „piaskową trocią”; pół roślina, pół zwierzę, zarodek czerw pustyni żyjący w głębi piasku. Ekskrementy maleńkich stworzycieli, które ginęły milionami w każdym wybuchu przyprawowym, zmieszane z wodą tworzyły masę preprzyprawową (patrz: **MELANŻ**). Nieliczne pozostałe przy życiu osobniki zapadały w półsen cystohibernacji, by po sześciu latach wyłonić się w postaci małego (mniej więcej trzymetrowego) czerw pustyni (patrz: **SZEJ-HULUD**).

MASKARADNICY: jadachańscy hermafrodyty z Tleilaxa. Artyści estradowi mający zdolność cielesnej adaptacji. Mogli dowolnie zmieniać swój wzrost, budowę ciała, rysy twarzy, kolor i długość włosów, a także płeć (patrz: **TLEILAXANIE**).

MATKA WIELEBNA: pierwotnie cenzorka Bene Gesserit, która przekształciła w swym ciele „truczną objawienia” i wniosła się na wyższy poziom świadomości (patrz: **BENE GESSERIT** i **WODA ŻYCIA**). Tytuł przejęty przez Fremenów, którzy nadawali go własnym przywódczyniom religijnym, osiągniętym podobne „objawienie”.

MAULA, PISTOLET: pistolet sprężynowy na zatrute bolce o zasięgu około czterdziestu metrów.

MELANŻ: „przyprawa nad przyprawami”, której jedynym źródłem była Arrakis. Znana głównie z właściwości geriatrycznych, przyjmowana w ilościach powyżej dwóch gramów dziennie na siedemdziesiąt kilogramów wagi ciała była silnie uzależniająca (patrz: **IBAD**). Melanż powstawał z masy preprzyprawowej (patrz: **MALEŃKI STWORZYCIEL**). Przyprawa w tym stadium

„wybuchala” w charakterystyczny sposób, mieszając substancje z głębi ziemi z substancjami z jej powierzchni. Ta masa, poddana działaniu słońca i wiatru, stawała się melanżem.

MENTAT: „ludzki komputer”, członek klasy obywateli Imperium szkolonych w umiejętności logicznego myślenia na nadludzkim poziomie.

METASZKŁO: szkło otrzymywane wskutek nasycenia tafli kwarcu jasnonowego gazem o wysokiej temperaturze. Znanie z niesłychanej wytrzymałości na rozciąganie (około 450 tysięcy kilogramów na centymetr kwadratowy przy grubości dwóch centymetrów), było też selektywnym filtrem promieniowania.

METODA BENE GESSERIT: umiejętność stosowania drobiazgowej obserwacji (patrz: **SZKOLENIE**).

MIRABHASA: język charakteryzujący się ostro punktowanymi spółgłoskami i grupami sąsiadujących samogłosek. Precyzyjne narzędzie przekazywania najbardziej wyrafinowanych emocjonalnych niuansów.

MOLITOR: układ planetarny, miejsce największej kampanii Dżihadu Muad’Diba.

MUAD’DIB: skoczek pustynny zaaklimatyzowany na Arrakis. We fremeńskiej mitologii ziemi i ducha zwierzę związane z rysunkiem widocznym na drugim księżycu planety. Mysz podziwiana przez Fremenów za niezwykłą umiejętność przystosowywania się do życia w srogich warunkach otwartej pustyni.

MUAD’DIB, PAUL: fremeńskie imię wieku męskiego Paula Atrydy.

MUR ZAPOROWY: górzyste wypiętrzenie terenu na północnej półkuli Arrakis, które osłaniało niewielki obszar tej planety przed kurzawami Coriolisa.

NAIB: „Ten, kto ślubował nie dać się wziąć żywcem”. Tradycyjna przysięga przywódcy Fremenów.

NARADŹ: układ planetarny w Imperium, jeden z wielu ujarzmionych przez Dżihad Muad’Diba.

NAWIGATORZY: gildianie potrafiący dzięki melanżowi odszukać taką linię przyszłości, która pozwalała liniowcom Gildii Kosmicznej omijać wszelkie niebezpieczeństwa.

NEZHONI: chusta noszona na czole pod kapturem filtra przez zamężne lub „skojarzone” Fremenki po urodzeniu syna.

NIECKA: nadający się do zamieszkania nizinny obszar na Arrakis, okolony wzniesieniem terenu osłaniającym go przed samumami.

ORNITOPTERY: wszelkie statki zdolne do długotrwałego lotu za pomocą uderzeń skrzydłami na wzór ptaków. Podstawowy środek transportu powietrznego w Imperium.

PANEW: nisko położony teren lub depresja na Arrakis powstała w wyniku osiadania warstw podłoża.

PG: „przed Gildią”. Skrót w kalendarzu Imperium opartym na dacie powstania monopolu Gildii Kosmicznej w dziedzinie podróży, transportu i bankowości.

PIECHUR PIASKU: każdy Fremen, który opanował sztukę przeżycia na otwartej pustyni.

PIERWSZY KSIĘŻYC: większy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na charakterystyczną plamę w rzeźbie powierzchni podobną do wizerunku ludzkiej pięści (patrz: **DRUGI KSIĘŻYC**).

PLASMUR: niezwykle wytrzymały budulec.

PRADŹNA: trans medytacyjny używany dla głębszej zdolności pojmowania i szczególnego stanu „postrzegania”.

PRANA: termin odnoszący się do mięśni, z których każdy traktowany jest osobno i, jako osobna jednostka, maksymalnie ćwiczony. Często określane jako pranamuskulatura (patrz: **BINDU** i **SZKOLENIE**).

PRAWDOMÓWCZYNI: Matka Wielebna, która posiadała sztukę zapadania w trans prawdy i bezbłędnie potrafi wykryć kłamstwo, oszustwo lub nieszczerość (patrz: **ZMYŚŁ PRAWDY**).

PRZYPRAWA: patrz: **MELANŻ**.

REBAB: starożytny instrument smyczkowy o pokrytym skórą korpusie w kształcie trapezu i smukłej szyjce.

RIHANI: patrz: **DESZYFRACJA RIHANI**.

RÓD: określenie klanu panującego na planecie lub w systemie planetarnym.

RUH-DUCH: w wierzeniach Fremenów: ta część osobowości, która jest zakorzeniona (i zdolna do wyczuwania) w świecie metafizycznym (patrz: **ALAM AL-MITHAL**).

RUSZNICA LASEROWA: miotacz laserowy wytwarzający falę ciągłą. Do czasu wynalezienia tarczy obronnej rusznice laserowe były główną bronią we wszystkich konfliktach. W cywilizacji używającej powszechnie tarcz miały ograniczone zastosowanie, gdyż zetknięcie wiązki laserowej z tarczą powodowało straszliwy wybuch.

SAJJADINA: akolitka we fremeńskiej hierarchii religijnej.

SALUSA SECUNDUS: trzecia planeta Gammy Waiping, ojczysta planeta rodu Corrinów. Po przeprowadzce dworu królewskiego na Kaitain ogłoszona imperialną planetą więzienną. Używana jako poligon dla sardaukarów. Salusa Secundus to drugi przystanek w przymusowej migracji zensunnickich Wędrowców; fremeńska tradycja głosi, że byli tam niewolnikami przez dziewięć pokoleń.

SARDAUKARZY: fanatyczni żołnierze z Salusa Secundus, wojownicy imperialnego rodu Corrinów. Szkolenie wyrabiało w nich bezwzględność i niemal samobójczą pogardę dla własnego bezpieczeństwa. O biegłości sardaukarów w fechtunku mówiono, że równa się dziesiątemu stopniowi Ginazów, a ich przebiegłość i zręczność uchodziły za zbliżone do kunsztu adeptek Bene Gesserit. W czasach Szaddama IV siłę sardaukarów podkopało zadufanie, dająca hart ducha mistyka zaś została głęboko przeżarta cynizmem. Uchodzący za niezwyciężonych, zostali pokonani przez Fremenów w bitwie pod Arrakin w roku 10193.

SEMUCKA MUZYKA: patrz: **SEMUTA**.

SEMUTA: drugi (obok elakki) narkotyk otrzymywany przez ekstrakcję krystaliczną z popiołów drewna elakka z Ekaza (czwartej planety Bety Alfa Centauri). Wywoływała efekt opisywany jako „nieustająca, bezkresna ekstaza”, który powodowały rytmiczne, atonalne wibracje określane mianem semuckiej muzyki.

SICZ: dla Fremenów: „miejsce zbiórki w razie zagrożenia”. Termin ten zaczął w końcu oznaczać wszelkie jaskiniowe siedziby ich plemiennych społeczności.

SIHAJA: w języku Fremenów: wiosna pustyni; termin z podtekstami religijnymi czasu obfitości i „nadchodzącego raj”.

ŚLUP OGNI: zwykła pirakieta wykorzystywana do sygnalizacji na otwartej pustyni.

SOLARIS: oficjalna jednostka płatnicza Imperium.

STARY KSIĄŻĘ: przydomek siridara księcia Kaladanu Paulusa Atrydy (10089–10156), dziadka Paula Muad'Diba.

STWORZycIEL: patrz: **SZEJ-HULUD**.

SYNCHRONIZATOR IMPULSÓW: przystawka do projektora szigastrunowego działająca na zasadzie migawkowego systemu mnemotechnicznego. Powodowała zalew strumieniem danych, które umysł musiał później uporządkować (patrz: **SZIGASTRUNA** i **SZIGASTRUNOWY, PROJEKTOR**).

SZEJ-HULUD: gigantyczny czerw z Arrakis; „praszczur pustyni”, „praojciec wieczności”, „pradziad pustyni”. (Termin ten, wymawiany określonym tonem lub pisany wielką literą, odnosił się do bogini ziemi z fremeńskiego panteonu wierzeń.) Czerwie osiągały ogromne rozmiary i dożywały sędziwego wieku, o ile nie padły ofiarą swych pobratymców lub nie utonęły w wodzie, która była dla nich zabójczą trucizną. Działaniu czerwii pustyni przypisywano większość piasku na Arrakis (patrz: **MALEŃKI STWORZycIEL**).

SZEJTAN: szatan.

SZIGASTRUNA: metalowe wąsy płożącej się liany (*Narvi narvium*) spotykanej tylko na Salusa Secundus i na trzeciej planecie Delty Kaising. Słynęły z najwyższej wytrzymałości na

rozciąganie, były często używane w sabotażu, zabójstwach i okaleczeniach. Krystaliczna struktura szigastruny uczyniła z niej niezwykle trwałą nośnik informacji, wskutek czego księgofilmy cieszyły się wielką popularnością. Najcieńsze szigastruny, zwane filmami minimikowymi, często wykorzystywano do przekazywania informacji wywiadowczych i kontrwywiadowczych (patrz: **SYNCHRONIZATOR IMPULSÓW** i **SZIGASTRUNOWY, PROJEKTOR**).

SZIGASTRUNOWY, PROJEKTOR: urządzenie odczytujące zapis na rolce szigastruny, zwane także przeglądarką księgofilmów. Projektory szigastrunowe wyświetlały również egoportrety oraz solida (patrz: **SYNCHRONIZATOR IMPULSÓW** i **SZIGASTRUNA**).

SZKOLENIE: w odniesieniu do Bene Gesserit ten skądinąd pospolity termin nabiera specjalnego znaczenia, związanego m.in. z maksymalnym uwarunkowaniem nerwów i mięśni, jakie dopuszcza granica ich naturalnej wytrzymałości. Szkolenie pozwalało adeptce Bene Gesserit kontrolować siebie i innych (patrz: **BINDU**, **GŁOS**, **METODA BENE GESSERIT** i **PRADŹNA**).

TALIONY WODY: różnej wielkości metalowe pierścienie o ściśle określonym nominale wody, na którą można je było wymienić we fremeńskich kantorach.

TARCZA OBRONNA: pole ochronne wytwarzane przez generator Holtzmana. Tarcze przepuszczały tylko obiekty poruszające się z niewielką prędkością (od sześciu do dziewięciu centymetrów na sekundę) i deaktywować je mogło jedynie pole elektryczne wielkości hrabstwa.

TAU: w terminologii fremeńskiej: jedność siczowej wspólnoty oparta na spożywanym melanżu, a zwłaszcza na ekstatycznych doświadczeniach jedności wywoływanych piciem Wody Życia (patrz: **WODA ŻYCIA**).

TEMAG: wchodzące w skład filtraka fremeńskie pustynne buty. Zawierały pompy obcasowe dostarczające siły pompującej niezbędnej dla działania filtraka (patrz: **FILTRAK**).

TLEILAX: jedyna planeta Thalimy, znana jako dziki ośrodek szkolenia mentatów. Źródło wypaczonych mentatów, ghol i maskaradników.

TLEILAXANIE: (Bene Tleilax) mieszkańcy Tleilaxa, samotnej planety gwiazdy Thalima, źródła niemoralnych (choć tolerowanych) technologii. Bene Tleilax wytwarzali projektowanych genetycznie ludzi (m.in. seksualne zabawki, wypaczonych mentatów, maskaradników i ghole), a wojnę, ubóstwo i religię traktowali jako okoliczności ułatwiające zbyt.

TRANS PRAWDY: patrz: **PRAWDOMÓWCZYNI** i **ZMYŚL PRAWDY**.

TUPILE: tak zwana „planeta azylu” (prawdopodobnie kilka planet lub cały układ), miejsce schronienia dla pobitych wysokich i niskich rodów Imperium. Położenie jej (ich) znane było jedynie Gildii Kosmicznej i trzymane w tajemnicy na mocy pokoju gildyjskiego.

TWIERDZA: dwór w Arrakin, największa budowla w historii ludzkości, sfinansowana dzięki handlowi przyprawą. W jej skład weszły liczne budynki z ujarzmionych przez džihad planet, które przewieziono w całości liniowcami Gildii.

UMMA: osoba należąca do bractwa proroków lub „osobiste objawienie”. W Imperium pogardliwa nazwa oznaczająca każdego szaleńca ze skłonnościami do obłąkańczych przepowiedni.

USUL: w języku Fremenów: „baza kolumny”; tajemne imię Paula Atrydy, którego mogli używać tylko Fremen z siczey Tabr.

WALLACH IX: dziewiąta planeta Laoudżin, siedziba macierzystej szkoły Bene Gesserit.

WIELKA KONWENCJA: kodeks prawny, którego główne postanowienie zabraniało użycia broni atomowej przeciwko człowiekowi. Potocznie: powszechny pokój będący skutkiem równowagi sił utrzymywanej na przestrzeni stuleci przez Gildię Kosmiczną, wysokie rody oraz Imperium. Rozejm ten zakończył się w roku 10193 po zwycięstwie Fremenów nad sardaukarami w bitwie pod Arrakin. Każdy punkt Wielkiej Konwencji rozpoczynał się od słów: „Należy przestrzegać konwencji...”

WIELKA REWOLTA: potoczne określenie Dżihadu Butleriańskiego.

WODA ŻYCIA: trucizna „objawiająca” (patrz: **MATKA WIELEBNA**), narkotyk „rozszerzonej świadomości”. Płynna wydzielina arrakańskiego czerwca (patrz: **SZEJ-HULUD**), która wypływała w chwili jego śmierci przez utonięcie, następnie zaś, przemieniona w ciele Matki Wielebnej, stawała się narkotykiem zażywany podczas siczowych orgii tau.

WODOWÓD: każdy przewód wewnątrz filtra lub filtrnamiotu doprowadzający odzyskaną wodę do kieszeni łownej lub z kieszeni łownej do użytkownika (patrz: **FILTRAK** i **FILTRNAMIOT**).

WYKRYWACZ TRUCIZNY: urządzenie działające na zasadzie analizy spektrum zapachów, przeznaczone do wykrywania substancji trujących.

WYPALACZ SKAŁ: zasilane paliwem jądrowym urządzenie stosowane niekiedy jako specyficzna broń. Jedyne „przeoczone” przez drobiazgowo opracowane klauzule Wielkiej Konwencji dotyczące broni atomowej.

WYSOKIE RODY: lennicy Imperatora mający w wiecznym bądź terminowym władaniu planetę lub system planetarny; przedsiębiorcy międzyplanetarni.

ZAMEK KALADAN: imponujący dwór, przez dwadzieścia sześć pokoleń siedziba rodu Atrydów. Po przejęciu Arrakis przez Atrydów zamek zajmował siridar *in absentia* Kaladanu, hrabia Hasimir Fenring, a następnie matka Paula Muad'Diba, lady Jessika, wraz z gubernatorem regentem planety, Gurneyem Halleckiem.

ZENSUNNICI: pierwotnie: członkowie sekty Maometha (zwanego „trzecim Mahometem”), którzy zerwali z jego naukami około 1381 roku PG. Przez kilka tysięcy zensunnici zmuszeni byli tułać się z planety na planetę (jako główne przystanki zensunnickich Wędrowców wymienia się Poritrin, Salusa Secundus, Bela Tegeuse, Rossak i Harmonthep), a w końcu osiedli na Arrakis (patrz: **FREMENI**).

ZENSUNNIZM: sekta religijna znana przede wszystkim z nacisku na mistycyzm i powrotu do zwyczajów ojców (patrz: **ZENSUNNICI**).

ZŁY DUCH: termin używany przez Bene Gesserit na określenie osób, które uzyskały pełną świadomość i wiedzę przed przyjściem na świat.

ZMYŚŁ PRAWDY: charakterystyczna dla Prawdomówczyń umiejętność dostrzegania najdrobniejszych przejawów świadomego kłamstwa.

Frank Herbert (1920–1986) to jeden z najwybitniejszych twórców literatury SF, zdobywca prestiżowych nagród Hugo, Nebula i Apollo, autor kilkunastu doskonałych powieści i zbiorów opowiadań, prekursor nurtu ekologicznego w fantastyce. Polski czytelnik zna m.in. jego *Oczy Heisenberga*, *Gwiazdę chłosty*, *Władców niebios* i *Twórców bogów*. Sławę przyniósł mu jednak przede wszystkim epokowy cykl „Kroniki Diuny” — barwna epopeja przedstawiająca dzieje pustynnej planety Arrakis, źródła najcenniejszej substancji we wszechświecie: melanżu.

Tytuł oryginału: *Dune Messiah*

Copyright © 1969 by Frank Herbert
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2011

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem,
zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.
Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redakcja merytoryczna i słowniczek: Sławomir Folkman
Redakcja: Błażej Kemnitz

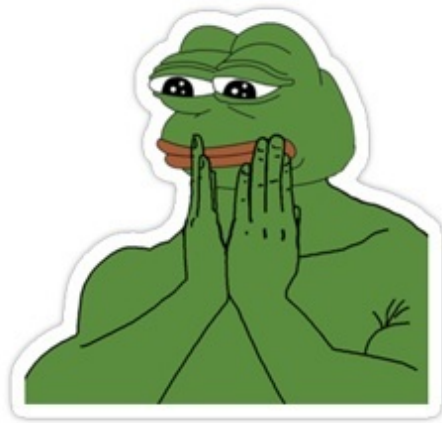
Copyright © 2007 for the illustrations by Wojciech Siudmak
Grafiki: Wojciech Siudmak

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Mesjasz Diuny, wyd. I, dodruk, Poznań 2011)

ISBN 978-83-7818-059-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61 867 47 08, 61 867 81 40, fax 61 867 37 74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: KALADAN, www.kaladan.pl



RARE

Minęło kilkanaście lat, odkąd Fremeni pod dowództwem Paula Muad'Diba pokonali połączone siły Harkonnenów i imperialnych sardaukarów. Paul poślubił księżniczkę Irulanę i zasiadł na tronie Imperium. Pustynna Arrakis, zwana Diuną, jest stolicą wszechświata, a Imperator Paul Atryda wydaje z niej poprzedzone proroczymi wizjami rozkazy. Tymczasem stare ośrodki władzy – Bene Gesserit oraz Gildia Kosmiczna – z pomocą fremeńskiego kapłaństwa i Bene Tleilax zawiązują spisek przeciw nowemu Imperatorowi.

Czczony niczym bóg, Paul Muad'Dib wpada w pułapkę, jaką zastawiła na niego prorocza moc: zna dokładnie każdą chwilę swojej przyszłości, każdy swój ruch, każdą decyzję i – przede wszystkim – swój straszliwy finał...

„Nie ulega wątpliwości, że powieści o Diunie stanowią jedno z największych osiągnięć amerykańskiej i światowej SF i na zawsze pozostaną w historii tej literatury”.

Lech Jęczmyk



www.rebis.com.pl

Table of Contents

[Karta tytułowa](#)

[Fragment rozmowy...](#)

[Mesjasz Diuny](#)

[Epilog](#)

[Terminologia Imperium](#)

[Notka biograficzna](#)

[Strona redakcyjna](#)

[\[Okładka\]](#)